



Janka Szczęsna
Wyznanie

Prawdziwa
historia polskiej
 prostytutki

Czytam 

Janka Szczęsna

Wyznanie

Projekt okładki

Arthur Friday

Redakcja i opracowanie tekstu

Iwona Mokrzan

Skład i korekty

Studio Kalamarnica

ISBN 978-83-7820-115-1

© by Oficyna Wydawnicza Promocja

Żaden fragment książki nie może być powielany
ani reprodukowany w jakiegokolwiek formie
bez pisemnej zgody wydawcy.

Warszawa 2016

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, 88em

*Kochany P.O.S.O.,
ta książka nigdy nie powstałaby, gdyby nie Ty.
Dziękuję za wsparcie, cierpliwość, zaufanie.
No i miłość...*

Niemcy, miasto M., wrzesień 2012, pierwszy dzień pracy

Siedzę w przydzielonym mi pokoju. Jest całkiem do zniesienia, chociaż wydaje się pusty, surowy. Stoi w nim tylko łóżko, komoda i szafa. Lampka z czerwoną żarówką. I zegar – obowiązkowo.

Jestem przygotowana do pracy, czyli zgodnie z tutejszymi regułami – wykąpana i pomalowana. Mimo wszystko się uśmiecham. Mimo wszystko, bo przecież nigdy nie pracowałam jako prostytutka. Nie wiem, jak nią być. Ale nikt mi tutaj tego nie powie. Konkurencja...

Muszę się zdać na siebie. Na swoją intuicję.

W każdym pokoju założono dzwonek. Jego dźwięk informuje, która dziewczyna została wybranką losu. Nie wiem, jak dzwoni jego serce, ale ufam, że to łagodne brzmienie. Coś na kształt barwy fletu lub klarnetu. Myślę tak, gdyż seks kojarzę z wyższym ducha uniesieniem. Z miłością.

Tymczasem siedzę na skraju łóżka i czekam na dzwonek. Tym samym na własny upadek. Chcąc nie chcąc pograżam się w myślach... czarnych jak ręce palacza. Po raz setny zastanawiam się, jak to się stało, że w wieku lat czterdziestu zostałam kurwą. Ja, niewzruszona dotąd jak skała. Głucha jak pień i ślepa na wszelkie przejawy prostytucji. Ja, niełasa na propozycje sponsorów i obietnice lepszego, łatwiejszego życia. Ja, z pogardą i przesadną wyższością patrząca na te, które uległy. Które się poddały. „Co takiego musi się wydarzyć”, myślałam wtedy, „żeby upaść tak nisko, na poziom zero, jakim jest prostytucja?”

Oczywiście istnieją niższe poziomy upadków, bo przecież można na przykład zabijać ludzi dla przyjemności czy pieniędzy. Można sprzedawać dzieci lub je gwałcić. Można robić różne straszne rzeczy, ale nie o nich tu mowa. Jednak tak kiedyś sądziłam, a teraz po stokroć myślę, że kurewstwo to wyjątkowa obrzydliwość. Jestem zatem wyjątkowo obrzydliwa!

Kurwą zostaje się przede wszystkim dla pieniędzy. Może znajdzie się kilka osobliwych przypadków kobiet, które są kurwami, bo sprawia im to przyjemność. Słyszałam też o kobietach robiących to z zemsty na

mężczyznach. Bo przestali je kochać. Bo miały niedobrego męża. Bo były bite i poniżane. Bo zostały zarażone i swoją chorobę chciały przekazywać dalej. Straszne to i okrutne, ale takie jest życie.

Różni ludzie chodzą po świecie i różne kurwy pracują w burdelach. Ile kurw, tyle historii. Jaka jest moja?

Nieosobliwa. Banalna. Prozaiczna.

Przyjechałam tu dla pieniędzy. To właśnie najgorsze. Tragiczne.

Z rozmyślań wyrывa mnie dzwonek. Ostry, świdrujący. Przeszywa mnie całą na wskroś. W ogóle nie przypomina klarnetu. To najgorszy dźwięk, jaki w życiu słyszałam.

Zaczęło się. Wsiadam do pociągu, który jedzie do tyłu. Na dno...

Na trzęsących się nogach, obutych w zbyt wysokie dla mnie szpilki, biegnę przez długi, ciemny hol otworzyć drzwi pierwszemu w życiu klientowi. Z głębi przybytku dobiega donośny głos:

– Johanna, klient. – To Adele, burdelmama.

Zanim otworzę drzwi, biorę trzy głębokie wdechy, aby uspokoić rozdygotane ciało i choć kilka chwil pobyc jeszcze sobą. Pobyc mną. Kolejny raz rozbrzmiewa dzwonek, wywołując we mnie uczucie lęku i odruch wymiotny. Kiedy otwieram drzwi, już wiem, że mnie nie ma. To jakaś inna ja.

W progu stoi przystojny mężczyzna ubrany w drogi garnitur. Mój pierwszy klient jest biały, co ma dla mnie ogromne znaczenie! I do tego się uśmiecha.

– Hallo, du bist Johanna? – pyta.

„A więc to nie żaden potwór, tylko człowiek, na pozór normalny”, uspokajam się w myślach, choć czuję, że krew w żyłach nadal jest wzburzona. Z gniewem przepływa przez wszystkie członki ciała.

– Hallo, ich bin Johanna. Wie geht's? Wie lange hast du Zeit? – klepię wyuczone formułki, zapisane wcześniej przez Adele na skrawku papieru. Mój głos drży, podobnie jak ręka, którą mu podaję. Cała lepi się od potu. Nie mogę nad tym zapanować, jednak głupawy uśmiech nie schodzi mi z twarzy. Mam wrażenie, że następuje kres mojego życia. I tak właśnie się dzieje. Na moich oczach kończy się świat, który przez wiele lat tkiałam, szylałam, czasem łątałam. Ale go miałam.

Mdli mnie, z trudem hamuję odruch wymiotny. W sercu modlę się

do Boga, w którego przecież święcie wierzę, aby klient wyszedł. Tak się jednak nie staje. Mężczyzna odpowiada z szerokim uśmiechem na ustach:

– Ich habe eine Stunde!

No i rozpada się moje dotychczasowe życie tkane w arabeski. Zapada się pod ziemię. Ginie w piekielnych czeluściach, spalając przy okazji duszę. Skrawek po skrawku, milimetr po milimetrze.

Chcę stąd uciec. I mogę. Nikt nikogo nie trzyma tutaj na siłę. Skończyły się tamte czasy. Sama decyduję o tym, co robię. Świadomie. Nikt mnie do niczego nie zmusza. Resztkami niezdrowego rozsądku przypominam sobie, dlaczego tu jestem.

– Kommen Sie mit mir – mówię do K. i trzymając go za rękę jak dobrego znajomego, prowadzę do pokoju. Do twarzy wciąż mam przyklejony sztuczny, tępy uśmiech. Tylko czy to jeszcze moja twarz?

Kalecząc język niemiecki, kaleczę siebie. Każde wypowiedziane słowo wbija się we mnie jak cierń. Nie dlatego, że nie znam niemieckiego, nie dlatego, że go nie lubię, podobnie jak Niemców, lecz dlatego, że wiem, co mnie czeka po wypowiedzeniu tych słów. Muszę mówić, bo większość Niemców rezygnuje z usługi, jeśli nie może porozmawiać z dziewczyną. Przed tym mnie przestrzegano. Czy oni przychodzą prowadzić dyskusję o poezji, religii lub polityce?

– Eine Stunde kostet einhundertfünfzig Euro.

Willst du einen normalen Sex und Blasen mit Kondom? – pytam swoją tragiczną, bo niechcianą i nielubianą niemiecczyną przez ściśnięte gardło, jakby związane drutem kolczastym.

– Kein Problem. Ich will extra Anal und Naturekt – odpowiada beztrzesko, a w rękę szarmancko wciska mi pieniądze: trzysta euro.

„Seks analny?”, pytam Boga w myślach. „Dlaczego mój pierwszy klient okazuje się wynaturzonym zboczeńcem?”

Ze strony Boga cisza. Widocznie przestał mnie lubić!

Chwilę się waham, nie mam zielonego pojęcia, co się kryje pod tajemniczym słowem *Naturekt*. Jednak szybko przeliczam pieniądze: sto pięćdziesiąt euro plus dodatki – sto euro za anal, pięćdziesiąt euro za *Naturekt*. Z tego siedemdziesiąt pięć euro na klub, reszta dla mnie, czyli zostaje dwieście dwadzieścia pięć euro. Za godzinę udręki dostanę

prawie tysiąc złotych...

Prowadzę K. (tak ich będę odtąd nazywała, bo nie znoszę słowa *klient*) do łazienki. Pieniądze wrzucam do sejf, który znajduje się w centrum przybytku, czyli w kuchni. Od teraz zegar zaczyna odmierzać czas. Mam parę minut, aby zapanować nad wszechogarniającą mnie paniką. I tyleż samo, aby zabić pulsującą myśl: „JESTEM KURWĄ!”.

Jestem kurwą z dość przekorną i skomplikowaną osobowością. Na pierwszym miejscu stawiam dumę. Może to śmieszne i nie pasuje do tego miejsca, lecz nawet tu muszę zachować twarz, honor, choćby jego resztkę. Na drugim miejscu stawiam profesjonalizm. Będę zatem profesjonalną kurwą. W każdym calu. Dlatego kiedy K. wchodzi do pokoju, znika szara, skulona, trzęsąca się ze strachu myszka. K. widzi przed sobą kobietę, która da mu to, czego oczekuje. Kobietę ze sztucznym uśmiechem na ustach.

K. staje przede mną nagi, zatem i ja się rozbieram. Ściągam gorset. Robię to powoli, zmysłowo, lecz naturalnie. Bez zbędnych gestów. Moje piersi oswobodzone ze stelaży i drutów, duże i krągłe, sprawiają, że jego penis nabrzmięwa. Jest duży, więc od razu boję się na myśl o seksie analnym. Nie robiłam tego nazbyt często w tamtym życiu, choć sprawiało mi to przyjemność. Jednak zastanawianie się nad tym teraz nie ma żadnego sensu, bo nie ma już odwrotu. Tu nie ma reklamacji. A pieniądze, które trafiają do sejf, bezpowrotnie znikają w jego głębi. Klamka zapadła. Usługa musi być wykonana.

Spoglądam na niego. Nie wiem, jak się zachować, ale jakoś muszę. W jego oczach widzę dziką żądzę, a to oznacza, że mam nad nim przewagę. Mam go w garści. Tego nie trzeba się uczyć. Wystarczy być kobietą.

Podchodzę do K. i namiętnie całuję w usta. Twardy penis dotyka mego łona. K. obsypuje pocałunkami moje piersi, co sprawia, że sutki pęcznieją, a ja wilgotnieję. Czuję, jak soki cienką stróżką spływają po udach.

Skąd taka reakcja? Czyżby imponowało mi pożądanie nieznanego mężczyzny? Kątem oka widzę, jak ustami rozrywa opakowanie kondomu. Chwilę się szarpie, czuję jego zniecierpliwienie, ale nie zamierzam mu pomagać. Tak sobie postanowiłam. W końcu udaje mu

się założyć gumkę.

K. mocnym ruchem odwraca mnie do ściany. Zdążam jeszcze pomyśleć, że ludzie bardziej są podobni do zwierząt, niż nam się wydaje... Jakby na potwierdzenie tej tezy K. mocno łapie mnie za włosy. Tak mocno, że nawet gdybym próbowała odzyskać swobodę ruchów, nie zdołałabym. Twarz mam przyciśniętą do ściany. Czuję na niej swój gorący oddech. Wchodzi we mnie. Po jego szybkich, chaotycznych ruchach domyślam się, że dawno nie był z kobietą. Cały akt trwa zaledwie kilka minut. Szczytuje głośno, po czym oswobadzając mnie z uścisku, który uwierał bardziej niż sam seks, pada na łóżko.

I tak oto straciłam dziewictwo z kurewstwem! Zostałam naznaczona! Napiętnowana! Nigdy już nie będę taka jak wczoraj, jak przed chwilą.

K. leży z zamkniętymi oczami. Mogę zatem dyskretnie spojrzeć na zegar. Do końca opłaconego czasu zostało jeszcze czterdzieści pięć minut. Muszę coś zrobić, wykonać jakiś ruch i ukryć zmieszanie. Kładę się koło niego. Papierowym ręcznikiem ściągam gumkę i wyrzucam do kosza. Zamykam oczy i próbuję zniknąć, tak jak robiłam to w dzieciństwie... Zamknięte oczy, nie ma Janki. Nikt Janki nie widzi. K. delikatnie się do mnie przytula. Powoli odpływam, daleko stąd, jak najdalej...

Co sprawiło, że on zasnął u mego boku jak dziecko? Nie wiem i wcale mnie to nie obchodzi, bo przecież nawet go nie znam. Ale jak to możliwe, że straciłam czujność i pozwoliłam sobie w przybytku na taką swawolę, jak wspólny sen z K.? Nie jestem w stanie pojąć.

Do rzeczywistości przywołuje nas łomotanie do drzwi. Przeraza mnie ono do tego stopnia, że staję na baczność i trzęsę się cała z przestachu... Drzwi z impetem uderzają o ścianę. Wchodzi Adele. Oboje z K. jesteśmy nadzy, co z góry stawia nas na przegranej pozycji. Ona krzyczy, a ja tego bardzo nie lubię. Na dodatek niewiele rozumiem. Chwyta mnie mocno za rękę i ciągnie w głąb korytarza, nieubraną i nieobutą. Nie stawiam oporu, bo co też miałabym zrobić? Nie wiem, co się wydarzy. Zresztą, co może być gorszego od zostania kurwą?

Z pokoi wychodzą zaciekawione dziewczyny. Nie znam ich, przez to czuję się jeszcze bardziej zawstydzona. Nie muszę patrzeć im w oczy,

aby przekonać się, że nie znajdę w nich współczucia. Wędrówka przez korytarz to droga przez mękę...

Domyślam się, że Adele zmierza do serca przybytku. Do miejsca, gdzie znajduje się sejf i gdzie pracujące tu kobiety spędzają czas w oczekiwaniu na K. I tak się dzieje. Na moje nieszczęście jest ich teraz wiele. Spoglądają na moje obnażone ciało. Taksują je chciwie wzrokiem, szukając mankamentów. W końcu jestem konkurencją. Nowych się tu nie lubi.

To jedno z najgorszych upokorzeń, z jakim musiałam się w życiu zmierzyć. Tysiąc razy bardziej wolałabym, aby zamiast kobiet przyglądali mi się mężczyźni. Nie są aż tak okrutni.

Adele wciąż mocno ściska moją rękę, aż do bólu, ale nie zwracam na to uwagi. Chcę tylko pojąć, co takiego zrobiłam, i uciec do kryjówki. Adele pokazuje to na zegar, to na kartkę, na której zapisałam godzinę swojej zagłady: „12.47”. Jest trzynasta pięćdziesiąt sześć. Dopiero teraz dociera do mnie, w czym problem. Za dużo czasu spędziłam z klientem. O całe dziewięć minut. Adele zapisuje na kartce czarnym markerem: „-50 Euro”. Rozumiem, że tyle wynosi kara. Patrzę na Nią z niedowierzaniem, bo trudno pojąć, że głupie dziewięć minut może wystarczyć, aby tak poniżyć człowieka.

Tylko czy kurwa to człowiek?

Kiedy wracam do pokoju, K. kończy się ubierać. Zakładam szlafrok. Nie mam odwagi na niego popatrzeć. Chwyta mnie delikatnie za podbródek, zmuszając, bym spojrzała mu prosto w oczy. Nie złości się, uśmiecha. I teraz wygląda na łagodnego.

– Jesteś piękną kobietą, dziękuję – mówi, wyciągając z portfela plik banknotów. – To dla ciebie. Wrócę tu.

Nie odprowadzam go do drzwi, wstydzę się. Nie wiem, kogo bardziej – tamtych czy siebie samej. W końcu wybucham płaczem. „Co ja tu robię?”, zadaję sobie pytanie. „Przecież nie można dla pieniędzy dawać sobą tak pomiatać”.

Zdaję sobie sprawę, że jeśli zacznę się nad sobą rozczulać, cały wysiłek pójdzie na marne, a plan ratujący moje życie legnie w gruzach. Lecz właśnie teraz do mojej świadomości dociera ogrom przeżyć kilku ostatnich miesięcy, i to ze zdwojoną siłą. Ból nie ma się gdzie podziać,

bo przecież zniknęłam. Pozostał ze mnie tylko worek bez duszy. No i te uporczywe myśli pędzące nie w tym kierunku, w którym powinny.

Leżę w nie swoim łóżku, spazmy targają mną jak huragany. Ktoś puka do drzwi. Cichutko, a więc to nie Adele, nie Ona. Nie wstaję jednak z łóżka. Po co, skoro i tak każdy może tutaj wejść? Słyszę, jak ktoś wsuwa się do pokoju i zamyka za sobą drzwi. Siada na łóżku i delikatnie głaszcze mnie po głowie.

– Johanna... Johanka, it's OK? – szept. Szept wydaje mi się przyjazny, podobnie jak dotyk. Ze zdziwieniem odkrywam, że głaszcze mnie kobieta. Choć to miłe, wcale się nie uspokajam. Nie płaczę, lecz wyję. Słyszę skowyt zranionego zwierzęcia. Bolesny, bo zdaję sobie sprawę z beznadziei położenia. Z patowej sytuacji. Stoję bezbronna pod murem i czekam na strzał. Czy tak się czuła, wtedy w obozie, moja ukochana babcia?

Cały czas bezwiednie trzymam zwitek banknotów, który dostałam od K. Dziewczyna delikatnie wyciąga mi go z ręki. Słyszę, jak otwiera szufladę komody i za chwilę z trzaskiem ją zamyka. Tak jakby się czegoś obawiała. Przytula mnie mocno, a ja wracam do pokoju. Do rzeczywistości. Podnoszę się na łóżku i patrzę na nią. Na pierwszą osobę okazującą mi w przybytku ludzkie uczucia.

– Rita – mówi, wyciągając rękę.

Choć nie mam potrzeby się przedstawiać, bo mnie już tutaj poznano, podaję jej swoją niewładną dłoń.

– Miałaś wypadek?

– Tak. W pracy – kłamię.

Rita jest bardzo ładna. Ma wielkie niebieskie oczy, kasztanowe włosy upięte w kok i piękny, dobry uśmiech. Trudno go nie odwzajemnić, więc się uśmiecham. Wydaje się inna niż większość dziewczyn, na które ukradkiem spoglądałam, kiedy się z nimi mijałam w holu lub w łazience. Delikatny, prawie niewidoczny makijaż oraz naturalne paznokcie jak u setek kobiet znanych mi z wcześniejszego, normalnego życia. Nie wygląda na prostytutkę.

Mówi do mnie w języku podobnym do języka Adele, ale bardziej miękko. Choć rozumiem tylko pojedyncze słowa, pojmuję sens przekazu. Pierwsza zasada: nie wolno przekraczać limitu czasu – za to

wymierzają karę finansową. I jest to bardzo niemile widziane, czego zresztą doświadczyłam. Napiwki, jakie dają K., należy zanieść do sejfu, a także szczegółowo opisać, za co się je dostało. Po każdym tête-à-tête z K. trzeba natychmiast przygotować się do wizyty kolejnego klienta: umyć, poprawić makijaż, ubrać bez zarzutu, gdyż nigdy nie wiadomo, kiedy ponownie zadzwoni dzwonek. A na koniec zasada: Adele zawsze ma rację. To świętość!

Rita bierze mnie za rękę i taką sponiewieraną przez los, zapłakaną i rozmazaną prowadzi przez hol, prosto do pokoju z sejfem. Jawi mi się on jako paszcza lwa. Z rozmachem otwiera drzwi, a oczy wszystkich tam siedzących po raz drugi dzisiejszego dnia zwracają się w moją stronę.

– Dziewczyny, to jest Johanna.

Chwila ciszy. Odbieram ją jako konsternację. Znowu się boję, bo dlaczego miałabym tutaj komukolwiek zaufać? Tyle złego nasłuchałam się o takich miejscach. Może one będą chciały mnie zlinczować? Albo ogolić głowę?

Na szczęście nie widzę wśród nich Adele. Jestem gotowa na wszystko, ale bez Niej. Nie lubię Jej, choć nie mam pewności, czy mogę sobie pozwolić na taki luksus. Na nielubienie Królowej, którą z niewiadomych jeszcze dla mnie przyczyn wyniesiono na piedestał.

Nic złego jednak się nie dzieje, a moja nowa koleżanka z pięknym uśmiechem ciągnie mnie do dziewczyn siedzących na sofach. One też się uśmiechają, jak potrafią, po swojemu. Mniej lub bardziej sztucznie.

Przedstawiają się:

– Simona.

– Viki.

– Paula.

Pada kilkanaście imion. Nie zapamiętuję wszystkich. To zresztą zupełnie zbyteczne, gdyż nie są prawdziwymi imionami obecnych tu kobiet. Tylko moje jest prawdziwe! Czyżby kolejna gafa?

Niektóre dziewczyny poklepują mnie po ramieniu, inne dają symboliczną buźkę. „Przyjmują mnie do swojego grona”, myślę z otuchą. „Teraz jestem taka jak one, na ich poziomie – na poziomie zero. A może to one są takie same jak ja? W potrzebie. Matki, żony, córki, studentki, nauczycielki...”

Dopiero teraz dociera do mnie dwoistość sytuacji. Jeżeli ja jestem taka jak one, to przecież one musiały być kiedyś takie jak ja. To przerażające odkrycie.

Częstują mnie papierosem, a zaciągnięcie się dymem jest dla mnie zbawieniem. Podają szklanki z mocnymi trunkami, choć nie można tu spożywać alkoholu przed dwudziestą. Tak powiedziała mi wczoraj nasza Hausedame, gdy późnym wieczorem stanęłam w progach przybytku. Zatem i one nie są wzorowymi członkiniami klubu... W związku z tym przestaję się napinać jak struna. Zaczyna kiełkować we mnie ziarenko nadziei, że może jakoś tu sobie poradzę...

Ponieważ w moim życiu radości nigdy za wiele, do kuchni wpada Adele. Oczywiście nie zapomina o otwarciu drzwi z rozmachem, jakby podkreślała w ten sposób swoją, i tak bardzo oczywistą, obecność. Drzwi odbijają się od ściany. Widzę na niej wyżłobioną dziurę, a to może znaczyć tylko jedno – ta kobieta króluje tutaj długo. Nietrudno się domyślić, że zacznie krzyczeć. Uprzedzając fakty, wychodzę.

Biegnę przez hol do swojego pokoju. Szybko go porządkuję. Ściągam prześcieradło po K. i ładnie składam, tak aby wyglądało na nieużywane, bo tutaj panuje zasada: oszczędzać na wszystkim. Podobnie jest na całym świecie, więc się nie dziwię. Zanim pobiegnę do łazienki zmyć swoje kurewstwo i poniżenie, z ciekawością zaglądam do szuflady, żeby przeliczyć napiwek, który trzymam tu nielegalnie.

K. nadpłacił mi dwieście pięćdziesiąt euro, mimo że nie wywiązałam się z wszystkich opłaconych usług. Razem z napiwkiem za godzinę pracy zarobiłam tyle, ile w moim kraju wiele osób zarabia przez miesiąc! Czy to niewystarczająca rekompensata za to całe zło, jakie się tutaj wyrabia?

Gdzie schować te pieniądze? Przecież nie wrzucę ich tak po prostu do sejf. Mogą zaginąć w jego czeluściach, przepaść, podobnie jak ja przepadłam... Wyciągam opakowanie po chusteczkach higienicznych, wkładam do niego pieniądze i wciskam głęboko pod szafę, gdzie będą bezpieczne. Biegnę do łazienki, a w głowie słyszę głos nadziei:

„Wszystko dobrze się skończy, nie zostanę w przybytku długo. Wystarczy dziesięciu takich K. i zdobędę potrzebną sumę, której brak mnie tu przygnał!”

W pośpiechu myję swoje napiętnowane ciało. Odczuwam radość, a ta usypia czujność. Biegnę przez hol do pokoju wyciągnąć z kufra najlepszą halkę. Najlepszą, bo najdokładniej ukrywającą niedoskonałości ciała. Po chwili, gotowa do pracy, z udawanym spokojem oczekuję na dzwonek. Na kolejnego K.

Siedzę na łóżku i czuwam. Ale dzwonek nie dzwoni, jakby się nade mną litował i dawał czas na myślenie. Nie mogę jednak myśleć z banalnego powodu: jestem przeraźliwie głodna. Od wczoraj nic nie jadłam. Nie wiem, czy można stąd gdziekolwiek wyjść. Nie mam śmiałości ponownie iść do kuchni, a tym bardziej zapytać o tak prostą na pozór sprawę. Chce mi się też palić, ale doskonale pamiętam słowa Jej Wysokości: „W pokoju nie wolno pić, palić ani jeść”.

Mam zatem do wyboru: albo stanąć twarzą w twarz z Adele, i być może po raz kolejny zrobić z siebie głupią, albo zasnąć. Wybieram drugą opcję. W pokoju jest ciemno, no powiedzmy, panuje „intymna” atmosfera. Światło na tyle rozjaśnia mrok, by K. widzieli, jakie banknoty wyciągają z portfela.

Mój pokój znajduje się na końcu długiego, słabo oświetlonego korytarza. Dzięki temu nie słyszę, co dzieje się w głównej części przybytku. W pokoju panuje zbawienna cisza. Ponad wszystko nie lubię zgiełku i cenię spokojny sen. Jak się dowiedziałam, to najbardziej nielubiany pokój w całym przybytku. Zakwaterowanie w nim jest traktowane przez stałe bywalczyńce jako kara. Pokój należy bowiem do najskromniejszych, co mi wcale nie przeszkadza. Nigdy nie przepadałam za przepychem, szczególnie tym z najniższej półki – tandetnym. Nie potrzebuję go do życia.

Mieszkając tutaj, tracę kontrolę nad tym, co się dzieje w centrum chaosu i w ogóle w całym domu. Nie wiem, ile razy K. wchodzi lub wychodzą, do kogo i od kogo. Nie potrzebuję tego wiedzieć, nie interesuje mnie nic poza mną i moją tragedią. W duchu dziękuję Bogu, że będzie się rozgrywała w samotności. Widzowie sprawiliby, że musiałabym założyć maskę.

Nie mogę zasnąć, głód szarpie trzewia, staram się jednak trzymać dzielnie. Zastanawiam się, jak radzili sobie ludzie w czasie wojny, kiedy naprawdę było ciężko. „Czy można umrzeć z głodu?”, zapytałam kiedyś

babcię. „Tak, ale tylko wtedy, gdy w odległości pięćdziesięciu kilometrów od miejsca, w którym się znajdujesz, nie ma nic do zjedzenia”, odpowiedziała. A babci ufałam ponad wszystko, w końcu przeżyła wojnę. I Auschwitz.

Przebywam w centrum wielkiej aglomeracji, tak więc ze spokojem mogę zasnąć. Nagle słyszę charakterystyczne trzaśnięcie drzwiami. Adele szarpie mnie za ramię. Coś mówi, ale bardziej z Jej gestów niż słów odgaduję, że jestem gdzieś niezbędna. Wstaję bez słowa, choć nie mam ochoty iść z Nią gdziekolwiek, chyba że na schabowego z kapustą. Ukradkiem

spoglądam na zegar. Dochodzi szesnasta. Przespałam zatem kilka godzin. Przez cały ten czas dzwonek się nie odezwał!

Nie mam siły zastanawiać się, dokąd idziemy przez długi hol. Zresztą co za różnica? Stajemy przed dużymi czarnymi drzwiami. Zawieszono na nich białą tabliczkę z napisem: „ATELIER”.

Pomieszczenie spełnia wszystkie wymogi, aby można je było tak nazywać. Chcą zrobić mi zdjęcia, żeby mnie zareklamować, czyli lepiej sprzedać. Nie mogę mieć do nich pretensji, i nie mam. Przecież jeśli oni na mnie zarobią, zarobię i ja. A po to tutaj jestem...



Janina nie znosiła sesji zdjęciowych, a przede wszystkim pozowania, które wydawało się jej czymś nienaturalnym. Dwukrotnie brała udział w podobnych wydarzeniach. Za pierwszym razem, omamiona jakimś ogłoszeniem w gazecie o fotomodelkach i zapewniona przez pewnego podstarzałego mężczyznę, że idealnie nadaje się do takiej pracy – stanęła przed obiektywem naga. Na polecenie fotografa wystawiała piersi do aparatu, robiąc niemądre miny, co bardzo bawiło kilku siedzących w pracowni mężczyzn. Na szczęście mama Janki, niezwykle czujna, gdyż córka miała wtedy zaledwie siedemnaście lat, chciała popatrzeć, jak z nastolatki rodzi się gwiazda – weszła do atelier i oniemiała.

– A gdzie stanik, przecież to miała być reklama bielizny? – zapytała.

Do samych drzwi kobietom towarzyszyły gromkie śmiechy...

Tamtego dnia Janka na zawsze straciła ochotę na zostanie

fotomodelką albo modelką, mimo że później jeszcze wielokrotnie otrzymywała podobne propozycje. Nigdy jednak nie zapomniała wstydu, jaki przepełniał ją wówczas w drodze do domu.

Za drugim razem znajomy Janki poprosił, aby wzięła udział w sesji. Robił zdjęcia do jakiegoś kalendarza i potrzebował ładnej twarzy. Janina chętnie wyświadczyła mu tę przysługę, ale wiele ją to kosztowało. Dla młodej, żywiołowej dziewczyny siedzenie bez ruchu przez trzy godziny w celu uchwycenia dobrego światła stanowiło męczarnię. Praca nad kalendarzem zakończyła się szybko, podobnie jak znajomość z artystą.



W atelier siedzi trzech mężczyzn, żywo o czymś dyskutują. Witam się z nimi, ale nie odpowiadają. Adele wychodzi. Stoję, bo nikt nie zaproponował, żebym usiadła. Czuję się jak idiotka, nie wiem, co zrobić ze sobą. Ledwo obleczona halką, nie mam gdzie włożyć rąk, więc zwisają nieruchomo wzdłuż zeszywniałego ciała. Może to i lepiej, że jestem taka sztywna, łatwiej mi zachować równowagę, którą zaburzają zarówno głód, jak i zdenerwowanie...

Niemiałą sytuację przerywa Adele. Tym razem po cichu wchodzi do pokoju, za Nią idzie Rita. Mężczyźni przerywają rozmowę, jeden z nich podchodzi do nas.

– Ich bin Thomas – wita się, nie podając mi ręki. Przedstawiam się, choć mam ochotę go zignorować.

Siadamy przy stoliku z jakimiś papierami. Domyślam się, że zajmiemy się formalnościami, a Rita będzie tłumaczką. Chyba jako jedyna nie mówię po niemiecku, choć dobrze rozumiem ten język. Postanawiam się jednak do tego nie przyznawać – „w razie Niemca”, jak mawiała moja babcia. Wszystko przebiega tak, jak się spodziewałam – obdzierają mnie z danych osobowych. Jest im to potrzebne, aby mogli mnie zarejestrować na policji jako prostytutkę.

– Jak to? – pytam ze zdziwieniem Ritę, która – tak jak przypuszczałam – podjęła się roli łączniczki pomiędzy dwoma światami, moim i ich. Zresztą świetnie sobie radzi. Chronicznie nie znoszę policji. Nie żebym miała coś do ukrycia, jednak pewna trauma z dzieciństwa źle wpłynęła na moje postrzeganie panów w mundurach. Rita spokojnie

tłumaczy, że w mieście M. prostytutka jest dozwolona tylko w specjalnie wyznaczonych dzielnicach i tylko pod warunkiem zarejestrowania się. Chodzi tu o bezpieczeństwo kobiet. Mogę się na to zgodzić lub nie, ale jeśli odmówię, żaden przybytek nie przyjmie mnie pod swój dach. Nie mając wyboru, godzę się. W związku z czym następnego ranka czeka mnie wizyta w komisariacie. Widzę, jak Thomas oddycha z ulgą. Najgorsze ma już za sobą, a ja – przed sobą. Pozostaje jeszcze do ustalenia kilka banalnych spraw.

– Jaki serwis robisz? – pyta za pośrednictwem Rity uśmiechnięty Thomas.

„Kto to jest?”, zastanawiam się w myślach. „Szef?”

W ogóle nie rozumiem tego pytania, przecież jestem kurwą po raz pierwszy w życiu. A serwis kojarzy mi się z naprawą czegoś, opieką nad jakimś urządzeniem, ewentualnie wymianą opon lub oleju w aucie. Widząc moją konsternację, Rita, od której czuję mocny zapach alkoholu, a przecież nie ma jeszcze dwudziestej, po raz kolejny ratuje mnie z opresji:

– No, chodzi o to, co oferujesz swoim klientom. Czym chcesz ich do siebie zachęcić? – pyta.

„Sobą”, odpowiadam w myślach. „Niczym nigdy nie musiałam mężczyźni do siebie zachęcać. Sami do mnie lgną, na skaranie boskie. Opędzić się od nich nie można”.

Pytam jednak grzecznie:

– Co mam do wyboru, co macie tu w ofercie?

Podtykają mi pod nos kartkę z usługami, jakie oferują dziewczyny tu pracujące, ale niewiele rozumiem. Rita tłumaczy mi, pomagając sobie gestami.

– Nie, to nie. Nie, tego też nie. – Rezygnuję ze wszystkiego, bo nie byłabym w stanie dać na siebie nasikać jakimkolwiek mężczyźnie.

– To może anal? – pyta zniecierpliwiona już Rita.

Na twarzy Adele widzę satysfakcję. „Nie nada się, szybko się jej pozbędę” – to można wyczytać z Jej miny jak z kartki. Pierwszy raz przyglądam się Jej z uwagą. Ma bardzo ładną twarz, jednak coś mi w Niej nie pasuje... Zbyt wąskie usta? Mój tato zawsze powtarza, że od kobiet, które takie mają, trzeba uciekać jak najdalej. Ponieważ nie mam

dokąd, przenoszę spojrzenie na Thomasa. Przystojny, zadbane mężczyzna. „Ciekawe, czy będzie chciał wypróbować moje umiejętności?”, zastanawiam się i w tej chwili postanawiam, że w moim serwisie nie znajdzie się nic poza tym, co jest tutaj normą, czyli poza normalnym seksem i seksem oralnym.

Coś próbują mi tłumaczyć, chyba że pozbawiam się, a tym samym również ich, większego zarobku. Trudno... Klamka zapadła.

Wstają od stołu, na koniec Rita mówi mi jeszcze, że w M. seks uprawia się tylko w prezerwatywie. Bezwzględnie. Za niedostosowanie się grozi czterdziestoosmiogodzinny areszt oraz utrata przywileju bycia prostytutką, a nawet wysoka kara. Rita przestrzega mnie też przed prowokacjami policjantów, którzy niekiedy podszywają się pod klientów, aby przyłapać dziewczyny na niestosowaniu się do przepisów. „Cóż, akurat z tego powodu nie będę płakała i chętnie się dostosuję”.

Zostaję sama z mężczyznami. Przedstawiają się. Wydają się mili, cały czas się uśmiechają, ale i tak odczuwam wstyd. Jestem chyba najstarsza w tym przybytku. „Boże! A jeśli jestem najstarszą prostytutką na świecie?”, przelatuje mi przez myśl.

Jeden z mężczyzn wskazuje krzesło. Siadam, a on zaczyna robić mi makijaż. Drugi przygotowuje miejsce do zdjęć – wielkie łóżko. Na łóżku leży pled w cętki, imitujący skórę lamparta. Kicz. Pewnie króluje w większości takich przybytków. Na lamparcie będę sprzedawała to coś, co ze mnie jeszcze pozostało – ciało. Za chwilę po raz kolejny utracę swoją osobność, intymność.

Mężczyźni rozprawiają między sobą, jak się domyślam, o dobrym wykorzystaniu światła, odpowiedniej pozycji do zrobienia jak najlepszego ujęcia. Szkoda, że nie dyskutują o moim położeniu w życiu!

Przyglądam się im z ciekawością. Są wobec siebie bardzo czuli. Taką czułość trudno zaobserwować na co dzień w związkach damsko-męskich. Nie wiem, czy miałam kiedyś do czynienia z homoseksualistami, bo bycie gejem w moim kraju nie spotyka się z aprobatą części społeczeństwa, więc oni zazwyczaj nie przyznają się do swoich preferencji seksualnych. U mnie takie pary również nie wywołują pozytywnych skojarzeń. Boję się ich. Czy teraz mi to przeszkadza? Wręcz przeciwnie, czuję ogromną ulgę, bo wiem, że dla

tych panów nigdy nie będę przedmiotem pożądania, tym samym będę tutaj bezpieczna.

Sesja sprawia mi przyjemność, choć muszę się wyginać i wdzięczyc do obiektywu. To banalne, ale poddaję się miłej atmosferze, którą tworzą ci dwaj mężczyźni. Tak to w życiu bywa, że strachowi, nawet jeśli ma wielkie oczy, można pogrozić palcem.

Panowie mają jedno zastrzeżenie – nie uśmiecham się. Ale tego nigdy nie potrafiłam robić na zawołanie.

– Kiedy się nie uśmiechasz, nie jesteś urzekająca. Odpychasz klientów – tłumaczy mi po angielsku fotograf.

Cóż, wcale nie chcę się łąsić. To nie leży w moim charakterze. Postanawiam, że dopóki pozostanę kurwą, nie będę się mizdrzyła do mężczyzn. „Czy kurewstwo na długo zmaże uśmiech z mojej twarzy?”, zastanawiam się z lękiem.

Sesja skończona. Jutro zobaczę, co z tego wyniknie. Reklama dźwignią handlu.

Do pokoju wchodzi Rita. Z upływem czasu, a minęły ponad trzy godziny, jest coraz weselsza, głośniejsza, zachowuje się nienaturalnie. Łapie mnie za rękę i prowadzi przez labirynt korytarzy do holu. Naprawdę można się tu zgubić. Wchodzimy do paszczy lwa, gdzie siedzi chyba z dwadzieścia kobiet. Moje pojawienie nie robi na nich większego wrażenia. Widocznie zdołały już do mnie przywyknąć albo nie poznały mnie, ukrytej pod grubą maską makijażu.

Przyglądam się im z niedowierzaniem. Większość dyskutuje, inne oglądają telewizję, niektóre siedzą ze wzrokiem wbitym w laptopy trzymane na kolanach. Jedna nawet szydełkuje. Zupełnie jak w normalnym życiu. Tak jakby nie były w burdelu, lecz u jakiejś koleżanki na pogaduchach. W głowie rodzi mi się przerażające pytanie: „Czym zatem jest normalne życie?”

Rita jak gdyby nigdy nic podaje mi talerz pełen gorącej zupy, za co jestem jej ogromnie wdzięczna. Nigdy w życiu nie jadłam czegoś równie niesmacznego, ale pożeram to danie w okamgnieniu. Nie wiem przecież, kiedy i czy w ogóle będę mogła stąd wyjść. Szybko zauważam, że nie ma Adele, co nie tylko mnie daje poczucie swobody. Panuje tu teraz bardzo luźna atmosfera.

Zbliża się dwudziesta, a więc oficjalnie można się napić alkoholu. Dziewczyny wyciągają swoje napitki, najczęściej wino i piwo, ale na stole pojawia się również wódka. Tłumaczka i wybawicielka chyba czuje się zobowiązana do opieki nade mną, bo wskazuje ręką, abym usiadła przy niej.

Może chce mi pomóc wejść w ten dziwny, obcy świat. Siedzę zatem, początkowo spięta, ze szklanką wódki w dłoni, w towarzystwie obcych kobiet, które żywo rozmawiają w nieznanym mi języku. Ale nie chcę wiedzieć o czym. Z lubością wlewam w siebie alkohol, aby jak najszybciej zapomnieć o dzisiejszych upokorzeniach. Potem o tym, że w ogóle tu jestem. A jak to bywa przy alkoholu, robię się coraz mniej zestresowana i coraz bardziej dostępna. Zaczynam nawet rozumieć, co mówią, odpowiadam na pytania. Bo tutaj, jak wszędzie na świecie, ludzie są ciekawi, skąd się wzięłaś, co robiłaś i dlaczego. Jako nowa stanowią dla nich atrakcję, koloruję ich codzienne, rozpustne życie. Kiwają głowami, gdy zachęcona alkoholem, opowiadam swoją historię, ale czuję, że nie wierzą w mój pierwszy raz w burdelu. „Pewnie każda tak mówi”, przypuszczam. I to jest ostatnia trzeźwa myśl wieczoru.

Nie pamiętam, jak wróciłam do pokoju, ale dzwonek tej nocy już nie zadzwonił.



Janina nie pamiętała, jakim cudem zdołała nastawić wieczorem budzik. Właśnie dzwonił. Z trudem udało jej się otworzyć oczy. Niczego nie mogła dostrzec. W pokoju było ciemno jak w piekle. Potrzebowała dobrej chwili na pozbieranie myśli i skojarzenie, gdzie szukać włącznika lampki. Znalazła go w końcu, spojrzała na zegar. Dochodziła siódma.

Alkohol ma to do siebie, że dzięki niemu świetnie można się zapomnieć, ale tylko na krótką chwilę. Jankę bolała głowa, powoli też docierało do niej, gdzie się znajduje i po co wstaje. „To nie dom”, uświadomiła sobie, „a ja idę na komisariat przyznać się całemu światu, że jestem kurwą. Idę się zarejestrować. Przybić pieczętkę na swoje ciało”.

Przez cichy, ciemny hol Janka powlokła się do salonu, żeby zapalić papierosa. Nikogo nie zastała. Zachęcona tym, zrobiła sobie dużą kawę z cudzej torebki. „Na dodatek jestem złodziejką. Ale mam to w dupie!”,

skonstatowała. Otworzyła okno na oścież. Świeciło słońce, śpiewały ptaki. Siadła więc na parapecie, zaciągnęła się powietrzem i dymem z papierosa.

W równej mierze czuła niedostatek jednego, jak i drugiego.

Po chwili odkryła, że przeszkadza jej jasność. Jak wiadomo, w ciemności łatwiej się grzeszy. Ptaki też ją irytowały. Uświadomiła sobie nawet dlaczego: za bardzo przypominały jej stary świat, zupełnie różny od tego tutaj.

Janka była umówiona z managerem o ósmej pod przybytkiem. Miał ją zawieźć na policję. Wychodząc z salonu, kątem oka zauważyła czyjeś ciało, bezwładnie leżące na sofie, które wyglądało jak zwłoki. Janka stanęła w pobliżu, nie wiedząc, co zrobić. Sprawdziła, czy Rita oddycha. Żyła. Zastanawiała się, czy dziewczyna mogła tak spać w kuchni, skoro każda miała swój pokój. Ostatecznie zostawiła Ritę samej sobie.

Od tej pory obraz „zwłok” Rity na sofie, choć dziś szokujący, stał się codziennością...

Zgodnie z umową Janka wyszła z przybytku punktualnie o ósmej. Zdziwiło ją, że opuszczenie tego miejsca okazało się niezwykle proste. Wystarczyło otworzyć drzwi, którymi poprzedniego dnia wpuszczala K., i zejść parę schodków w dół.

Przed Janką rozciągała się ulica w centrum wielkiego miasta. W porannym zgiełku ludzie spieszyli się do pracy. Przeszkadzała im, stojąc na środku chodnika. Niektórzy potrącali Jankę. Choć tego nie lubiła, tym razem czuła się szczęśliwa, mimo wszystko, bo oto ocierała się o normalny świat. A może tylko na pozór normalny, ale dobrze jej znany, przez co wydawał się przyjazny. Kiedy przyjechała do miasta M., był wieczór i wszystko wyglądało inaczej.

Ludzie biegli do swoich spraw, całkowicie Jankę ignorując. Omijali ją jak naturalne przeszkody – automat do biletów albo słup sygnalizacji świetlnej. Ptaki wciąż śpiewały, a ona złościła się, bo przywoływały wspomnienia z życia, które kochała, choć nie było usłane różami. Lubiała jednak dawać sobie z nim radę, czasami nawet drażnić się z nim.

Zapra gnęła nagle wrócić do domu, do kraju pełnego absurdów i sprzeczności, ale własnego. Teraz stała na granicy dwóch światów. Miała jeszcze szansę zdecydować się, w którym z nich żyć, kiedy podjechało czarne audi. Piętnaście minut po ósmej. „Niemcy też się spóźniają?!”, zdziwiła się Janina. Tchórzliwie wsiadła do samochodu, tym samym... wybrała. Uznała, że już wykorzystwała wszystkie znane sobie sposoby wyjścia z patowej sytuacji, w jakiej się znalazła.

W aucie siedziały jeszcze dwie dziewczyny z innego przybytku. Czeszki. Janka niezbyt dobrze je rozumiała. Rozmowa szybko zaczęła ją męczyć, gdyż przez cały czas musiała być bardzo skoncentrowana. Przestała słuchać i przez okno zaczęła się przyglądać wielkiemu miastu, które w myślach nazywała: Moje Miasto Upadku (M.M.U.). Nic ją jednak w mijanych widokach nie urzekło.

Dojechali na miejsce, gdzie już ich oczekiwano. Pan i pani. Janinę poproszono, by weszła i usiadła przy biurku. Nie odczuwała strachu. Wstydziła się.

Banalną, w ocenie Janki, urzędową rozmowę policjanci przeprowadzali w języku angielskim.

– Czy została pani prostytutką z własnej woli, czy może ktoś panią do tego namówił lub zmusił? – spytała policjantka.

Janina uznała to pytanie za retoryczne, śmieszne i całkowicie pozbawione sensu. Zbyła je milczeniem. Kto mógłby zmusić do czegokolwiek czterdziestoletnią kobietę, matkę dwójki dzieci, prowadzącą się dotychczas nienagannie, jeśli nie samo życie? A właściwie niemożność życia.

– Ile lat jest pani w branży? – zapytał policjant.

– Robię to po raz pierwszy – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Słowa nowicjuszek w zawodzie wywołały poruszenie. Policjanci zaczęli szeptać coś do siebie. Pani gdzieś zadzwoniła. Pan wyszedł po to, by za chwilę wrócić z kubkiem gorącej, pachnącej kawy, jakże potrzebnej teraz zawstydzonej kobiecie. Potrzebnej do ukrywania łez i drżenia twarzy. Za każdym razem, kiedy Janina sięgała ustami kubka, schylała głowę i uciekała wzrokiem od wnikliwych spojrzeń, w których dostrzegała litość, współczucie i pogardę. Sama sobie bardzo współczuła, ale nie chciała, by inni jej to okazywali. Kiedy tak się działo,

czuła się słaba, zalękniona, bezsilna. Cudze współczucie sprawiało jej ból.

Policjanci siedzieli w milczeniu i udawali, że się czymś zajmują. Janina dostrzegła ich zniecierpliwienie w oczekiwaniu czegoś lub kogoś. Domyślała się, że będą próbowali nawrócić zbłąkaną duszę na właściwą drogę.

W pewnym momencie do pokoju weszła młoda kobieta. Zbliżyła się do Janki zdecydowanym krokiem i mocno uścisnęła jej dłoń. Nietrudno było wywnioskować, że to psycholog. „Jak ona chce mi pomóc”, pomyślała Janina, „cytując frazesy z książek?” Wstała i grzecznie dziękując za pomoc, otworzyła drzwi. Policjanci poprosili, aby usiadła. Musieli wprowadzić jeszcze do komputera jej dane.

„Chcą obedrzeć mnie z resztek osobowych, żeby je chronić. Tylko przed czym, przed kim? Przede mną samą?”, zastanawiała się początkująca prostytutka.

Ponownie usiadła na krześle, odpowiadając na pytania i czekając na wypisanie potrzebnych dokumentów.

„Co oni robią?”, rozważała po cichu. „Spis ludności? Zaszufiadkują mnie, skontrolują. No tak, to przecież państwo policyjne. Z tego słyną. Może na tym polega ich wyższość nad innymi”.

Kobieta psycholog przemawiała łagodnym głosem, ale Janina jej nie słuchała, bo wiedziała, jak teoria ma się do praktyki. Łatwo radzić komuś, przytaczając regułki i definicje, nie rozumiejąc jego położenia. Janina wierzyła, że z każdej sytuacji istnieje jakieś wyjście, a prostytutkę uznała za jedyny dostępny w tym momencie sposób na rozwiązanie swoich problemów. Na ostateczne rozstrzygnięcie się nie zdecydowała. Uchroniła ją przed tym krokiem miłość do dzieci. I strach przed Bogiem.

Kiedy Janina podpisywała dokument poświadczający, że oficjalnie została zarejestrowana jako prostytutka, policjanci z zaciekawieniem patrzyli na jej niewładną rękę. Zignorowała ich spojrzenia. Właśnie uzyskała to, po co tu przyszła – pozwolenie na czerpanie korzyści majątkowych ze sprzedaży tego, co i tak było tylko jej, czyli siebie. Policjanci poinformowali jeszcze Janinę, że z zarobionych pieniędzy powinna się rozliczyć ze swoim *Finanzamtem*.

– Na pewno to zrobię – zapewniła, uśmiechając się fałszywie

i dodając w myślach: „Między innymi przez ten chory polski *Finanzamt* tu jestem. Nie mnie jedną puścił z torbami i wygnał w świat”.

Janina starała się żyć uczciwie, dlatego postanowiła, że nie będzie liczyć zarabianych pieniędzy. „Nie wiem, nie pamiętam, niewiele, nic”, powtarzała w myślach, utwierdzając się w swej niewinności. „Poza tym w moim katolickim świecie prostytutka nie istnieje... przynajmniej oficjalnie!”



Wstaję jako zadeklarowana kurwa. Na odchodne pytam pani psycholog:

– Czy da pani moim dzieciom jeść?

Nie odpowiada, czego oczywiście się spodziewałam. Głupio się uśmiecha, co świadczy o braku argumentów.

Grzecznie zamykam za sobą drzwi, tak jak nauczyli mnie rodzice. Zaczynam rozumieć konsternację goszczącą na twarzy pani psycholog. Uświadamiam sobie, że ona nie zna realiów mojego świata. Bo skąd? O tym się w telewizji nie mówi ani nie uczy tego w podręcznikach do historii. Co więcej, nawet gdyby знаła fakty, po prostu by ich nie zrozumiała.

Wyjechałam z kraju jak miliony rodaków za kromką chleba i przyjechałam do krainy miodem płynącej. I nieważne, co każdy z nas robi – czy się kurwi, czy pracuje jako lekarz lub informatyk – ważne, że nie pokazujemy swoich umiejętności, dyplomów albo wdzięków u siebie.

Z powrotem jedziemy do przybytku. Nie mam dobrego nastroju – w przeciwieństwie do moich koleżanek po fachu. One śmieją się, dyskutują, żartują. Może nie robią tego po raz pierwszy? A może zachowują się tak dlatego, że są młodsze, na moje oko o jakieś piętnaście lat. Należą więc do pokolenia, któremu prostytutka nie kojarzy się źle, dla którego jest normalnym sposobem na życie. Pokolenia, które kurewstwo nazywa sponsoringiem lub wypadem do galerii na małe zakupy. Ale co mnie to obchodzi? Czuję się bezsilna wobec dzisiejszych wydarzeń, a to wywołuje irytację. Złoszcząc się, tłumię strach.

Bezczelnie pytam managera:

– Czy z tego burdelu można wyjść na chwilę do sklepu, żeby

zrobić sobie jakieś zakupy, bo głodny człowiek nie może dobrze pracować?

Trochę zdziwiony – nie wiem, czy moim pytaniem, czy tonem, jakim je zadałam – odpowiada z uśmiechem, że tak, oczywiście, przecież to nie jest więzienie. Niepotrzebnie się na nim wyładowałam. Czy dlatego, że jest Niemcem? A przecież nie lubię Niemców za to, co robili kiedyś w moim kraju, za ludobójstwo, grabież majątku, niszczenie kultury, odzianie nas z dumy i honoru.

Zawstydzona swoim nietaktem, w pośpiechu wysiadam z samochodu. Wbiegam po schodach i pędzę do swojego pokoju. Chcę jak najszybciej wyciągnąć spod szafy zarobione wczoraj na lewo pieniądze, żeby pójść do sklepu po wszystko, co niezbędne do przeżycia. Ciekawi mnie, czy powiesili moje zdjęcia w galerii fotosów, ale nie śmiem spojrzeć na gablotę, bo pod drzwiami przybytku stoi mężczyzna.

Naciskam na dzwonek, ale zanim zaspana Adele otwiera drzwi, mężczyzna pyta:

– Du bist Johanna?

Co mam mu odpowiedzieć? Że nie jestem wykąpana i mam na sobie dres? Zresztą nie ma jeszcze dziesiątej rano... Skąd on się tu wziął?

Kiwam głową. Adele otwiera drzwi. Wchodzimy.

Już po chwili wrzucam pieniądze do sejf, zapisuję, co trzeba, na kartce. Adele wymownie kiwa mi palcem. Gest ten odbieram jako zbyt dużą złośliwość.

Grzecznie biegnę pod prysznic, potem znów przez cały hol do pokoju. K. już tam czeka. Skąd wiedział, że to mój pokój? Śniadanie szlag trafił. Słysząc, jak burczy mi w brzuchu.

K. stoi rozebrany. Ma bardzo atrakcyjne ciało. Jest piękny. Po co tacy mężczyźni przychodzą do tych brudnych miejsc?

Ja mam na sobie bieliznę – pancierz zapewniający parę dodatkowych chwil osobności.

K. zaczyna mnie całować, bardzo czule i delikatnie. Chcąc nie chcąc muszę przyznać, że to przyjemne. Pieści językiem moje piersi. Jego penis jest gotowy, więc podaję mu prezerwatywę. Patrzy na mnie z niedowierzaniem. Ja tego nie robię, bo mi się nie chce, bo sobie

obiecałam, bo mam chorą rękę, którą mu pokazuję. Każdy powód dobry, żeby nie poniżać się bardziej. Ze zrozumieniem mnie wyręcza. Jeden problem z głowy...

Wchodzi we mnie powoli i tak samo kocha. Robi to z taką czułością, jakbym była jego ukochaną. Patrzy mi głęboko w oczy, a ja jemu, bo nie mam nic do stracenia. Cały akt trwa na tyle długo, że zaczyna mnie irytować. Ukradkiem spoglądam na zegarek. Jeszcze pół godziny. Czas zatem przejąć inicjatywę.

Zaczynam go namiętnie całować, choć nie powinnam – za to bierze się dodatkową opłatę. Swoim ciałem podaję rytm jego ciała. Podejmuje wyzwanie i szybko przynosi to rezultat, wyrażony głośnym krzykiem. Z jego strony, rzecz jasna.

Leży na mnie zbyt długo jak na moją kurewską wyrozumiałość. Delikatnie odpycham go od siebie. Czuję głód, zaczynam się złościć i powtarzam w myślach: „Idź sobie, no idź już”. Ale on rozkłada się na łóżku i pięknie uśmiechając, zagaja rozmowę. Padają banalne pytania: jak masz na imię, skąd jesteś, ile masz lat? Nie mam ochoty na ciche dyskusje, zbywam go więc twierdzeniem, że nie rozumiem i że nie mówię w żadnym języku poza moim rodzimym. Niewiele ryzykuję, ten ostatni znają tylko nieliczni.

K. wstaje, ściąga papierem prezerwatywę, zaczyna się ubierać. Zarzucam szlafrok i na boso odprowadzam go do drzwi. Na szczęście w holu głośno gra muzyka. Nie słyszę, co mówi. Żegna się, całując mnie w policzek. Z trudem wymuszam uśmiech, nie lubię oszukiwać.

Zamykam drzwi i wędruję do salonu, aby ogłosić Adele i wszystkim tam obecnym, że oto K. opuszcza progi przybytku. Ona kiwa głową, jakby była niezainteresowana. Jest zajęta surfowaniem w internecie. A ponieważ o tej porze zaczyna się w przybytku życie i nie ma ani jednego wolnego miejsca w bezpiecznej odległości od Królowej, zmuszona sytuacją, przysiadam przy Jej tronie. Przycupuję, bo Adele zajmuje prawie całą sofę, nie jest kobietą małych gabarytów. Zapalam papierosa. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Znów czuję się jak kosmitka... Szukam wzrokiem Rity. Jest. Śpi, pochrapując w tym samym miejscu, w którym widziałam ją rano.

Spoglądam w okno, ale nic nie widzę, choć dzień w pełni. Szybę

przysłania czarna roleta. Po co? Pewnie po to, by zmniejszyć naszą tęsknotę. „Czy te dziewczyny tęsknią?”, zastanawiam się i przyglądam im ukradkiem. Na znużonych twarzach nie dostrzegam cienia nostalgii. Ich oczy są puste jak okna w domach, w których od dawna nikt nie mieszka. „Ale nawet nierządnicę muszą mieć jakieś uczucia, tęsknoty, sumienia... Przecież nie siedzą tu dla własnej przyjemności!”, protestuję w imieniu dziewczyn. Jednak żaden bunt nie rozwiewa znużenia na ich twarzach. Zatem to rutyna, pogodzenie z losem. Przywykły do stanu ciągłego oczekiwania.

„Czy ja też za jakiś czas będę miała tak otępiałą minę jak one?” I nagle doznaję olśnienia: „Skoro ja mogę stać się taka jak one, to one musiały być kiedyś takie jak ja...”.

W myślach przygotowuję się do powiadomienia Jej Kurewskiej Mości, że zamierzam wyjść do sklepu. Przychodzi mi to ciężko, ale w końcu zbieram się na odwagę. Gdy nabieram powietrza do płuc, rozbrzmiewa przerażający dzwonek. Dopiero teraz zauważam, że nad sejfem są przyciski. Mnóstwo przycisków. Przy każdym widnieje imię dziewczyny oraz numer pokoju. Z przerażeniem odkrywam, że światełko zapaliło się obok imienia Johanna.

Adele wygania mnie do pokoju, pokrzykując. Nie jestem pewna, ale chyba po czesku, może słowacku. Rozumiem tylko, że mam założyć buty, tak jakby właśnie one w tej chwili były najważniejsze. Biegnę przez hol, szybkim ruchem poprawiam włosy i znikam w swoim pokoju. Po chwili wchodzi K.

To starszy mężczyzna. Przez chwilę łudzę się, że nie będzie to trudny akt, bo przecież wiekowi panowie zazwyczaj są mili. Ten jednak nie ma przyjaznej aparycji. Taksuje mnie wzrokiem z góry na dół. Zatrzymuje spojrzenie na piersiach, potem przenosi je wyżej i patrząc mi w oczy, mówi:

– Eine Stunde.

Wyciąga z portfela sto pięćdziesiąt euro.

Grzecznie sugeruję, żeby skorzystał z prysznicza, ale całkowicie mnie lekceważąc, rozbiera się i kładzie na łóżku. Zanim zacznie się zabawa z K., muszę zanieść pieniądze do sejfu i zapisać czas. To priorytet. Kiedy wracam, pokój jest przesiąknięty nieprzyjemnym

zapachem, właściwie odorem nie do zaakceptowania.

„I co teraz? Czy mam obowiązek mu się oddać?” Chcę uciec, poprosić Adele o pomoc, bo przecież tak nie można... Pieniądze pieniędzmi, ale nawet one nie zabijają tego smrodu.

K. chrząka głośno, napominając do wyświadczenia usługi, za którą zapłacił. To moja powinność.

Kładę się koło niego. Włazi na mnie i przygniatając mocno, penetruje moje bezwładne ciało. Odwracam głowę na bok. Tylko dlatego nie zachłystuję się wymiocinami. K. kończy szybko. Ubiera się i nic nie mówiąc, wychodzi. Pozostawia po sobie odór i moje ciało wyzute ze wszystkiego...

Ale myśli pędzą, podobnie jak ja do Adele. Nic nie mówię, wkładam tylko głowę przez drzwi, dając znać, że już koniec, że nie naciągam czasu. Zresztą minęło zaledwie piętnaście minut. Wie, bo mruga do mnie okiem. A ja najchętniej wsadziłabym teraz głowę pod gilotynę, żeby zatrzymać fabrykę produkującą myśl: „Co ty robisz?”.

Idę do toalety i pochylam się nad muszlą. Wymiotuję aż do krwi. Chcę wyrzygać wszystko, co we mnie zostało. A kiedy już nic nie ma w moich trzewiach, przytulam się do deski sedesowej. Nie płaczę, tym razem zabrakło łez...

Nie wiem, ile czasu leżę w łazience na podłodze, prawie bez tchu, skopana jak pies. Może powinno przyświecać mi motto „czas to pieniądz”, ale nic do mnie teraz nie przemawia – ani kasa, ani upiornie zimne kafelki, ani Ona, która tu co jakiś czas zagląda. Pewnie się boi, żebym nie umarła!

Moje nagie ciało leży jak pusty worek. Bez duszy, odarte z godności, honoru, którymi się niegdyś szczyciło. Chodziło dumne, wyprostowane i wysoko trzymało głowę. Prawie w chmurach. I co z tego zostało? Wielkie nic. Zero.

Wstaję, gdyż dobijają się do drzwi. Nie wiedzieć czemu, w tym przybytku są tylko dwie łazienki dla kilkunastu dziewczyn. Gdyby do każdej przyszedł K., to zrobiłby się wielki korek. Wlokę się do pokoju po ręcznik, muszę przecież zachować jakąś twarz. Jakąkolwiek.

Stojąc pod prysznicem, już wiem, że kurewstwa nie da się z siebie zmyć. Niczym. Ani detergentami, ani jakimkolwiek drapakiem. Mimo

wszystko szoruję się aż do bólu. Prawie do krwi. Duszy jednak umyć nie można. Boję się, bo wiem, że to brzemię będę nosiła aż do śmierci. I wiem, że kurewstwo to najbrzydsza z sukienek, w jakie dotychczas przyoblekłam swoje ciało.

Wracam z łazienki otępiała. Mijam paszczę lwa. Drzwi są otwarte, a to oznacza, że w przybytku nie ma żadnego K. Staję na progu. Panuje tu gwar, dziewczyny krzątają się po kuchni, rozmawiają. Ona siedzi na swoim tronie. Wszystko mi jedno, więc głośno mówię, że wychodzę do sklepu. A Adele na to, że nie ma problemu. Jakie to proste. Nie taki diabeł straszny... Zakładam na siebie co bądź i wychodzę.

Na ulicy czuję się jak normalna kobieta. Sklep znajduje się nieopodal, ale najpierw wchodzę do małej restauracji i zamawiam pizzę. Jestem głodna jak wilk, więc całą pizzę pożeram błyskawicznie. W sklepie mam wrażenie, że każdy wie, czym się param. To głupie uczucie, więc spuszczam wzrok, choć przecież nie mam na czole tatuażu: „kurwa”.

Robię szybkie zakupy. Kupuję tylko gotowe produkty, bo nie zamierzam zajmować się gotowaniem, jakoś nie pasuje mi to do tego miejsca. A także wino w wielkiej dwuipółlitrowej butli. Już wiem, że bez alkoholu nie przebrnę przez to wszystko. Kupuję też wódkę dla Rity, mojej wybawczynie, w ramach rekompensaty za pomoc. I wracam do więzienia, choć fizycznie uwięziona w nim nie jestem.

Idę prosto do paszczy lwa. Panuje tu teraz ogromne zamieszanie. Przyjechała jakaś lubiana dziewczyna – wszystkie ją obstępują, całują. Ponieważ mnie to nie dotyczy, bez cienia zainteresowania wypakowuję zakupy. Wkładam je do lodówki na przydzieloną półkę. Również wódkę dla Rity, która wciąż śpi. Adele jest zajęta. Postanawiam zabrać ze sobą wino, po porannych przejściach dobrze mi zrobi, bo czemu nie? Nie obchodzi mnie, że to dopiero środek przepięknego, słonecznego dnia, choć zaczął się już wrzesień.

Minęły niespełna dwa miesiące od chwili, kiedy się to wydarzyło. Dlatego tutaj jestem, ale nie zamierzam się teraz nad sobą roztkliwiać. I tak nie ma już we mnie łez!

W zaciszu brzydkiego pokoju spijam z wielkiej butli sowity łyk wina i szykuję się do pracy. Cisza, która tutaj panuje, nie zabija myśli,

jakie wciąż pulsują w głowie. Nie wiadomo po co. Bo choć myśleć warto, to akurat teraz w moim przypadku jest odwrotnie.

Wino świetnie rozgrzewa puste wnętrze. Dzięki temu przekonuję się, że posiadam jeszcze trzewia. Swoją drogą to dziwne, że kurwy zamiast kąpać się w szampanie, piją wino za dwa i pół euro. Trochę zmienia się moje zapatrywanie na ten temat. Nie jest tu bogato. No, ale w końcu na całym świecie panuje kryzys. W tym miejscu nie ma to jednak żadnego znaczenia... Poza tym prostytutka stała się tak wszechobecna, że nawet miliony klientów nie zaspokoją potrzeb wszystkich pracujących kurw. Ja, na szczęście, potrzebuję tylko kilku tysięcy euro, żeby zapewnić dzieciom wikt i opierunek. Żeby spłacić długi, wyrwać się ze szponów urzędowych mątw, komorników zaciskających na szyi pętlę tak mocno, że myśli się o odebraniu sobie życia. Żeby nie dać im sobą pomiatać tylko dlatego, że nie zapłaciłam jakiejś raty. Żeby wyjść na prostą. Żeby w wieku czterdziestu lat zacząć wszystko od nowa...

Czy tak można? Czy to się uda? Mimo dzisiejszego udręczenia, upodlenia? Resztką nadziei, która jeszcze gdzieś się we mnie tli, wierzę, że tak. Bo ileż to razy w życiu stałam na bezdrożu, nie wiedząc, dokąd pójść? Ile razy zamykałam jakiś niefortunny rozdział, aby zacząć nowy etap?

Pociągam z butli duży łyk. Zastanawiam się, co złego w winie za dwa i pół euro. To czysta ekonomia... Po co nabijać kabzę bogatym? Powinnam pomyśleć o szklance, byłoby wygodniej. Cóż, tak też jest dobrze. Też działa. I to jak!

Przygotowana do pracy na tyle, na ile potrafię, to znaczy bez przesadnego makijażu czy wyszukanej fryzury, co uważam za zbędne, idę zapalić papierosa. Bez obaw wchodzę do paszczy lwa. „Kto powiedział, że alkohol to samo zło?”

Trochę się tutaj wyciszyło. Oczekujących na dzwonek jest mniej niż wcześniej. Gdzie się podziały te wszystkie rezydentki? Zniknęły w czeluściach pokoi? Z klientami? Jeszcze kilka godzin temu salon pękał w szwach. Teraz siedzi tu tylko kilka dziewczyn zajętych własnymi światami. Bo przecież każda z nas, kurw, ma swój świat. Skrawek miejsca na ziemi, który przydzielił Bóg, aby go jakoś zagospodarować.

Każda z nas, wyklętych, ma jakieś uczucia, emocje, swoje życie... Jesteśmy jak inni!

Dziwi mnie uśmiech na pięknej, beztroskiej twarzy Adele, gdy siadam przy Niej na tronie.

– Halo, Johanka – mówi czule, wciskając do ręki kopertę, jak się domyślam, z pieniędzmi.

Nie znikają więc na zawsze w czeluściach sejfu, lecz są wypłacane na drugi dzień po wykonanych usługach. „A może dostałam wypowiedzenie z pracy?”, żartuję sobie w myślach, odkrywając, że z winem łatwiej przyzwyczaić się do pobytu na poziomie zero.

Pieniądzy nie śmiem przeliczać na oczach koleżanek, choć należałoby. W końcu kurwa z założenia nie powinna ufać nikomu, szczególnie w kwestii finansów. W normalnym życiu nigdy jednak nie potrafiłam otwarcie okazać komuś braku zaufania. Z góry zakładam, że wszyscy są uczciwi, no i wiadomo...

Zżera mnie ciekawość, ile zarobiłam. Pamiętam o złożonej sobie na komisariacie obietnicy: nie będę liczyła zarobionych w przybytku pieniędzy. Ale przecież muszę się dowiedzieć, czy odliczyli mi pięćdziesiąt euro kary. W tym celu nie biegnę od razu do pokoju. Zapalam następnego papierosa. Zaciągając się, spoglądam w przyciemnione okna. Ukradkiem patrzę na koleżanki i zastanawiam się, czy kiedyś dopasuję się do tego towarzystwa. Po dłuższym namyśle daję sobie odpowiedź: „Nie! Bo nie chcę, bo jestem inna! Od dziecka”.



Janka od dziecka zawsze stała z boku. Przyglądała się wszystkiemu wokół jakby zza szyby. Pamiętała, jak rodzice i dziadkowie się o nią martwili, prowadzali do pedagogów, psychologów. Po pewnym czasie uznali, że ma po prostu specyficzny charakter, a ponieważ łatwo nawiązywała kontakty z rówieśnikami, przestali ją stresować wizytami u specjalistów. Mogła odtąd tkwić za szybą swojego świata i w spokoju przeżywać dziecięce lata. Rodzice tymczasem borykali się z trudną codziennością lat siedemdziesiątych.

Mimo wszystko Janka dorastała jako szczęśliwa dziewczynka. Sen z dziecięcych powiek spędzała jej tylko czarna wołga, ówczesny straszak na dzieci. I choć nie do końca pojmowała, jakim cudem ta wołga może

wiedzieć, kiedy jest niesforna, to jednak gdy gdzieś ujrzała czarny samochód, pędem uciekała do mamy – wówczas jeszcze swej ostoji.

Innym złym wspomnieniem, choć jednym z nielicznych, były kolejki... za wszystkim, za nie wiadomo czym, za niczym, w których stała z mamą pod sklepem, czasem nawet od szóstej rano. Przez pół dnia, w upale lub na mrozie. Wtedy to było normalne. Wtedy takiego postępowania nikt nie nazwałby znęcaniem się nad dzieckiem.



„Boga tu nie ma”, pozwalam sobie na taką myśl. „Poszedł na spacer, bo czemu nie? On też ma prawo do odpoczynku”.

Dzwonki rozwrzaskują się jeden po drugim, jak w każdy piątek. Dziewczyny ruszają do ataku. Podnoszą swoje małe i duże siedziska, zaczyna się istne piekło... Rozbrzmiewa też mój dzwonek. Pędzę przez hol, żeby założyć buty, chociaż to i tak nie ma znaczenia, równie dobrze mogłabym biec boso. Otwieram drzwi i – o dziwo – nie drzę z przerażenia. Jestem pozbawiona jakichkolwiek emocji. Biorę K. za rękę i prowadzę do łazienki. Myślę tylko o tym, aby wziąć pieniądze i odbębnić swoje.

„Odbębnić? Czy to nie zaczyna być chore?” Ale nie zastanawiam się nad niczym, a z K. obchodzę się automatycznie jak robot. Kiedy wchodzi do pokoju, leżę na łóżku. Pewnie sprawiam wrażenie, jakbym na niego czekała, a ja tylko chcę się go jak najszybciej pozbyć.

Kładzie się koło mnie. Zaczynam go namiętnie całować w usta, potem po sutkach. Delikatnie dotykam jąder, masuję penisa, a kiedy robi się wielki, rozkładam swoje długie nogi, aby przyjąć go w sobie. Wiem, że na mężczyzn to działa, ale w tym wypadku to zbędne. Jest gotowy... Jego sperma tryska na moje łono.

„Jakie to proste”, myślę, podając mu ręcznik.

Wyciera się, nie patrząc na mnie, jakby się wstydził. A ja czuję się jak miłosierna siostra.

Wychodząc, całuje mnie w policzek. Nie odprowadzam go do drzwi, bo po co...? Biegnę do łazienki się umyć. Gdy namydlam swoje ciało, nie myślę o niczym. Tak jakby ktoś wyłączył mi myślenie, a może tak działa wino?

Prysznic zawsze był dla mnie zbawienny. Jednak teraz nie

przynosi ukojenia. Bo nie zmywa ze mnie brudu, bo jest tylko przecinkiem między kolejnymi K., bo ktoś wali do drzwi i krzyczy:

– Johanna, masz chłopca na pokój!

W pośpiechu splukuję z siebie resztki mydła i omotana ręcznikiem biegnę przez hol. Znowu nie czuję strachu, lecz lekkie podniecenie. Nie seksualne, ale finansowe. Choć nie dostałam jeszcze wszystkich zarobionych pieniędzy, przeliczam je w myślach. Jeśli nic się nie zmieni, za kilka dni będę mogła wrócić do domu. Do dzieci. Do mojego świata.

Kiedy K. bierze prysznic, znieczulam się winem. Bez alkoholu byłoby ciężko. Myślę tylko o tym, aby nie upić się za mocno i nie stracić kontroli nad sobą. Dzwonek dzwoni raz po raz. Niekiedy nie mam nawet czasu, żeby wziąć prysznic. Wszystko odbywa się jak w fabryce na taśmie. Biegam przez hol, tam i z powrotem, za każdym razem wstępując po drodze do paszczy lwa. Nie liczę już, ilu K. odwiedza mój pokój, a tym samym moje wnętrze. Jakie to ma znaczenie – jeden czy stu? Tracę poczucie czasu, nie kontroluję, ile pieniędzy wrzucam do sejfów. O nie jestem spokojna.

Po każdej penetracji pijam z butli zbawienny łyk wina...

Zawsze z obrzydzeniem zastanawiałam się nad tym, jak można mieć kilku partnerów w ciągu jednego dnia. Jak to się udaje nie tylko fizycznie, ale przede wszystkim psychicznie? Teraz przekonuję się, że można.

Kiedy w końcu siadam w salonie, aby zapalić w spokoju zasłużonego papierosa, dochodzi trzecia nad ranem. Oprócz mnie jest tylko Rita. Śpi, głośno pochrapując. „Jak można tyle spać”, zastanawiam się, „a nawet jeśli można, to dlaczego w burdelu?” Cóż, każdy ma swoje paranoje, jak to w życiu.

Rozbrzmiewa dzwonek, jego dźwięk wibruje w moim ciele. Padam ze zmęczenia, ale idę otworzyć drzwi. W progu stoi mężczyzna. Przystojny jak diabeł, ale ma jedną wadę – jest czarny jak smoła. Rozciąga twarz w pięknym uśmiechu, ale nie przekonuje mnie tym do siebie. I nigdy nie przekona.

– Jestem rasistką! – krzyczę i z trzaskiem zamykam mu drzwi przed samym nosem. Za żadne skarby nie pójdę z czarnym. Mam to od zawsze. Ja nie pałam się po ich świecie, więc niech oni nie chodzą po

moim. I nie ma znaczenia, że to burdel, że obcy kraj. Ale moja Europa! W tych okolicznościach czuję się całkowicie rozgrzeszona z nieróbstwa. Przed wszystkimi, przed moim Bogiem też. Zwłaszcza przed Nim.

Zanim wrócę do paszczy lwa, idę do pokoju po wino. Sięgam pod szafę, do mojego skarbca, i wyciągam pieniądze – nielegalny napiwek oraz wypłatę od Adele. Liczę i nie wierzę. Aż tyle! Gdy dodam do tego dzisiejszy zarobek, powoli będę mogła się pakować.

„Cholera, miałam przecież nie liczyć”, znów przypominam sobie o złożonej obietnicy.

Siadając w pustym salonie, tym razem już ze szklanką pełną wina, przestaję się dziwić tym kobietom. Sobie samej też. Po co się męczyć, pracując za marne grosze? Po co być wyrobnikiem i tyrać na bogaczy, skoro tutaj przez kilka dni mogę zarobić tyle, ile na etacie w kraju w ciągu dwóch, trzech miesięcy? Teraz nie jestem już ani tak zniesmaczona, ani przerażona jak wczoraj. Czego to pieniądze nie robią z człowiekiem...

Jak łatwo zostać kurwą!

Wystarczy nie mieć wyboru... Stanąć pod murem ze świadomością, że cię zastrzelą, i z opuszczoną głową czekać na śmierć lub próbować uciec. Nie wiesz, czy się uda, ale szybko podejmujesz decyzję, by jeszcze chwilę pożyć na tym przepięknym świecie. Minutę dłużej, dwie albo do końca życia. Z bliznami, bez nogi, ręki, serca lub duszy.

Tak było w moim przypadku. Uciekłam. Dzieci albo honor i duma. Wybrałam dzieci. Jak jest w innych przypadkach, nie wiem. Jak dotąd nikt ze mną o tym nie rozmawiał, zresztą nie chcę tego. Każdy ma swoją historię.

Moje trochę pijane myśli przerywa muśnięcie po ramieniu. Cały czas wpatruję się w okno, choć przecież nie widać, czy jest dzień, noc czy nadranek... Odwracam głowę. Koło mnie siedzi dziewczyna, rano głośno witana przez koleżanki po fachu.

– Nicole, Niki – przedstawia się, podając mi rękę. Odruchowo wyciągam swoją.

– Ich bin Johanna – mówię.

– Skąd się tu wzięłaś? – pyta. Rozpoznaję, że mówi po słowacku. –

Czy to prawda, co gadają, że jesteś pierwszy raz w branży?

„Mówią o mnie?” Nie lubię tego, bo czuję, jakby ktoś deptał mój świat. Jaki by nie był marny, jest mój. Doskonale pamiętam słowa taty, który pocieszył mnie kiedyś tam, spłakaną, bo ktoś naopowiadał nieprawdę o mnie: „Nieważne, co o tobie mówią, skoro mówią, to znaczy, że jesteś!”. A więc jestem... w burdelu.

Nie chcę jej okłamać. Mam ochotę się wygadać, wyzalić. Ma w sobie coś, co sprawia, że czuję się bezpieczna. Nie muszę nikogo udawać. Mogę być przy niej sobą. Resztką siebie, która pozostała.

– Nie – po raz pierwszy szczerze odpowiadam. – Przyjechałam tu ze Szwajcarii. Tam był mój pierwszy raz. Sama się dziwię, że zwierzam się zupełnie nieznannej kobiecie, która wcale nie musi być mi przychylna, wręcz nie powinna.

– Przyjechałaś tu całkiem sama? – pyta, a na jej twarzy maluje się niedowierzanie. – Do obcego kraju, do nieznanego klubu? Albo jesteś wariatką, albo desperatką. Zresztą, co to za różnica, jedno i drugie idzie w parze. Czemu nie zostałaś w Szwajcarii?

Odpowiadam jej niepewnie:

– Bo nie było tam chętnych na moje usługi. Przez pięć dni żaden mężczyzna nie zawiesił na mnie oka. Odnoszę wrażenie, że Szwajcarzy mają skłonności pedofilskie, wybierają kobiety o wyglądzie dziewczynek. Im chudsza, im mniej krągłe piersi i biodra, tym lepsza, bardziej pociągająca. Kobiecość w tamtym kraju umarła.

– Wiem – odpowiada, nalewając wina do szklanek. – Byłam tam. I jebać pedofili. Na szczęście tu jest inaczej. Pijmy nasze zdrowie.

Dobrze się przy niej czuję. Może to zasługa alkoholu, ale wydaje się miła. Pamiętam jednak słowa dziewczyny ze Szwajcarii: „Nigdy nie szukaj koleżanek w burdelu. I nikomu nie ufaj!”.

Nasze nocne rozmowy przerywa dzwonek. Tym razem światelko zapala się przy imieniu Rita. Niki idzie otworzyć drzwi, a ja próbuję obudzić śpiącą kurewnę.

– Masz chłopa na pokój – krzyczę.

Zrywa się na tyle, na ile pozwala jej uśpione, pijane ciało. Wstaje, lekko się zataczając, ubrana w wyświechtaną koszulkę i pończochy. Zakłada buty i znika, zamykając za sobą drzwi. A ja się dziwię, że tak

można. Przecież są tu jasno ustalone reguły gry. Moje zdumienie sięga zenitu, gdy po chwili wraca i oświadcza, że idzie na godzinę. Czyli dla K. to nie ma znaczenia, że dziewczyna jest brudna i pijana w sztok? Wino czy zmęczenie daje mi się we znaki. Postanawiam iść spać, bo rano trzeba wstać. A Nicole gdzieś przepadła. W pokoju szybko zmywam makijaż i padam na łóżko.

Ranek wita mnie jakimś poruszeniem w holu. Słyszę podniesione głosy. Wstaję, ale nie śmiem sprawdzać, co tam się dzieje. Bo co mnie to właściwie obchodzi? Głowa pęka od nadmiaru wypitego wina, ale muszę się zbierać do pracy. Spoglądam na zegar. Dziesiąta rano. W tym momencie Królowa z impetem otwiera drzwi i krzyczy:

– Johanka, wstawaj.

„Widzi przecież, że nie śpię, do cholery”.

Nie komentuję Jej słów, w takich wypadkach milczenie jest złotem.

Idę pod prysznic, prawdopodobnie będę musiała czekać w kolejce, dużo nas tu. Nie spotykam jednak nikogo ani w holu, ani w łazience. O dziwo... cisza jak makiem zasiał. Biorę prysznic bez pośpiechu. I pozornie czuję się lepiej.

Zanim wrócę do pokoju, wstępuję do paszczy lwa. Nie ma nikogo, poza Ritą oczywiście. Robię kawę, bo też należy mi się chwila przyjemności. Z rozkoszą siadam przy tronie Królowej i z taką samą rozkoszą piję łyk gorącej kawy. Zaciągam się papierosem. Gdzieś z głębi przybytku znów dobiegają podniesione kobiece głosy. Zdaję sobie sprawę, że to tylko chwilowy spokój, zaraz zacznie się rwetes. Ale mimo to wzdygam się, gdy drzwi otwierają się z charakterystycznym rozmachem. Nie muszę spoglądać, kto wchodzi. Nie patrzę na Adele, ale czuję, jak taksuje mnie wzrokiem. Gdy zaczyna coś mówić podniesionym tonem, spoglądam Jej w oczy. Wyraźnie jest czymś poruszona, nie mam pojęcia czym. Nie rozumiem Jej. Mówi dużo i szybko, a ja zaczynam się kurczyć pod naporem nieznanych słów. Skupiam się i naprawdę staram, ale wyłapuję tylko niektóre wyrazy. Na szczęście z pomocą przychodzi Rita. Mimo wszystko zachowuje czujność. Wyjaśnia, że nie czas na picie kawy, szczególnie że używam osobistego kubka Jej Królewskiej Mości. Natychmiast mam się przygotować do pracy, a za karę odbyć służbę w salonie. I choć nie jest

dla mnie jasne, na czym polega owa służba, już żałuję tej odrobiny luksusu, na jaki sobie pozwoliłam. Gaszę papierosa, jednym duszkiem wypijam kawę i myję kubek. Wychodzę, nie mówiąc ani słowa.

Zanim dojdę do pokoju, słyszę jeszcze, jak Adele krzyczy, że mam wrócić, jak tylko będę gotowa.

„Będę gotowa dopiero wtedy, kiedy uznam to za stosowne”, odpowiadam w myślach. Szykuję się jednak do swojej roli bez zbędnego pośpiechu. Dlaczego niby kurewstwo ma nauczyć mnie pokory, skoro nie zrobiło tego życie przez tyle lat?

Przygotowania zaczynam od suszenia włosów, z nimi mam największy problem. Potem balsamuję całe ciało. Wkładam bieliznę, halkę i pończochy. Robię lekki makijaż i próbuję ułożyć jakąś sensowną fryzurę. Odnoszę wrażenie, że moje włosy miewają nastroje. Dziś nie jest on najlepszy i nawet jeśli będę z nimi walczyć godzinami, nie poddadzą się żadnym zabiegom, podobnie jak ja jeszcze parę dni temu. Zostawiam je więc w spokoju. Sama nie mam najlepszego humoru. Przypominam sobie, że rankiem wróciłam z butlą wina. Nie ma go zbyt wiele, ale wystarczy, żeby się trochę znieczulić. Pijąc wino, liczę w myślach pieniądze, które za chwilę wręczy mi Adele. Znów łamię własną obietnicę...

Ilu miałam K.? Siedmiu, dziewięciu? Nie pamiętam dokładnie. Czy to przez alkohol, czy przez podświadomą chęć wyparcia tego? Nieistotne. To niczego nie zmieni w moim życiu, nie ma sensu się nad tym zastanawiać. Wypijam ostatnie krople wina i odważnie, a nawet z ciekawością, wędruję do paszczy lwa. Nadal cisza, muzyka nie gra, nikt się nie kręci. A jest już po jedenastej. Zegar tyka...

Otwieram drzwi i nie wierzę własnym oczom: Rita krząta się po kuchni z uśmiechem na ustach jak gdyby nigdy nic. Jakby była w domu.

– Hallo, Johanka, chcesz kawę? – pyta. – Siadaj, robię śniadanie. – Stoję jak zaczarowana, bo czy można mieć aż tak dwa różne oblicza?

Oczywiście, że można. Czy ja sama nie będę miała albo już nie mam dwóch twarzy? Z jednej strony – matka dzieciom, z drugiej – kurwa. Przeraza mnie to. I przerasta w dwójnasób. Boże, jak ja stąd wrócę do swojego świata? Jak spojrzę wszystkim w oczy?

Zanim Rita przyniesie mi kawę, podejmuję decyzję – jutro

wyjeżdżam do domu. I nigdy tu już nie wrócę! A może nawet pojedę jeszcze dzisiaj, i to zaraz.

Czemu nie? Przecież nikt mnie tu nie więzi, nie trzyma na siłę. Jestem wolnym człowiekiem. Ta myśl tak mnie podbudowuje, że uśmiecham się do Rity. Ona odwzajemnia się tym samym.

– Siadaj koło mnie. Po co siedzisz koło Adele?

„Właśnie, dlaczego siedzę przy tronie? Mogę siedzieć, gdzie chcę. Nie mają tu miejscówek. Jestem tak samo pełnoprawnym członkiem przybytku jak one”.

– Co to znaczy służba? – pytam, zajadając jakąś niesmaczną sałatkę.

– Musisz tu sprzątać przez cały dzień – odpowiada. Myć naczynia po nas, wymieniać popielniczki, zetrzeć podłogi, ogólnie mówiąc, dbać o czystość.

„Jak to? Przecież ja tu pracuję w innym charakterze! No tak, ale podpadłam Adele”. Kolejne upokorzenie – będę sprzątaczką, ale zniosę to z pokorą. Myśl, że wracam do domu, dodaje mi sił. Nabieram otuchy i ochoczo zabieram się do pracy. Zbieram naczynia. „Boże, ile ich tutaj! Ciekawe, kto wczoraj miał służbę? Wszystko zaschnięte, zaklejone”.

Sprzątanie nie przeszkadza mi dopóty, dopóki nie zaczynają się schodzić dziewczyny. Czuję się niezręcznie. Szczególnie, kiedy obserwuje mnie Królowa. Mój entuzjazm stracił na sile, ale nie mam wyjścia. Bardzo nie lubię takich sytuacji. Zamiatając podłogę, dyscyplinuję się w głębi ducha i powtarzam: „Zachowaj twarz, zachowaj twarz”.

Dziewczyny wcale mi nie pomagają – przeciwnie, muszę się nieźle nagimnastykować, aby brylować z miotłą między ich nogami. Siedzą jak święte krowy i ironicznie się uśmiechają, pozornie zajęte swoimi sprawami. Mam wrażenie, że robię z siebie idiotkę.

Kiedy zabieram się do mycia podłogi, wchodzi Niki. Uśmiecham się do niej, ale ona zachowuje powagę. Zaczyna krzyczeć, zwracając się do Adele, potem do koleżanek. A mi wrywa mopa, łapie za rękę i ciągnie przez hol do pokoju.

– Siadaj, nie wychodź stąd pod żadnym pozorem – rozkazuje. – Zaraz wrócę.

Zamyka drzwi, a ja zostaję sama z niepojętym smutkiem w duszy. Siedzę grzecznie jak mała dziewczynka, która narozrabiała. Boże, który jesteś w niebie, ja się kompletnie nie nadaję do tej pracy. Nigdy się tego nie nauczę, nie pojmę, nie zrozumieć panujących tu niby-zasad. Bycie kurwą to nie tylko sprzedawanie ciała. Bycie kurwą to umiejętność przeżycia w tym brutalnym świecie! Nie można mieć żadnych skrupułów ani wyrzutów sumienia, bo się nie przeżyje. Skopią cię jak psa, zniszczą...

Czuję się przerażająco samotna, jakby na świecie nie było nikogo. Gdzie ta Nicole? Chciałabym, żeby wróciła, ale nie wraca. Czas ciągnie się podobnie jak w tych chwilach, gdy jestem z K. Sekundy zamieniają się w minuty, minuty w godziny. Ślimaczą się, ciągną po cyferblacie jakby na złość. Chce mi się palić, ale za żadne skarby świata stąd nie wyjdę. A co będzie, jeśli ona nie przyjdzie?

Wraca. Oddycham z ulgą. Jest ubrana w dżinsy, adidas, T-shirt. Nie dziwi mnie, że nie wygląda jak prostytutka.

– Ubieraj się, Johanko, idziemy na piwo – rzuca beztrąsko.

„Jak to, a praca?”, myślę. Ubieram się jednak szybko, bo co mi tam, i tak stąd wyjeżdżam. A ona chyba wie, co robi.

Gdy wychodzimy, rzuca w kierunku paszczy lwa:

– Będziemy za dwie godziny.

Nikt nam nie odpowiada.

– Nie bój się, nic nam nie zrobi. Muszę ci trochę poopowiadać, jak jest z Adele, na co i na kogo uważać. Tutaj ściany mają uszy. Wczoraj nie uwierzyłam ci, że jesteś pierwszy raz w burdelu, ale dzisiaj, gdy zobaczyłam, jak myjesz podłogę, przekonałam się, że mówiłaś prawdę.

Nie odpowiadam, w głowie mam mętlik. Poza tym dlaczego miałabym jej ufać?

Wchodzimy do sklepu. Niki kupuje kurczaka z rożna i butlę wina.

– Nie patrz tak na mnie, dobrze nam to zrobi. Na trzeźwo tu nie przeżyjesz.

O tym przekonałam się już sama.

Idziemy do parku. Jest przepiękna pogoda. Mogę przez chwilę poczuć się jak kiedyś. Siedzimy na trawie, jemy palcami, pijemy wino. Rozmawiamy o niczym, śmiejemy się. Okazuje się, że ta

dziewczyna w świecie na zewnątrz jest do mnie podobna. I choć dzieli nas bariera językowa, doskonale się rozumiemy. Czuję się świetnie.

Na chwilę odrywam się od rzeczywistości. Zamykam oczy. Słońce delikatnie muska mnie po twarzy. Śpiewają ptaki. Teraz ich śpiew mi nie przeszkadza...

– Johanna! – Niki przerywa moje rozmarzenie.

Otwieram oczy. Podaje mi butelkę, pociągam duży łyk. I jeszcze jeden, gdy widzę jej poważną minę.

„Ciekawe, ile ma lat? Trzydzieści, może trzydzieści dwa. Czy ma dzieci? I skąd się tu wzięła?” Choć mnie to interesuje, nie zapytam. Niki jest bardzo zamknięta i wiem, że nie lubi bądź nie chce o sobie mówić. Ma do tego pełne prawo!

– Powiem to tylko raz. Nigdy więcej nie będziemy do tego wracały, OK?

W odpowiedzi kiwam głową, że rozumiem.

– Po pierwsze, nasza burdelmama jest najgorszym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu. Nigdy Jej nie ufaj, nie wierz ani jednemu słowu, które wypowie. Nie ulegaj prośbom, namowom ani ślicznemu uśmiechowi, bo zniszczy cię, a może nawet całe twoje dotychczasowe życie! Było już tutaj kilka takich przypadków. Jest wyrafinowana, przebiegła, podstępna i mściwa. Nie rozmawiaj z Nią. No, oczywiście, tylko służbowo. Staraj się być dla Niej nijaka – ani miła, ani agresywna. Nie rzucaj się w oczy.

– No, to właśnie chyba Jej się rzuciłam, i to nie raz. Z niewiedzy. – Opowiadam historię z pierwszym K. – Poza tym czymś Jej podpadłam, dlatego kazała mi sprzątać.

– Od sprzątanania jest Ona. Za to Jej płacą. Wykorzystuje swoją przewagę, twoją uległość, bo wie, że dopiero zaczynasz w branży. Czuję, że się boisz i chcesz, żeby cię tutaj zaakceptowano. Oczywiście nie łudź się, że tak się stanie, bo... konkurencja... Niezdrowa konkurencja. Adele, jak większość kurw, jest przerażająco leniwa. Każda potrafi się pieprzyć z dziesięcioma facetami na dobę, ale żadna nie ma siły, by coś zrobić koło siebie. Sama nie wiem dlaczego. Chyba przez to, że siedzimy całe dni i noce w oczekiwaniu na klientów. Niektóre siedzą tak tygodniami, inne miesiącami, a nawet latami! Dupa bardziej boli od tego

siedzenia niż od seksu. Pamiętaj, przyjechałaś tu w innym celu i obojętnie, jaki by nie był, to na pewno nie jest nim sprzątanie!

Hausedame to manipulatrix, świadomie skłóca dziewczyny. W ten sposób ma dostęp do informacji. Do czego Jej to potrzebne? Pojęcia nie mam. Wiem tylko, że szefom jest to obojętne. Oni chcą zarabiać kasę, a nie wysłuchiwać swarów poirytowanych pańienek.

– Może kiedyś miała na imię Helga? – rzucam.

Wybuchamy śmiechem, choć nie jestem pewna, czy ma takie samo skojarzenie jak ja.

Zapalam papierosa, kładę się na trawie. Przerazający świat. Przecież wszystkie jedziemy na tym samym wózku. Każda ma ciężko. A może nie?

– Po drugie, uważaj na Ritę. Zrobi wszystko, żeby się z tobą zaprzyjaźnić, a potem cię sprzeda za jedno euro. Trzyma z Adele, dlatego może pić, kiedy chce. Nikt już na to nie zwraca uwagi. Jest rezydentką. Siedzi od ponad roku, a swoją dupę rusza tylko do sklepu po wódę i do pokoju, o ile jest w stanie. Kiedy ma zryw, gotuje. Rita to jedna z osób, którym Adele zajęła życie, przez to nie ma dokąd wracać. Po trzecie, uciekaj stąd i nigdy więcej nie przyjeżdżaj. To nie dla ciebie. Nie nadajesz się, jesteś za słaba i jeszcze nie przesiąkłaś smrodem tego bagna. Im dłużej zostaniesz, tym trudniej będzie ci się uwolnić. Z czasem staniesz się taka jak my – wyprana z emocji. Masz dzieci?

Kiwam głową, nie jestem w stanie wydusić ani jednego słowa. Źródło łez znowu wybija spod powiek.

– No, to zrób to dla nich – mówi. Nie zdaje sobie sprawy, że wbija mi w serce drewniany kołek. Skąd może wiedzieć, że jestem tu, żeby ratować moje dzieci?

Wracamy, czas się kończy. Rozmawiamy o bzdurach, bardzo teraz tego potrzebuję, żeby powstrzymać wodospad łez. Kiedy zbliżamy się do przybytku, mówię o tym, co postanowiłam rano.

– Nie bądź głupetką. Dziś zarobisz kupę kasy, na nową drogę życia – śmieje się. – Jeden dzień cię nie zbawi, pojedziesz jutro. Wystawili wczoraj twoje zdjęcia. Są ekstra. Widziałaś je?

Nie widziałam. Kręcę przecząco głową. Nikt mnie nawet nie poinformował, że są. Nicole łapie mnie za rękę, wbiegamy po schodach.

Czuję się trochę jak nastolatka. Szczęśliwa nastolatka... Stajemy przed gablotą. Szukam siebie wśród wizerunków wielu innych dziewczyn, ale nie znajduję. Niki triumfalnie pokazuje mi palcem zdjęcie młodej kobiety, która na pierwszy rzut oka mało mnie przypomina. Jednak gdy wnikliwiej się przyglądam, rozpoznaję siebie. Wyglądam dużo młodziej, jak mała niewinna dziewczynka.

„To dlatego K., którzy przychodzili wczoraj wieczorem, obchodzili się ze mną jak z jajkiem, ale to przecież z korzyścią dla mnie. No i jestem bardzo ładna. Czego to Photoshop nie robi z ludzi!”

Kiedy dzwoniemy, Nicole kładzie palec na ustach. Mam milczeć. Do ucha szepce mi, że to zdjęcia były porannym powodem złości Adele. O wilku mowa i on właśnie otwiera nam drzwi. Nic nie mówi. To dobrze. Idziemy przebrać się do pracy. Każda do swojego pokoju.

Po winie fajnie szumi mi w głowie... Szkoda, że już się skończyło. Ktoś puka do drzwi. Do pokoju wchodzi Niki, ubrana do pracy. Wygląda pięknie. Zresztą w ogóle jest piękna. W ręce trzyma jakiś tobołek. To wino w wielkiej butli!

– Wariatka – mówię do niej. Potrzebujemy szklanek, więc pod pozorem zapalenia, idziemy zorganizować jakieś szkło.

W paszczy lwa pusto. Niki objaśnia mi, że dziewczyny o tej godzinie śpią, bo sobotnia noc będzie ciężka. Robimy, co trzeba, pędzimy przez hol i znikamy za drzwiami mojego brzydkiego pokoju, aby oddawać się zwierzeniom. I winu.

Siedzimy na łóżku. Ani ono moje, ani jej. Niczyje. Popijamy z lubością, z partyzanta, aby nie przyłapano nas na łamaniu praw ustanowionych przez Królową. „Jebać Adele”, rozbrzmiewają toasty.

Rozmawiamy o głupotach. W końcu nadchodzi chwila, na którą czekałam, którą podświadomie prowokowałam.

– Dlaczego tu jesteś? Co takiego wydarzyło się w twoim życiu, że postanowiłaś się kurwić? – pyta Niki z bezczelną szczerością, wnikliwie mi się przyglądając. – Nie jesteś najmłodsza...

– Nic, po prostu brak kasy – odpowiadam, uciekając wzrokiem. Odruchowo patrzę w okno. – Pieniądze. Nic więcej.

I taka jest prawda. Brak pieniędzy mnie tutaj przygnał. Nicole łapie mnie za podbródek tak, że nie mam wyboru i muszę spojrzeć prosto

w jej duże, prawie czarne oczy. Nie próbuję już odwracać wzroku. Chcę odpowiedzieć na to pytanie również sobie. Szczerze aż do bólu... Ale dzielą nas miliony lat świetlnych, bo nie znam jej języka. Jak mam to wytłumaczyć? Gestami? Samej trudno mi to zrozumieć, choć rozmawiam ze sobą we własnym języku.

Jako tarczę ochronną wyciągam prawą rękę, niemal bezwładną, ale tarcza jej nie odstrasza, przeciwnie.

– Próbowałaś popełnić samobójstwo? Przez brak kasy? – pyta z niedowierzaniem jak inni ludzie oglądający mocno czerwoną bliznę na nadgarstku.

– Nie, miałam wypadek – odpowiadam.

– Akurat w tym miejscu, w którym ludzie podcinają sobie żyły?

Nie odpowiadam. Po co? Gdybym chciała to zrobić, to bym to zrobiła. To logiczne. Choć skłamałabym, twierdząc, że o tym nie myślałam... Może właśnie dlatego, że rozważałam taką możliwość, ściągnęłam na siebie gniew Boga? Ale przecież Bóg się nie gniewa.

– Tak. Akurat w tym miejscu – mówię.

– Poczekaj, mam pomysł. Zaraz wrócę – krzyczy i znika za drzwiami, nie zamknąwszy ich za sobą. Słyszę jakieś poruszenie w holu. Odruchowo chowam szklanki pod poduszką. Adele wchodzi bez pukania i zastaje mnie w nienaturalnej pozycji. Cóż, pozostaje mi tylko obdarzyć Ją głupawym uśmiechem. Niedługo pewnie będzie on stałą ozdobą mojej twarzy.

Królowa nic nie mówi, wręcza mi kopertę i wychodzi. Na kopercie czarnym flamastrem ktoś napisał: „-50”. Obsesyjnie liczę pieniądze, raz po raz. Czy to mój nowy nałóg? Nie wiem, ale jestem szczęśliwa, bo mogę wracać do domu. Spokojna, bo osiągnęłam swój cel. Pieniądze zarobione tu w parę dni pozwolą na częściowe spłacenie wierzycieli. Na chwilę zaspokoją ich apetyt, żeby zechcieli zabrać chciwe łapy od mojego życia, od dzieci, od domu. Od mojej osobności, która jest dla mnie świętością.

Do pokoju wpada Nicole i w pośpiechu podaje laptop.

– Napisz tam wszystko, co cię dręczy. Przetłumaczę sobie. Mam chłopa na pokój. Zaczęło się, pa. Wychodzi, ale za chwilę wraca.

– No chyba, że nie chcesz? – Puszczą mi oczko.

„Kim ona jest? Kurewskim aniołem stróżem?”

Kładę się na łóżku. Zmęczyłam się ciągłym napięciem. Ogłupiałam trochę od nadmiaru wina. Jest siedemnasta. Jeszcze siedem godzin pracy. Potem będę mogła zamknąć za sobą drzwi i wrócić do realu.

Zanim zmorzy mnie sen, zastanawiam się, od czego zacząć moją smutną historię, tak aby ona mnie zrozumiała. I ja siebie też.

Kładę się na łóżku. Zamykam oczy, ale nie mogę zasnąć. Jestem zbyt podniecona myślą o powrocie do domu. Do dzieci. Do swojego kraju.

Wstaję. Wyciągam spod szafy pieniądze. Liczę znów wszystko, co zarobiłam. To niewiarygodne, tyle pieniędzy... Układam je skrupulatnie. Wkładam do koperty i z powrotem do skarbca. Ze spokojnym sumieniem idę zapalić papierosa. W kuchni siedzi kilka dziewczyn, które żywo o czymś dyskutują, ale nie interesuje mnie o czym. Duchem jestem poza tym miejscem. Z lubością palę papierosa.

– A ty, Johanna – pada pytanie, które wyrywa mnie z rozmyślań – czy zrobiłaś w życiu coś tak złego, że się sobą brzydzisz? – Dziewczyny patrzą na mnie. Nie zastanawiam się nad odpowiedzią:

– Tak, zostałam kurwą! – Na ich twarzach maluje się konsternacja. Gaszę papierosa i wychodzę.

Pozostawiam za sobą ciszę...



Niki długo nie przychodziła. Janka, siedząc na łóżku, próbowała opisać jej swoją sytuację, dlaczego znalazła się w przybytku. Jednak zwierzenie się obcej osobie okazało się trudniejsze, niż przypuszczała. Sama do końca nie pojmowała, jak to się stało, że tak szybko uległa namowom Mariolki, która niespełna miesiąc wcześniej podjechała pod jej dom pięknym, nowym mercedesem. Mariolka lśniła – piękna, zadbana, pachnąca. Uśmiech zszedł jej z twarzy dopiero, kiedy zobaczyła Jankę – pogrążoną w depresji, z nieumytymi włosami i niewładną ręką. Pierwszy raz widziała przyjaciółkę w takim stanie: przerażoną z powodu braku pracy i jakichkolwiek dochodów oraz perspektyw na zarobkowanie. Bo jak osoba praworęczna ma pracować z niewładną prawą ręką? Jance kończyły się pieniądze, przez długi czas dzielnie odkładane na czarną godzinę. Bała się, że z powodu nędzy mogą

jej nawet odebrać dzieci, a to znaczyłoby dla niej tyle samo, co śmierć.

– Masz jedno wyjście. Musisz przeprosić się z kurewstwem – przekonywała Mariolka. – Tylko w ten sposób wyjdiesz na prostą. Staniesz na nogi. Pomogę ci, ale nie obiecuję kokosów, masz już swoje lata.

Janka patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Znamy się dziesięć lat – powiedziała. – Wiesz, co o tym myślę.

– Wiem, ale inaczej popłyniesz. Popatrz na siebie, całe życie zapierdalsz od rana do wieczora. Nieważne, czy na etacie, czy w swojej firmie. Co teraz z tego masz? Wielkie gówno. Olali cię wszyscy – przyjaciele i twoje ukochane państwo. Po co płaciłaś podatki? Po co tyle kasy dawałaś na ubezpieczenie, jak nie masz z tego nic? Bo co, bo spóźniłaś się kilka dni z płatnością składki? Przecież to paranoja! Nie widzisz, że to jest chory, pojebany system, który ty i tobie podobni utrzymują. Popatrz na mnie – mam kupę kasy, dobre auto, mieszkanie i jestem zabezpieczona na lata. Kto jest mądrzejszy? Ja, prostytutka, czy ty – patriotka, święta Teresa? Pomyśl o swoich dzieciach. Kto da im jeść, kto da im wsparcie? Ten popieprzony kraj? Schowaj honor i swoją głupią dumę do kieszeni, ratuj siebie i to, co jeszcze ci zostało...

Podjęcie decyzji zajęło Jance wiele nieprzespanych nocy.



Do pokoju na chwilę wpada Niki. Uśmiechnięta.

– Pisziesz? – pyta.

Potwierdzająco kiwam głową.

– Super, to lecę, klient przedłużył o godzinę. – Wypija duszkiem wino ze szklanki. I znika. A mnie dziwi jej szczęście.

„Czy to jest powód do radości, że K. przedłużył czas?” Widocznie dla niektórych tak.

Mój dzwonek milczy, ale nie martwi mnie to. Wystarczająco się splugawiłam.

Piję wino i próbuję napisać coś sensownego, ale jakoś brakuje mi chęci. Nie wiem, co może mnie usprawiedliwić przed Niki, że stałam się nierządnicą. Czy uwierzy w moje argumenty?

Wyciągam się na łóżku i planuję, co zrobię z pieniędzmi. Starczy na połatanie wielu dziur... Przyjemne myśli zostają zakłócone przez

wciąż powracające pytania: „Czy Mariola miała rację? Czy jej podejście do życia jest słuszne? Po co komu honor, skoro świat został z niego wyzuty? Każdy, no może są nieliczne wyjątki, sprzedaje się za pieniądze. Przecież bez nich nie da się żyć!”.

Dzwonek. Chowam szklankę do komody, zakładam buty i spokojnie idę otworzyć drzwi. Niewiele czasu minęło od mojego przyjazdu do przybytku, a już przestałam się bać. Stanowczo za szybko.

Ta noc jest dla nas wyjątkowo pracowita. Niekiedy brakuje czasu, żeby się umyć. Istne wariactwo. Ale już mi nie zależy. K. zazwyczaj są pijani, a im bliżej zmierzchu, tym ich więcej. Niektórzy nie chcą seksu. Chcą rozmawiać, przytulać się. Czy nie mogą tego robić ze swoimi kobietami? Po co za to płacą? Mają jakieś żony, matki, kochanki? A może kobiety niemieckie nie mają serc ani dusz?

Rano, starym zwyczajem, ze snu brutalnie wrywa mnie Adele. Nie zapomina oczywiście o trzaśnięciu drzwiami. Krzyczy. Patrę na zegarek, jest po jedenastej, ale to przecież nie koniec świata. Zaspana zastanawiam się, z jakiego źródła czerpie siłę, aby się cały czas pieklić. Szkoda życia, które i tak bywa wystarczająco skomplikowane. Po co Ona to robi? I w ogóle, kim jest, do cholery?

Dobrze pamiętam słowa Nicole na Jej temat. Ruszam do łazienki, potem robię kawę. W salonie pusto. Nie ma nawet Rity. Jej nieobecność wręcz razi.

Jestem zatem jedyną osobą, której Adele nie boi się obudzić. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego mnie tak traktuje? Bo nie ma we mnie agresji? Bo staram się unikać konfliktów? Bo jestem przerażona? A może wzbudzam w Niej lęk i dlatego mnie atakuje? Nieważne, o wszystkim zapomnę. Dzisiaj wyjeżdżam i nigdy już tu nie wrócę.



„Nigdy już tu nie wrócę”, powtarzała sobie w myślach Janka i z entuzjazmem się pakowała. Nie zdawała sobie jeszcze w pełni sprawy, jakie brzemię zabiera do domu. Była podekscytowana, czuła się silna, wierzyła w siebie. Przecież wcześniej wychodziła obronną ręką z wielu opresji. Bardzo boleśnie przeżyła rozwód rodziców i odejście ojca do innej kobiety. Nie mogła się pogodzić z utratą najważniejszego wtedy mężczyzny w jej życiu. Matka Janki popadła w alkoholizm, nie

radząc sobie z samotnością. Całkowicie zapomniała o otaczającym świecie, nawet o dzieciach. Wyrządziła im wiele krzywdy, zwłaszcza dorastającej córce. Koszmar trwał kilka lat. Po jej śmierci Janka zniszczyła wszystkie matczyne meble, naczynia, kryształy, biżuterię i garderobę. Szczególnie bezwzględnie rozprawiła się z czerwonym szlafrokiem, w którym rodzicielka, będąc w kilkumiesięcznych ciążach, spała, gotowała, awanturowała się, raz nawet poszła do sklepu. Pałac go, wyobrażała sobie, że spopiela nienawiść do matki.

Janka zamknęła za sobą jedne drzwi i z radością zajęła się spełnianiem marzeń. Życie stało się piękne... do czasu, kiedy wyszła za mąż. Jak się później przekonała – za socjopatę. Kryła się przed nim wraz z dzieckiem, mieszkając kątem u przyjaciółek. Pracowała i studiowała jednocześnie. Było jej bardzo ciężko. Przez lata toczyła wyniszczające walki z człowiekiem, który zaburzył jej postrzeganie świata, ale z czasem uporem i sprytem udało jej się zamknąć i te drzwi.

I znów odetchnęła pełną piersią. Zaczęła normalnie, z godnością funkcjonować. Przestała się bać, nie musiała nigdzie uciekać, ale jej stosunek do życia bezpowrotnie się zmienił. Nie potrafiła się już nim zachwycać tak jak dawniej. Stała się ostrożniejsza, czujniejsza i na co dzień postępowała zgodnie z radą taty: „Umiesz liczyć, licz na siebie”.

Mimo wszystko żyło jej się dobrze. Janka przez chwilę miała złudną nadzieję, że tak będzie zawsze, ale zdarzył się ten wypadek. Nieszczęśliwy wypadek, który wszystko postawił pod znakiem zapytania.



Pakowanie nie zajmuje mi dużo czasu. Rzeczy chaotycznie wrzucam do walizki, i tak nie będę ich potrzebowała. Najważniejsze, żeby mądrze przechować pieniądze. Sięgam po nie pod szafę. Wyciągam kopertę. Skrupulatnie przeliczam. Wszystko się zgadza. Do portfela chowam kwotę potrzebną na podróż. Resztę zawijam w brudną bieliznę. A walizkę wrzucam do szafy. Idę się pożegnać, mam nadzieję spotkać Niki, która gdzieś przepadła w zakamarkach przybytku. Chcę jej podziękować i oddać laptop.

W salonie siedzi Rita. Wita mnie uśmiechem, ale nic nie mówi, więc się nie narzucam. Przygotowuję kawę i kanapki na drogę.

Zastanawiam się, co zrobić z jedzeniem. Przecież go nie wyrzucę, nie mam tego w zwyczaju. Po krótkim namyśle postanawiam zostawić całą zawartość mojej półki w lodówce dziwnie milczącej dziewczynie. Tylko jak to zaproponować, żeby – nie daj Boże – jej nie urazić, bo to nigdy nie wiadomo. Szczególnie w tym miejscu, gdzie pomieszały się wszelkie pojęcia. Życzliwe gesty są odbierane jako złe, a złe jako dobre lub śmieszne.

– Słuchaj, zostało mi małe co nieco w lodówce, nie będę tego wyrzucać, może zechcesz? – pytam Ritę. – Z zaciekawieniem spogląda w moim kierunku. Ma szarą, zmęczoną, jakby rozmytą twarz. Wygląda na to, że spodziewała się czegoś innego.

– Dziękuję, Johanko – mówi, odwracając głowę. A ja przypominam sobie, że mam coś jeszcze, i to właśnie dla niej.

– Mam też to, gdybyś miała ochotę. – Pokazuję butelkę wódki. Twarz Rity się rozjaśnia. Podbiega radośnie i całuje mnie w policzek. Staje się teraz zupełnie innym człowiekiem. Uświadamiam sobie, jak cholernie ciężki jest to nałóg. „Jaka ona musi być nieszczęśliwa”, myślę. Patrzę, jak trzęsącą się ręką nalewa wódkę do szklanki i duszkiem wypija. Jakby na przekór moim myślom promienieje, nabiera kolorów. Jej twarz robi się kształtna...

– Napijesz się? – pyta.

„Czemu nie, mały drink przed drogą nie zaszkodzi, przecież mnie od Rity dzieli ogromna przepaść. Nigdy nie będę taka jak ona!”

Rozmawiamy o głupotach. Przyglądam się jej rozmytemu makijażowi i brudnym włosom. Wyczuwam zapach potu i niestrawionego alkoholu. Wygląda jak przestroga dla nadużywających. Siedzi w bieliźnie i podartych pończochach. Jedna z nich jest opuszczona. Dopiero teraz zauważam, że w nodze ma wielką dziurę – z jednej strony rana zabliźnia się, z drugiej sączy się z niej ropa. Przerażający widok. Z trudem powstrzymuję odruch wymiotny. Zapalam papierosa. Zauważa to. Nalewa wódki do szklanek. Wypijam alkohol jednym haustem.

– Co ci się stało? – pytam.

– Nic, miałam wypadek – mówi. – W pracy – dopowiada.

Wiem, że szydzi.



Janka domyśliła się, że Rita kpi z niej dla zabawy, i w głębi duszy zrobiło jej się przykro. Słuchała jednak tragicznej historii z zapartym tchem, bo losy kobiety z dziurą w nodze okazały się podobne do jej własnych.

Katia, bo takie było prawdziwe imię Rity, pracowała w tamtym życiu jako pielęgniarka. Z powołania. Kochała pracę równie mocno jak dzieci, męża oraz swoją pasję – siatkówkę. Była szczęśliwa, spełniona jako matka, kobieta. Z ufnością spoglądała w przyszłość. Jednak, jak to w życiu bywa, nadszedł feralny dzień, kiedy wszystko odwróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Ułamek sekundy, nieprzemyślany ruch na boisku i Katia się przewróciła. Otwarte złamanie kości piszczelowej. Przypadek, ironia losu, czy może Bóg chciał sprawdzić człowieczą siłę?

Można z tym żyć, bywają większe tragedie, ale Katia nie przywykła do bezruchu, zupełnie nie radziła sobie z nową sytuacją. Przeszła skomplikowaną operację. Potem drugą. Usłyszała, że czeka ją długa rehabilitacja i być może za kilka lat wszystko wróci do normy. I właśnie tych „kilka lat” przeraziło ją najbardziej. Była słaba, topiła smutki w alkoholu. Zapadła się w sobie. Rity nie interesowało nic poza własną tragedią. Miała jednak szansę na uzdrawiającą operację w prywatnej klinice. Musiała tylko zdobyć pieniądze. Potrzebna kwota była ogromna, nieosiągalna ani dla niej, ani dla rodziny. Zdeterminowana, posłuchała rady koleżanki, okłamała rodzinę i wyjechała do pracy. Na początek na miesiąc, potem na dwa. Tak minął rok...

Katia stawiała się Ritą, pogrążoną w bólu i alkoholowym amoku. Bez szans na zarobienie upragnionych pieniędzy. Te, które uzbierała, przepijała. Podobnie jak dawne życie, którego już nie miała. Zniknęło.

Opowieść wstrząsnęła Janką. I Katia właśnie w tym celu zwierzyła się koleżance – chciała ją przerazić, ustrzec i przegnać. Sprawić, by nigdy nie przyszło jej do głowy wrócić...



Jestem w szoku. I teraz to ja nalewam wódki do szklanek. Zapominam nawet, żeby dolać sobie soku. Brak mi słów, a chciałabym ją pocieszyć. W głowie mam pustkę.

– Nic nie mów, nie potrzebuję tego. Ratuń siebie.

Siedzimy w milczeniu. Pytam ją tylko, gdzie są wszyscy.

– Dziewczyny śpią, bo jak co tydzień były w mieście – odpowiada.

Jestem zła. Uświadamiam sobie, że Adele traktuje mnie jak kozła ofiarnego, jak jakąś przynętę rzuconą na pożarcie.

– Rita, chciałam się pożegnać. Wyjeżdżam dzisiaj – wyciągam do niej rękę. – Powodzenia.

– Teraz, Johanko, musisz radzić sobie sama. Nikt ci już nie pomoże – odpowiada i całuje w policzek.

Wychodząc, zastanawiam się nad jej słowami. „Czy miałam tu jakiegoś Anioła Stróża, który mnie chronił przed nieznanym? Jeśli tak, to nie zauważyłam tego...”

Długo stoję pod drzwiami Adele. Chcę zabrać resztę pieniędzy i się pożegnać. W końcu pukam, delikatnie. I nic, cisza. Pukam głośniej. I jeszcze raz. Powinnam nie mieć skrupułów tak jak Ona, ale nie chcę być taka jak Ona.

Drzwi otwierają się z impetem.

– Co? – pyta.

Łamanym niemieckim tłumaczę, jaki jest cel mojej wizyty. Drzwi zamykają się tuż przed moim nosem. Złość narasta we mnie do granic wytrzymałości. I teraz ja je otwieram tak, że uderzają o ścianę.

– Chcę swoje pieniądze, za chwilę jadę do domu – krzyczę, a Ona w odpowiedzi wymierza mi siarczysty policzek...

Odruchowo łapię się za obolałe miejsce. Patrzę na Nią z niedowierzaniem. „Jak Ona mogła? Dlaczego?” Nigdy kobieta mnie nie uderzyła. W normalnym świecie prawdopodobnie po prostu bym wyszła, lekceważąc przeciwnika, ale nie tu, nie teraz.

Chwytam Ją za szyję tak mocno, że nie może złapać oddechu. Rzuca się, próbuje wyrwać, ale nie ma żadnych szans. W końcu się poddaje. Z satysfakcją spoglądam w Jej czarne oczy i widzę w nich jedynie przerażenie. Gdzie podziała się buta?

Ktoś odciąga mnie od Niej, posiniałej. Adele z trudem łapie oddech. Gdyby mi nie przeszkadzono, nie wiem, jak by się to skończyło... Nie mogłam pozwolić na taką potwarz. Wiem, po co tu jestem i ile mnie to kosztuje.



Wszystko trwało zaledwie chwilę, lecz wiele zmieniło w sposobie postrzegania Janki przez koleżanki, które z zapartym tchem oglądały niezwykle widowisko.

– Oddaj moje pieniądze – krzyczała Janina. – Jeżeli nie, dzwoń po szefa. W przeciwnym razie ja zadzwonię na policję. I nie waż się do mnie zbliżyć! Masz pół godziny.

Janka wróciła do pokoju, usiadła na łóżku, cała drżała. Łzy spływały jej po policzkach. Nie mogła się uspokoić. Poszła do salonu, żeby zapalić papierosa i napić się wódki. Kiedy weszła, zebrane tłumnie damy umilkły. Zdenerwowana, nie zwróciła na to uwagi. Rita zrobiła jej drinka i szepnęła do ucha:

– Brawo, Johanka. Dziewczyny biją ciche brawa.

Janka w końcu poczuła się sobą, czyli lepszą od innych. Zawsze miała poczucie wyższości. Ludzie ją postrzegali jako silną, odważną, przebojową. Nie musiała się starać, aby być zauważoną. Nie była szarą myszką. Wielu doceniało jej urodę. Niejeden twierdził, że jest piękna. Podziwiali ją, przysparzając wielu wrogów.

Zajście z Adele sprawiło, że Janka zaczęła podnosić się z dna. Czują, że jej winda z poziomu zero ruszyła do góry.



Dziewczyny od razu stały się bardziej przyjazne, otwarte. Śmiejemy się, rozmawiamy, pijemy alkohol. Dokonała się mała rewolucja i przyniosła oczekiwany rezultat. Świętujemy. Żadna z nas tego nie komentuje, po prostu dzieje się, zresztą słowa są zbędne... A ja chyba przejdę do historii! I dobrze mi z tym, chociaż moja wojna się nie skończyła. Wciąż patrzę na zegarek. Adele ma jeszcze dziesięć minut.

Do salonu wchodzi Nicole. Na jej twarzy widać zmęczenie, pewnie miała ciężką noc.

– Johanka, chodź – mówi i prowadzi do mojego pokoju. Jestem przekonana, że chce laptop. Zostawia mnie jednak samą w ciemnościach i znika. W pokoju czeka na mnie mężczyzna. Znam go, ale w pierwszej chwili nie przypominam sobie, kiedy tu był. Dziwi mnie jego obecność, bo nie dzwonił dzwonek.

Po chwili rozpoznaję w nim swojego pierwszego K. „A więc do

pracy”, myślę. „Muszę odpracować zaległe usługi”.

K. wręcza mi kopertę z pieniędzmi. Każę przeliczyć. Sporo tego. Ogarnia mnie strach, bo czego może sobie życzyć za taką kwotę?

– To jest zapłata za wczoraj, Johanko – mówi. – Do domu możesz jechać, kiedy zechcesz. A także wrócić, jeśli będziesz miała taką potrzebę. Jesteś tu mile widziana. Przepraszam za Adele, taka już jest. Uważaj na siebie... – Delikatnie całuje mnie w policzek i wychodzi.

Zostaję sama z mętlikiem w głowie.

Przerasta mnie to wszystko. Niczego nie rozumiem. Kto jest kim? Jakie panują tu układy? Kim jest pierwszy K.? Czy to szef? Kim jest Adele? Pytania te kołaczą mi się po głowie, lecz przecież nie przyjechałam tu po to, aby rozumieć. Potrzebuję już tylko spakować do końca swoje zabawki i wrócić do domu. Głowa mi ciąży, mogę się jeszcze przespać. Autobus do czasów sprzed odjeżdża dopiero po dwudziestej drugiej. Zasypiam, przytulona do łupu, który uratuje mój świat rozbity na tysiące kawałków jak kryształ. Taką, być może złudną, przykrywam się nadzieją.

Budzę się, bo ktoś głaszcze mnie po głowie. W półmroku, jaki panuje w pokoju, rozpoznaję Niki. Czego ona ode mnie chce? Może ma skłonności, a może jest po prostu miła? Czy to się nie zdarza w takich miejscach?

– Johanko – mówi. – Masz gorączkę. Śpij. – Zapewne bym to zrobiła, ale przecież muszę i chcę wracać do domu.

W lekkim amoku zbieram się. Idę obmyć twarz. Poprawiam makijaż, choć do niczego nie będzie mi przydatny. Zabieram z pokoju walizkę. Całuję Niki w policzek. Pewnie jest zawiedziona, bo nie usłyszała mojej historii. Ale nie mam ochoty na zwierzenia. Po co? Każda z nas ma jakąś smutną opowieść.

Do paszczy lwa nie zaglądam. Zsuwam walizkę po schodach i jestem wolna... Na zewnątrz normalny świat. Na ulicy pusto. Niedziela. Niemcy w kościołach? Co mi tam, jestem szczęśliwa. W oczekiwaniu na taksówkę łapczywie nabieram powietrza do płuc.

„Wszystko będzie dobrze”, bez ustanku powtarzam sobie w myślach. Od dziecka tak robię. Oszukuję myśli. Wokół wszystko się wali, a ja wmawiam sobie, że jest dobrze. Lękam się, ale sobie

powtarzam, że jestem bezpieczna. To metoda mojej pierwszej nauczycielki. Na ogół się sprawdza. Teraz, mimo że ze wszystkich sił pragnę zapomnieć, coś w środku kłuje, uwiera. Przeszkadza. Znam to uczucie – kielkuje we mnie strach.

Jeżeli za chwilę nie wydarzy się coś, co odwróci moją uwagę, poddam się temu. Strach przerodzi się w potwora, który będzie rósł tak długo, aż stanie się większy i silniejszy ode mnie. Potem mnie wciągnie w siebie, wchłonie. A ja skurczę się cała w przerażeniu. Popadnę w niemoc, ręce zwisną bezwładnie wzdłuż ciała, myśli się zasklepią, beton zaleje serce i nie będę mogła zrobić nic. Indolencja.

– Johanko, pa, pa! – Dziewczyny krzyczą, siedząc na parapecie okna w paszczy lwa. Macham do nich, z trudem wymuszając uśmiech. To nie są przecież moje przyjaciółki. Nie widzę Niki. Adele też się nie pokazuje. Ani mnie to nie dziwi, ani nie smuci. Podjeżdża taksówka. A więc coś się dzieje. Bóg mnie wysłuchał. Mogę na chwilę zapomnieć o gryzącym lęku przed Lękiem. A mam się czego obawiać. Doskonale pamiętam swoją długoletnią walkę z nim. Ciężką, czasami szaleńczą. Właśnie zdaję sobie sprawę, że ona się nie skończyła...



Nikt dokładnie nie pamiętał, kiedy zaczęła się historia Janki z potworem. A już najmniej świadoma tego była ona sama. Głowili się nad tym psychologowie, neurolodzy, bioenergoterapeuci, psychiatra, a nawet wróżki. Grzebali bezczelnie Jance w głowie i duszy. Sama również uporczywie poszukiwała przyczyny, dlaczego Lęk zamieszkał właśnie w niej i dlaczego się nią żywił, z jakiej racji ograniczał ruchy, nie pozwalał żyć.

Specjaliści nie doszukali się urazów, nie wykryli choroby umysłowej. Nikt też nigdy nie molestował małej Janki seksualnie.

Lęk po raz pierwszy zjawił się nagle, tak po prostu... w zwyczajny majowy dzień. Dziewiętnastoletnia wówczas Janka biegła na spotkanie z przyjaciółką. Wspólnie smakowały dorosłe życie. Młodość ma przecież swoje prawa, nie daj Bóg tego zabronić!

Biegła zatem przez nagrzane słońcem ulice ukochanego miasta. Pełna radości i wiary bez granic, że życie jest cudem uczynionym specjalnie dla niej. Zupełnie nie spodziewała się, że dzień ten zapisze się

w jej życiu jako jeden z najgorszych.

Lęk złapał ją nagle, zupełnie bezbroną, bo nieświadomą, na skrzyżowaniu największych ulic. Poczowała się tak, jakby ktoś odebrał jej wszystko. Jakby wyssał z niej życie. Zatrzymał oddech, bicie serca. Marzenia i wiarę. Sparaliżował duszę i wszystkie członki ciała.

„Umieram”, przemknęło Jance przez myśl. Pomyślała tylko, że smutno tak odejść wśród tłumu, który w żaden sposób nie zareagował na jej śmierć. Nie krzyczała, nie zrobiła nic. Ale też nie umarła.

Od tej chwili Lęk był częstym gościem w jej życiu.



Taksówkarz jest na tyle miły, że pakuje moje manatki do bagażnika, nie zadając żadnych pytań. Wsiadam do auta. Zmęczona, zła, z wysoką temperaturą. Patrząc w okno, podaję adres dworca, skąd odjeżdżają autobusy do mojego świata. Chcę jak najszybciej uciec, zapomnieć o tym, że to miejsce istnieje. Ale on nie rusza. Szprecha coś. Resztką sił skupiam uwagę na tym, co mówi. Nie rozumiał, dokąd jadę. Ogarnia mnie szal, przestaję nad sobą panować. I choć resztką zdrowego rozsądku domyślam się, że to pewnie moja wina, mówię do niego podniesionym, stanowczym i absolutnie niegrzecznym tonem:

– Jestem Polką! Polką! Nie rozumiem niemieckiego!

Obrzucam go gniewnym spojrzeniem. Odwraca głowę. Przygląda mi się. Zapewne chce mnie wyrzucić z samochodu. Co tam, są inne taksówki, więc hardo patrzę mu w oczy. Oczy, jakich dotychczas nie widziałam. Wielkie, brązowe. Zanurzam się w ich głębi. Przez chwilę mam wrażenie, że dotykam duszy tego obcego człowieka. W jego oczach widzę wiele cierpienia, bólu i smutku. Ale też ogromną siłę i mądrość. Dostrzegam teraz, jaki jest piękny...

Choć się wstydzę, nie odwracam wzroku. Patrzą bowiem na ucieleśnienie moich wyobrażeń o mężczyźnie idealnym. Ku mojemu zdziwieniu taksówkarz się uśmiecha.

– Jestem Chorwatem, rozumiem trochę po polsku – mówi do mnie bez cienia gniewu. – Gdzie chcesz jechać?

– Do Polski – odpowiadam. I też się uśmiecham. Przez łzy.

Już w ciągu pierwszych dni pobytu w M.M.U. wypłakałam ich więcej niż przez kilka minionych lat. Zawsze płakałam w samotności,

aby nikomu nie pokazywać słabości, a tu proszę – najpierw przy Ricie, potem przy Niki, a teraz przy tym zupełnie nieznanym mi mężczyźnie. Co się ze mną porobiło? Czy kiedyś będę potrafiła zapomnieć o tym, co się tutaj wydarzyło? Czy dam radę wjechać windą choćby o jeden poziom wyżej?

Chciałabym przestać płakać, ale nie udaje mi się zatrzymać tych cholernych łez. Szlocham bez opamiętania. Mężczyzna niepokoi się i wcale mu się nie dziwię. Swoim autem wiezie siedemdziesiąt kilogramów nieszczęścia. Zatrzymuje się. Siada koło mnie na tylnym siedzeniu. Mocno przytula, a mi nie jest nawet wstyd. Zalewam go nie tylko łzami, ale i potokiem słów. Mówię, jakbym dostała amoku, że nigdy wcześniej nie byłam kurwą, że nienawidzę Niemców, że brzydzę się siebie, że moja babcia ledwie przeżyła w obozie, a ja jej oprawcom sprzedaję ciało. Że mam dzieci. Wyrzucam z siebie wszystko.

Nie wiem, czy mnie rozumie. Ale to nie ma teraz żadnego znaczenia. Wylewam z siebie całą, jęczącą się we mnie żołąć.

Taksówkarz cierpliwie słucha, cały czas trzymając mnie w ramionach. Stopniowo łez leci coraz mniej. Uspokajam się. Jedyne, o czym marzę, to się położyć. Jestem wyczerpana i rozpalona gorączką. A przecież nigdy w życiu nie miałam temperatury. Czy pod jej wpływem stopniał Lęk? Nie czuję go już w sobie. Może się przeraził tym, że znów zamieszkując we mnie, nie będzie miał z kim walczyć? A może przegnała go pustka? Tak właśnie się teraz czuję. Jakby ogarniała mnie nicość...

Kiedy dojeżdżamy na dworzec, zbliża się dwudziesta druga. Nie mam siły wsiąść z taksówki. On widzi moje niezborne ruchy.

– Masz bilet? – pyta.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– To poczekaj, kupię ci – mówi i wysiada z auta. Chcę dać mu pieniądze, ale jest szybszy. Tak czy owak muszę zapłacić, więc sięgam po portmonetkę. Jest pusta i wcale mnie to nie dziwi. Spodziewałam się tego, dlatego wszystkie pieniądze schowałam w bezpiecznym miejscu. Na dnie walizki, zawinięte w brudną bieliznę. W moją hańbę. Chwilę zastanawiam się nad tym, która to zrobiła. Pada na Ritę. Miała powód – operację. Nie jestem zła.

Wśród tłumu kłębiącego się wokół autobusu szukam wzrokiem taksówkarza, ale nie dostrzegam go. Czas płynie nieubłaganie. Dlaczego nie pędził tak w przybytku? Ironia losu? Nie chcę myśleć. Zamykam oczy. Co ma być, to będzie. Nie da się uciec od tego, co zaplanował sobie Bóg. Mój Bóg. Bo przecież każdy ma swojego Boga, a przynajmniej jakieś wyobrażenie o Nim. Mój nie jest najgorszy.

Wysiadam. Chcę zapalić papierosa. Czeka mnie długa droga. Spoglądam w kierunku autobusu z lekkim niepokojem. Tłumu nie ma. Czy wszyscy są już w środku? Zaciągam się papierosem, zawsze mnie to uspokajało, ale tym razem tak się nie dzieje. Kręci mi się w głowie, więc wsiadam do auta. W tym momencie przychodzi on.

– Polko, nie ma biletów – mówi, a prawdziwość jego słów potwierdza ryk silnika. Po chwili nie ma śladu po autobusie. Do mojego świata odjechał beze mnie!

„I co teraz? Powrót do burdelu?” Za żadne skarby świata!
„Samotna noc na dworcu?” Chyba nie mam na to siły. Przecież mam pieniądze, dużo pieniędzy.

– Zawieź mnie, proszę, do taniego hotelu – mówię.

– Dobrze, znam taki. Nie musisz się już bać. Jak masz na imię? – pyta. A to na pozór banalne pytanie sprawia, że znowu zaczynam płakać. Bo jak ja mam na imię? I kim teraz jestem? Tutaj, poza ścianami przybytku? Na zewnątrz. W Mieście Mojego Upadku.

– Nie wiem – odpowiadam.

On już nie pyta.

Jedziemy długo, ale nie wadzi mi to. Skulona na tylnym siedzeniu, zapadam w półsen. Nie przyglądam się spowitemu w ciemnościach miastu. I choć nachodzą mnie dziwne myśli, nie boję się. Nie odczuwam lęku. Jest mi wszystko jedno...

Wysłuchuję się w brzmienie silnika. Kiedy cichnie, chcę otworzyć oczy. Nie mogę – powieki są zbyt ciężkie.

– Polko, dojechaliśmy na miejsce – mówi mój wybawca. Albo kat. Tak o nim teraz myślę. Nie wiem, jakie ma zamiary, nie wiem, gdzie mnie przywiózł. Jestem zdana na niego.

Chcę wysiąść z taksówki, uwolnić tego człowieka od siebie albo mnie od niego, ale nie mogę. Bo jak? Z zamkniętymi oczami nie jestem

w stanie wykonać żadnego ruchu. Ani też zapanować nad drżeniem ciała. Gorączka robi swoje. Dlatego poddaję się, nie protestuję, kiedy mężczyzna bierze mnie na ręce jak dziecko. Dokąd niesie? Skąd ma tyle sił?

W swojej bezsilności powierzam mu to, co ze mnie pozostało, czyli nic. Pusty worek, z którego uciekła dusza.

Ta chwila, kiedy kurczowo trzymam się jego ramion, niepewna tego, dokąd mnie zanoszą, sprawia mi przyjemność. Po stokroć mocniej odczuwaną, gdy niespokojne, rozdygotane ciało układa na łóżku. Czuję się tak, jakbym pływała w ocenie... I odpływam, tracąc świadomość.



Co w niego wstąpiło? Jaki bies podkusił, żeby zabrać nieznaną dziewczynę do domu? Do swojej samotni, gdzie nie zapraszał nikogo. Nawet przyjaciół. Tu była jego przystań, w niej po cichu trawił ból po stracie ukochanej kobiety. Czyżby oszalał, tak jak sugerowali znajomi? Co takiego w niej znalazł, że nie chciał się rozstawać, odkąd po raz pierwszy na nią spojrział? Czy to jej oczy, piękne, w których mógłby odnaleźć cały świat?

Kiedy kładł ją do łóżka, była rozpalona. Majaczyła, ale niewiele rozumiał. Zmierzył temperaturę i z przerażeniem stwierdził, że ma czterdziestostopniową gorączkę. Rozwahał, czy wezwać lekarza, czy ona może umrzeć. Zaufał jednak swojemu instynktowi. Zajął się piękną nieznaną tak, jak nauczono go w jego kraju. Tam w czasie wojny ludzie umierali nie z takich powodów... Stopy, które w jego oczach były idealne, natarł spirytusem. Później klatkę piersiową – siłą rzeczy dotykał piersi, dużych i jędrnych. Wyzywająco nabrzmiałe sutki krzyczały do niego, jakby prosiły, by je pieścił. Powstrzymał się, mimo że od trzech lat nie dotykał kobiety.

Opiekował się nią całą noc. Nie czuł zmęczenia, choć wcześniej pracował bez ustanku przez kilkanaście godzin. A kiedy gorączka trochę spadła, chora przestała majaczyć i zasnęła. Ponieważ cała była mokra, zmienił jej bieliznę. Nawet nie drgnęła. Przebrał pościel. Dopiero teraz ze spokojnym sumieniem położył się spać. I choć bardzo pragnął przytulić się do jej gorącego ciała, rozłożył sobie łóżko w drugim

pokoju. Za oknem wstawał już dzień.

Nie mógł zasnąć, nieznajoma powracała w wyobraźni w każdej sekundzie. „To zwykła dziwka”, bronił się przed pożądaniem, ale chciał oddychać ciepłym snem pięknej kobiety. Wtulić się w wilgotne ciało, wślizgnąć do jej środka. Tak bardzo chciał się z nią kochać, że kiedy delikatnie dotknął penisa, wytrysnęły z niego soki.



Kiedy się budzę, rozglądam się wokół. W pokoju panuje półmrok, niewiele widzę, ale wiem, że nie jestem w hotelu. Za dużo szaf. Za oszklonymi drzwiami tli się cienka strużka światła. Nie jestem sama. Wczorajszej nocy nie pamiętam zbyt dobrze. Migoczą mi przed oczyma pourywane obrazki. Autobus, w którym nie znalazło się dla mnie miejsce, taksówkarz i jego silne ramiona. Poza tym pustka. Urwany film.

Chcąc nie chcąc muszę wstać, choć chętnie zaszyłabym się pod ciepłą kołdrą na wieki.

Cichutko otwieram drzwi. Zdaję sobie sprawę, że muszę wyglądać koszmarnie, ale bohatercko zmierzam w kierunku światła. Taksówkarz siedzi przy kuchennym stole. Coś gotuje się na kuchni, pięknie pachnie. Pobudza kubki smakowe i inne zmysły. Na mój widok wstaje, uśmiecha się.

– Witaj, Polko. Chcesz kawę? – pyta.

Przytakuję, choć nie jestem w stanie z nim rozmawiać. Ale on zachowuje się tak swobodnie, że wszystko wydaje się być zwyczajne, jakbyśmy znali się od zawsze. Pijemy kawę, wymieniamy uśmiechy. Mówimy o rzeczach banalnych.

Udziela mi się otwartość tego człowieka, naturalność, więc bez skrepowania oświadczam, że muszę się wykąpać. Idzie ze mną. Myje wannę, nalewa wody. Robi to bardzo dokładnie i sprawnie. Chyba jest pedantem, wszędzie panuje niezwykła czystość.

Wychodząc, całuje mnie w czoło jak dziecko. Zrobił to zapewne po to, abym poczuła się bezpieczna.

„To miłe z jego strony”, myślę, zanurzając się w gorącej kąpieli. Tego mi było trzeba. Kąpiel zmywa brudy ciała, ale też przynosi ukojenie dla duszy. Czy teraz mi pomoże, takiej splugawionej, zużytej, wytartej?!

Puka delikatnie do drzwi. Spowita w pianę nie czuję zawstydzenia. Zresztą, czy on nie widział mnie nagiej? Przecież obudziłam się w jego koszuli.

Wstaję i splukuję się wodą. Podaje ręcznik i zaczyna mnie wycierać z niezwykłą czułością, jakiej nie zaznałam od dawna. Osusza włosy. Potem plecy, piersi i łono, w końcu – moją kobiecość. Robi to delikatnie, cały czas patrząc mi prosto w oczy. Jakby sprawdzał, jak zareaguję, czy jestem gotowa się temu poddać bez sprzeciwu.

Trochę się dziwię, gdyż myślałam, że traktuje mnie jak małą dziewczynkę. Ale nie wzbraniam się, jest mi przyjemnie. I poddaję się temu całkowicie...



Kiedy szedł do łazienki zanieść jej ręcznik, nie przypuszczał, że odważy się dotykać jej w sposób intymny. Jednak gdy stanęła przed nim naga, wilgotna, bez cienia skrępowania – powróciły poranne marzenia.

Chciał się nią tylko na chwilę zaopiekować, sprawić, by poczuła się bezpieczna. Ochronić przed światem, z którego uciekła...

Teraz nie był już w stanie powstrzymać pożądania. Pożądania, jakiego nie odczuwał od wielu lat, nawet nie pamiętał od ilu. Wiedział, że wygasło szybciej, niż odeszła jego żona... Patrzył na nagie ciało nieznamym kobiecie, proporcjonalnie wyrzeźbione i ukształtowane niemal idealnie, i widział w niej kwintesencję kobiecości. Do tego duże jędrne piersi, krągłe kształtne biodra noszące w sobie alabastrowe łono, długie zgrabne nogi – ten widok zaparł mu dech w piersiach i sprawił, że nie potrafił przy niej oszukać swej męskości, zapanować nad nią. Uśpione dotychczas wulkany hormonów rozszalały się, obudziły zwierzęce żądze...

Nie czuł wstydu, choć w stosunku do kobiet był nieśmiały. Nie chciał jej urazić ani przestraszyć, dlatego ledwo ją muskał. A ona – jego Wenus z Milo – nie oponowała. Poddała się pieszczotom, patrząc mu prosto w oczy.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni...



Czy czuję się oszukana, zawiedziona poczynaniami tego pociągającego mężczyzny? Trochę. Dlaczego akurat miałabym się

poczuć królową? Nie jestem nią – jestem kurwą, z czego On doskonale zdaje sobie sprawę.

Nie złoszczę się, przeciwnie. Podnieca mnie Jego pożądanie i okazywana czułość. Moje ciało oczekuje namiętności, zwykłej, jaka zdarza się między dwojgiem pragnących się ludzi. Ale nie namiętności za pieniądze – wymuszonej, sztucznej, z udawanymi orgazmami, jękami, którymi przesiąknął cały przybytek tylko po to, aby K. szybciej kończyli swoje akty seksualne. Jak na taśmie produkcyjnej.

Podnieca mnie Jego ciało. To, że jest niezwykle silny. I Jego zapach. Zawsze lubiłam takich facetów... Oddaję Mu się cała, najmocniej jak tylko potrafię.

Trzyma mnie pewnie w ramionach, namiętnie całuje w usta, po piersiach i po kobiecości. Czuję się jak w niebie. Dawno tam nie byłam, i to jest piękne...

Kocha mnie z niezwykłą siłą. Jego penis wchodzi głęboko, aż po wierzchołek mnie samej. Jakby nie miał końca i jakby nie był w kobiecie latami. On czuje, że ja tego pragnę. Nasze orgazmy zbiegają się w tej samej chwili. Mój wyrażony wytryskiem jak z wulkanu, Jego – krzykiem. Krzykiem, który zabiorę ze sobą, gdziekolwiek będę...

Jego utrudzone ciało chwilę leży na moim. Jesteśmy mokrzy od soków, które z nas wypłynęły. Uśmiechamy się do siebie, jakbyśmy robili to od zawsze. Przytulając usta do mojego ucha, pyta szeptem:

– Jak masz na imię?

– Janka – odpowiadam. – Janina, Janinka.

Nie pytam Go, jakim został napiętnowany imieniem. Czy ma to znaczenie? Żadnego. Przekonałam się o tym w przybytku. Zresztą i tak już tutaj nie wrócę. Nigdy. I dobrze, że On zostanie anonimowy. Łatwiej będzie mi zapomnieć o tym, co się między nami zdarzyło. Choć muszę przyznać – to niewiarygodne. To rozluźnienie, ta spontaniczność, o której istnieniu prawie zapomniałam, a która niegdyś była bliska memu sercu i duszy. No, ale przecież ja nie mam już duszy. Sprzedałam ją diabłu za kilka tysięcy euro.

A serce? Dwukrotnie przejechane buldożerem przez tych tam, którym – czy to z miłości, czy z naiwności – urodziłam dzieci. Bije cichutko, ledwo co i nie jest zdolne do uniesień. Puściłam w niepamięć

miłosne zrywy i bohaterskie „kocham”. Zamknęłam tamte drzwi, zatrzasnęłam z hukiem. Czasem tylko, spowita nostalgią, widzę na twarzach dzieci odbicie ich ojców. Czy to mnie boli? Nie, teraz już nie...

Śpi. Przyglądam Mu się z czułością. Wygląda bezbrinnie.

„Jakim cudem zaufał mi, kurwie? Czy jest tak naiwny jak ja? Czy może tak bardzo samotny?”, zastanawiam się, delikatnie głaszcząc Go po głowie. „Przecież mogę być złodziejką, naciągaczką, a nawet morderczynią”.

Przytulam się do Niego, tego obcego, bezimiennego mężczyzny. A ponieważ czuję się bezpieczna, zasypiam spokojnym snem, po raz pierwszy od paru dni.

Budzi mnie szept. Ledwo co wyrwana ze snu, nie rozumiem, co mówi. Po chwili słyszę:

– Zostań ze mną. Jeden dzień, dwa. Tak mi z tobą dobrze.

Czuję Jego naprężoną męskość, która delikatnie ociera się o moje udo. Kochamy się szaleńczo, aż do utraty tchu. Zdaje się być nienasycony. Powoli opadam z sił. Nigdy w życiu nie spotkałam mężczyzny, który posiadłby mnie z taką siłą i pasją. Czy dlatego postanawiam tu zostać? Nie tylko. Owszem, fascynuje mnie seks z Nim, ale też dobrze się czuję w Jego przystani. Z dala od ludzi, od zgiełku życia, choć jesteśmy w sercu wielkiego miasta. Miasta, które teraz, po raz pierwszy od przyjazdu, nie nazywam w myślach Miastem Mojego Upadku. Zapominam, gdzie byłam?

Kiedy się nie kochamy, rozmawiamy. Śmiejemy się, płaczemy, wysłuchując swoich opowieści. Niekiedy przekrzykujemy się, nawet sprzeczamy. To niezwykle, jak wiele mamy sobie do powiedzenia jako zupełnie obcy ludzie... Im dłużej razem przebywamy, tym bardziej nie możemy uwierzyć, że dwa dni temu nie wiedzieliśmy o swoim istnieniu.

„Jak mogłam bez Niego żyć?”, zastanawiam się, po raz kolejny wracając z nieba. Wpatruję się w piękne, smutne oczy. Chciałabym sprawić, aby zakwitło w nich szczęście lub choćby nadzieja na to, że On je spotka. Niekiedy nawet się łudzę, że sama Mu je dam. Ale szybko wyganim te myśli z głowy, bo jakże ja, kurwa, miałabym to uczynić?

Ponieważ podgryzają mnie wyrzuty sumienia wobec dzieci, proszę, by zatrzymał czas. Spełnia życzenie. Jest wielki! Podobnie jak mój

działa też i Jego egoizm. Oboje chcemy być ze sobą jak najdłużej. Dlatego z dziecięcą radością przedstawiamy wskazówki na wszystkich zegarach. A jest ich w tym domu sporo...

Kiedy czas zatrzymuje się, otwieramy kolejną butelkę wina. Pijemy, leżąc na dywanie. Czuję się beztroska. Może dlatego nabieram odwagi, żeby zapytać, dlaczego w Jego oczach zamieszkał Pan Smutek? Niechętnie, z oporami, ale opowiada mi swoją historię.



Pan o Smutnych Oczach urodził się w kraju, którego już nie ma. Jugosławię bowiem poszatkowano, podzielono, pokrojono na sześć kawałków jak tort. Tyle tylko, że nie słodki, a gorzki, bo zalany krwią dziesiątek tysięcy niewinnych ludzi. Wybrukowany nie tylko przemocą, gwałtami, ale i śmiercią. Zbrukany niegodziwością.

P.O.S.O. był Chorwatem pochodzącym z Bośni. Mieszkańcy Bośni uważają, że jest ona sercem nie tylko Bałkanów, ale i świata. I rzeczywiście, patrząc na mapę Bośni i Hercegowiny, kształtem przypomina serce.

Oczy Boga z przerażeniem spoglądały na wojnę, którą w latach dziewięćdziesiątych minionego wieku przeżył P.O.S.O. Uznano ją za najokrutniejszą w Europie od czasu zakończenia drugiej wojny światowej. P.O.S.O. nie tylko ją obserwował, ale musiał w niej uczestniczyć. Niemalże na własnym podwórku. Jednak nie mógł znieść tego, że broniąc swej ziemi, domu i tożsamości, był zmuszony strzelać do sąsiadów i kolegów ze szkolnej ławy... żeby nie zginąć oraz ochronić swoją rodzinę. To okazało się ponad siły młodego wówczas człowieka. Dlatego uciekł za granicę, jak tysiące Mu podobnych, by pomóc przetrwać rodzicom i młodszej siostrze. Bo nie tylko kule były wtedy zagrożeniem, ale też głód. Za mąkę płacono złotem...

Wyjechał do Niemiec, które Jego rodacy nazywali oazą spokoju, krajem cudów.

Z dala od wojny pracował ciężko, ale z pokorą. W obcym państwie, o zupełnie innej kulturze, chłodniejszej, bez znajomości języka, czuł się wyobcowany. W Niemczech nie mieszkali ludzie o tak otwartych sercach, jak w Jego pięknym, zalanym słońcem kraju. Ci, wśród których żył, byli skryci. Dobrze pojął ich mentalność dopiero, gdy

spotkał kobietę, Niemkę, jak On wychowaną w duchu chrześcijańskim. Obiecał jej wierność i miłość do końca życia.

Żona P.O.S.O. była zupełnie inna niż On. Zimna, poukładana, akurtna i oczywista aż do bólu. Nie znała żadnych porywów serca. Wszystko planowała z góry, nawet seks. P.O.S.O. nauczył się jednak akceptować jej inność. Przyzwyczyił się do niej i z czasem pokochał. Z jej pragmatyzmem czuł się bezpieczny. I tak razem trwali aż do jej śmierci, którą P.O.S.O. długo, długo przeżywał. Nie mógł pogodzić się z tym, że nie potrafił jej pomóc, ochronić, zakryć swoim ciałem. Przegrała walkę z rakiem.

Umierała w wielkich bólach. Cały czas był przy niej: gdy wypadały jej włosy, gdy wymiotowała, gdy traciła kontakt z rzeczywistością. Bezradnie patrzył jak niknie.

Po jej odejściu pozostały pustka i rozpacz. P.O.S.O. był przekonany, że ukochana mści się z zaświatów za to, że nie potrafił jej uratować. Odsunęli się od Niego znajomi, którzy zaczęli podejrzewać, że zwariował. P.O.S.O. nie wierzył, że spotka jeszcze kobietę, którą obdarzy jakimkolwiek uczuciem. Nie chciał tego. Wydawało Mu się, że się wypalił. Może dlatego chwycił się tej zwariowanej Polki jak ostatniej deski ratunku? Może dlatego ją pokochał – otwartą, ciepłą, naturalną...



Po raz kolejny przekonuję się, że dramaty spotykają nie tylko mnie, o czym byłam święcie przekonana jeszcze parę dni temu. Owszem, moja historia jest smutna. Ale każdy ma swoją. Ilu ludzi na świecie, tyle opowieści. Każdy ma swój świat. Mniejszy, większy, jakiś tam, byle jaki.

Czy trzeba mi było aż dwudziestu dwu lat dorosłego życia, aby zrozumieć, że nie jestem pępkiem świata?

– Czasami trzeba szaleństwa, żeby opowiedzieć prawdę – mówi. – Jesteś wariactwem w moim życiu. Zjawiskiem niespotykanym!

Mogłabym nie uwierzyć, bo iluż to już mężczyzn podobnie mówiło? Ale Jemu ufam. Dlaczego? Bo wysłuchałam Jego opowieści. Rumienię się ze wstydu, czego On nie widzi w przyciemnionym świetle. Dlaczego się wstydzę? Bo moja historia wydaje się po prostu banalna, nijaka.



Słuchając Jego opowieści Janka nie dawała wiary temu, co słyszała... Jaka krew? Jakie zabijanie? Jakie gwałty? Jaki głód? Początkowo nie wierzyła w Jego historię. O setkach, tysiącach zabitych ludzi. O obozach pracy. O codzienności, która stawała się historią, zanim miała do tego prawo. Była przekonana, że to w jej kraju ludzie przeżyli gehennę, najgorszą od czasów drugiej wojny światowej, schowani pod czerwoną flagą...

Uśmiechała się ironicznie, ale im dłużej opowiadał o tym, co widział i przeżył, głupawy grymas na twarzy zanikał.

– Czy zabiłeś jakiegoś człowieka?

– Nie pamiętam – odpowiedział i ona już nigdy więcej o to nie zapytała, podobnie On nie dociekał, ilu miała w sobie K. Oba tematy zostały zamknięte.

„Kim jestem?”, pytała samą siebie, gdy na chwilę przerywał opowieść i spuszczał ją z oczu. „Jestem nikim” – odpowiadała sobie pani Nikt.



Muszę zakończyć to nasze wariactwo. Po trzech dniach bytowania u Niego sprzeciwiam się prośbom i namowom, abym została dłużej. Mimo że jest mi przepięknie, wyjeżdżam. Walizkę, z którą mnie tu przywiózł, wyrzucam, a także wszystko, co przypomina mi przybytek. Niestety, siebie samej pozbyć się nie mogę!

Rozczarowany, odprowadza mnie do autobusu, który zawiezie kości i ciało, ledwo żywe od nadmiaru wyuzdania, do dzieci, przyjaciółek, do mojego życia. Do kraju, który mimo wszystko kocham, ponieważ jestem popieprzoną PAT. Dlaczego? Mam tak wpisane w tożsamość. Po prostu. I to nie podlega żadnej dyskusji. Pozostanę PAT do końca, czyli do śmierci. Wbrew wszystkiemu. Co by nie było i co by się nie stało.

Żegnamy się bez czułości. W ciszy, sztywno, jakby nic się między nami nie wydarzyło. Oboje mamy w oczach łzy.

– Wrócisz? – pyta, kiedy wsiadam do autobusu.

Nie odpowiadam. Gardło mam ściśnięte, ale już nie drutem kolczastym – ten gdzieś zniknął. Może zatem nie odpokutuję swojego

kurewstwa aż tak bardzo, jak przypuszczałam...

„Czy to ten mężczyzna stojący teraz samotnie na peronie napełnił mnie taką wiarą?”, zastanawiam się, uciekając w głąb autokaru.

Macham Mu po raz ostatni.



Janka miała przed sobą długą drogę. Dwanaście godzin podróży w blaszanym pudełku, w towarzystwie własnych myśli, bez możliwości ucieczki przed nimi, czyli droga przez mękę. Równie bolesne doświadczenie jak tamto, gdy Adele prowadziła ją nagą przez hol. Teraz siedziała ubrana, ale – paradoksalnie – czuła się zupełnie roznegliżowana.

Autobus ruszył, oddalał się, mężczyzna bez imienia zniknął z pola widzenia. Jance łzy cichutko zaczęły spływać po policzkach. Kiedy w końcu straciły swoje źródło, w głowie kobiety zaczęła się gonitwa niedobrych wspomnień. Myśli jak oślizgłe demony powoli wychodziły z głębin umysłu i osaczały z każdej strony. Zabijały wiarę w to, że jakoś to będzie, że poradzi sobie z bagażem doświadczeń, z którym wracała do domu.

Powinna być szczęśliwa, zdobyła przecież pieniądze niezbędne do dalszego funkcjonowania, ale nic jej nie cieszyło. Kurewstwo nie pozwoliło się wyrzucić jak walizka, a autobus, którym jechała do swojego świata, gdzie miała nadzieję poczuć się bezpieczna, nie był wehikułem czasu mogącym wymazać M.M.U. z duszy.

Drzwi prostytutki raz otwarte na zawsze pozostają uchylone...



Nie mam zwyczaju sypiać w drodze ani ochoty wdawać się w dyskusję z rozmownym współtowarzyszem podróży. Pustym wzrokiem patrzę w okno. Jest noc. Jedna z tych najczarniejszych w moim życiu. Ciemność nie tłamsi moich uczuć. Nie ma Pana o Smutnych Oczach, mojego P.O.S.O. Nic zatem nie odwróci mych myśli od tego, co zrobiłam, i nie ukoji przerażenia, które one we mnie wzbudzają. Dlatego chętnie przyjmuję od współpasażera plastikowy biały kubek, wypełniony po brzegi płynem rozmownym.

„Czy Polacy muszą tyle pić? Byle gdzie, byle jak, byleby tylko?”, zastanawiam się, duszkiem opróżniając kubek. Wcale nie staję się przez

to rozmowniejsza. Nadal patrzę w pustkę za oknem. Jestem niemiła, nietowarzyska, ale to nie przeszkadza temu tam. Mówi coś. Opowiada jakąś historię. Może najważniejszą w jego życiu. Nie słucham, mam swoją. Kiwam głową, udając zainteresowanie, jednak lekce go sobie ważę.

Autobus zatrzymuje się na parkingu. Wewnątrz zapalają się światła. Patrzę na swoje odbicie w szybie, na moją twarz, moje niby-ja z przyklejonym tępym, głupawym uśmiechem, jakby żywcem przeniesionym z lustra, które wisiało w przybytku. Ten widok jest przerażający. Wybiegam za wszystkimi z autobusu. Zachłystuję się powietrzem... i papierosem.

Alkohol usypia na chwilę moje lęki, ale pogłębia smutek. Nie mogę zapanować nad wszechogarniającą pustką, poczuciem bezsensu. Znów wchłania mnie nicość... Nic nie będzie już nigdy takie, jak wcześniej. Czy życie musi być tak odrażająco niepewne? Co kieruje człowieczym losem? Bóg? On nie ma czasu na to, aby nami sterować. Zbyt wiele istnień na tym świecie, ale też nie żąda od nas żadnych ofiar.

Teraz sama, ku ucieście współtowarzysza, proszę o kubek wódki. Cisza, która panuje w blaszaku, pozwala mi na wyprasowanie pomiętej duszy. I kiedy o słonecznym poranku autobus wjeżdża do W., do mojego miasta, jestem gotowa do konfrontacji z rzeczywistością. Z poprzednim życiem. Czy mam jakieś powody, aby się uśmiechnąć? „Tak, moim asem w rękawie są pieniądze”, krzyczę do siebie w myślach, oswobodzona z zamknięcia i z oddechów obcych ciał.

Nie czuję się pewnie na peronie, ale jeszcze oddycham, a to oznacza, że żyję. A póki żyję... *dum spiro, spero.*



Dzień powitał Jankę słońcem i Polską. Choć w ogóle nie spała, nie czuła zmęczenia. Przybytek oraz swoją nieczystość zepchnęła gdzieś daleko w podświadomość. Nie musiała przyklejać do twarzy nie swojego uśmiechu, bo on już tam był, gdy stanęła na progu domu. Pozornie ta sama, ale jakże inna...

Radośnie przywitała się z dziećmi, w pierwszej chwili nie miała jednak odwagi je przytulać. Bała się, że poplami je brudem, który na sobie przywiozła.

Kiedy zasypiała, oswobodzona z uścisków i pocałunków swych najśłodszych istot, niebezpieczne myśli pulsowały jej w głowie: „Czy pieniądze okażą się środkiem piorącym? Czy mnie wybielą? Czy cel uświęca środki?”.

Następnego dnia, krzątając się po swoim świecie, pozornie takim samym, jakim go zostawiła, zastanawiała się: „Dlaczego mam mieć wyrzuty sumienia?”. Odrzucała wszystkie niepokojące myśli, broniła się przed nimi. Niezbornymi ruchami przytulała dzieci, podobnie jak swoje marne życie, strach upychała w kieszeniach nazbyt szerokich spodni, choć wiedziała, że prawdy przed samą sobą tam nie ukryje.

Miała dwa wyjścia: albo stawić czoła swoim demonom, albo się poddać... Kilka nocy po powrocie, kiedy nie mogła zasnąć, ważyła na wadze swoją sytuację, na jednej szali stawiając grzech, na drugiej – dzieci i siebie. Prostytuowała się zaledwie kilka dni, drobny skrawek swego życia. Nie robiła tego dla przyjemności, z lenistwa czy innych niskich pobudek. Stała się dziwką, by ratować swój świat, którego fundamenty zdrząły z powodu chwili nieuwagi. „Musiałam wykonać plan”, usprawiedliwiała się Janka. „Bo co miałam zrobić? Wycofać się, zniknąć, zwariować? Umrzeć? Pozostawić po sobie bałagan? Czy to byłoby mądre? Wszystkie udręki poszłyby na marne...”

Janka czuła się mocno związana z Bogiem. Był dla niej bardzo ważny, tak mówiła. „Porozmawiam z Nim kiedy indziej”, obiecywała sobie Janina i przekładała spotkanie z Najwyższym na bliżej nieokreśloną przyszłość. „Teraz muszę być silna dla tych, dla których jestem wszystkim – dla dzieci, które mi ufają, które mnie potrzebują. I przede wszystkim są!”

Pomogła jej w tym proza życia. Po przyjeździe spadło jej na głowę tak wiele spraw, że zabrakło czasu na rozważania o przybytku. Janka powoli odjeżdżała, zostawiając stację M.M.U. daleko, daleko w tyle, jako mgliste wspomnienie. Rzuciła się w wir egzystencji. Dopiero teraz dostrzegła, jak zaniedbywała dom i sprawy rodzinne. Goniąc za pieniędzmi, już przed wyjazdem bardzo mało czasu poświęcała dzieciom. Czuła, jak były spragnione jej obecności, miłości. „Prowadząc swoją firmę, bywałam z nimi, a nie byłam”, uświadomiła sobie z wyrzutami sumienia. „Czy musiał się wydarzyć ten straszny wypadek,

żebym to zauważyła?”

A może ten wypadek zdarzyć się musiał, aby zatrzymać Jankę pędzącą gdzieś na oślep i odwrócić bieg wydarzeń w jej życiu? Wszak każdy koniec to początek czegoś nowego.



Polska, miasto W., lipiec 2012, ostatni dzień pracy

Dzień podobny do innych. Niczym nie różnił się od wcześniejszych lipcowych dni. Upał dawał się we znaki. Janina zaczęła codzienną krzątanie od rytuałów – kawy i papierosa. Dzieci spały jeszcze, ciszę przerywał tylko śpiew ptaków. To był czas na obudzenie się. Jedyny, jaki miała tylko dla siebie, dlatego lubiła go najbardziej. Pijąc drugą kawę, analizowała, co powinna jeszcze zrobić przed wyjściem do pracy. Zawsze skrupulatna i obowiązkowa, była gotowa na dzień przed wyznaczonym terminem. Pozostało już tylko zjeść śniadanie i stworzyć pozytywny wizerunek siebie. Pod każdym względem, zarówno nastawienia do tego, czym się zajmowała, jak i własnego wyglądu. Miało to owocować dobrym samopoczuciem oraz pozytywnie przekładać się na finanse. Tak przynajmniej twierdzili ci, którzy o wizerunek Janiny dbali, aby pracowała jak najbardziej kreatywnie i była wiarygodna. Sama też w to wierzyła, choć nie zawsze teoria przekładała się na praktykę.

„Cóż, nie wszystko można w życiu zaplanować!”, mawiała.

Lubiła swoją pracę. Stawała się w niej aktorką, musiała grać. Nie w telenoweli, lecz w życiu – prawdziwym teatrze. Stała na scenie i od tego, jak dobrze zagra rolę, zależało, czy widzowie zachwycą się nią i pozostaną, czy też opuszczą widownię. Janka zbierała liczne owacje, uznawano ją za jednego z najlepszych specjalistów do spraw marketingu w firmie. Dlatego też była pewna swojej pozycji i dobrej passy. Osiągnęła upragnioną stabilizację.

Dzisiejsze, wyjątkowo udane spotkanie miała już za sobą. Dużo gości, dużo braw, dużo pieniędzy.

Zrealizowała założony plan w stu procentach...

Potrzebowała chwili relaksu. Przy lampce dobrego wina wyciszała się i na spokojnie analizowała wykonane zadanie. Zastanawiała się, czy mogła coś zrobić jeszcze lepiej.

Dziś czuła się dumna, była szczęśliwa. Życie oszczędzało jej większych problemów, co niezmiernie sobie ceniła. Nic nie zwiastowało

katastrofy. Upalny dzień leniwie zamieniał się w wieczór. Gdy wszystko dobrze się układa, człowiek w swej pysze traci czujność. Również Janka mylnie zakładała, że może kontrolować swój los. Choć wiedziała, że Bóg lubi przypominać o swoim istnieniu, dając człowiekowi co jakiś czas pstryczka w nos. W ten sposób pokazuje mu, gdzie jest jego miejsce!

Janka chciała umyć naczynia. Śmiało zanurzyła dłonie w wodzie ze stertą brudnych naczyń, ale rozbita szklanka z precyzją skalpela podcięła jej żyły w prawej ręce. Ból, krew i strach...

Wystarczyła chwila nieuwagi przy zmywaniu naczyń, żeby Janina całkowicie pozbawiła się złudzeń co do możliwości wpływania na swoje życie. Z natury opanowana i tym razem zaczęła działać. Zatomowała krwotok, dezynfekowała ranę i owinęła ją bandażem. Przeanalizowała sytuację. Wiedziała, że zranione zwierzę często umiera, ale przecież nie ona! Nie, ona się nie podda!

„Będzie dobrze, będzie dobrze”, odwracała myśli od kłopotu, choć serce biło szybko. Ponieważ bezgranicznie wierzyła w dobroć Boga, a także ufała schematom, w których funkcjonowała, uspokoiła się. W końcu od dawna należał jej się urlop. Widocznie nadszedł czas, żeby odpocząć.

Odwołała zaplanowane spotkania i poinformowała przełożonych o wypadku. A ponieważ był weekend, wizytę u lekarza zostawiła sobie na następny tydzień. Unieruchomiona ręka uniemożliwiała zajmowanie się domem. Na szczęście już nie krwawiła, więc Janka spokojnie oddała się słodkiemu lenistwu. W końcu nie ma tego złego...

Wiara w dobrego Boga zachwiała się, gdy lekarz w szpitalu oznajmił, że jest inwalidką. Przecięła sobie ścięgna, a na zszycie ich było już za późno, od wypadku minęło bowiem kilka dni. Pozostała jeszcze jedna szansa – operacja, najlepiej w prywatnej klinice.

– Owszem, dostanie pani skierowanie na zabieg – mówił lekarz, wypisując jakieś papiery – ale nie gwarantuję, że go przeprowadzą. Mają poważniejsze przypadki.

Doktor obiecał Jance, że otrzyma zastrzyk przeciw zakażeniu, a rana zostanie oczyszczona, ale tym miał się zająć ktoś inny. Lekarz miło pożegnał pacjentkę, zostawiając ją samą z otwartą raną i gonitwą

myśli w jakimś zimnym pomieszczeniu, przypominającym bardziej kostnicę niż pokój zabiegowy.

Operacja, jak uprzedził doktor, nie dawała pewności, że ręka stanie się sprawna. „Co teraz zrobię? Ja, samotna matka bez jakiegokolwiek pomocy, mająca na utrzymaniu dwójkę dzieci”, zastanawiała się Janka. Bała się, gdyż zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. W ciągu kilku minionych dni już odczuła, co to znaczy być inwalidką i mieć ograniczone ruchy. Prozaiczne czynności, na przykład założenie dziecku spodenek czy posmarowanie chleba masłem, stawały się wyzwaniem.



Do gabinetu wchodzi młody mężczyzna. Nie mówiąc mi nawet „dzień dobry”, ogląda ranę.

– Ale sobie pani spieprzyła życie – stwierdza.

A ja milczę, nie dowierzając jego bezczelności. Ignoruję go.

– Po co pani to zrobiła? – kontynuuje, robiąc mi zastrzyk.

– Co? – pytam, bo nie rozumiem oskarżenia, podobnie jak ironicznego tonu.

– No, dlaczego chciałaś się zabić?

„Boże, czemu mi to robisz? Oni myślą, że chciałam odebrać sobie życie. Mają mnie za desperatkę! Tego mi jeszcze trzeba. Zamkną mnie na oddziale psychiatrycznym. Zabiorą dzieci”, myślę zrozpaczona, ale nie odpowiadam w myśl zasady, że tłumaczą się tylko winni. Na pozór spokojnie poddaję się bolesnemu zabiegowi oczyszczania rany. Patrząc na nią, przyznaję, że może ona świadczyć o próbie samobójstwa. Znajduje się bowiem dokładnie w miejscu, w którym ludzie podcinają sobie żyły, kiedy chcą umrzeć.

Na przegubie ręki. „Ale ja przecież kocham życie, jakim by nie było – lekkim czy ciężkim. Dostałam je w prezencie. Prezentów się nie zwraca...”

Nadchodzi kres udręki i wizyta u specjalisty od ran i dusz dobiega końca. Zaopatrują mnie jeszcze w zwolnienie, zaświadczenia i skierowania, które – jak się domyślam – będą mi potrzebne w dalszej podróży do lekarzy, szpitali, urzędów. Nikt nie pyta mnie o plany na przyszłość, czy nie zamierzam ponownie przejść na drugą stronę. O słodka ironio, jest mi to na rękę! Co z tymi, którzy zechcą podjąć taką

decyzję?

Grzecznie się żegnam i podążam szpitalnym korytarzem w poszukiwaniu kogoś ważnego, kto ma zadecydować o losie moim, dzieci i całym naszym życiu. Ma postanowić, czy moja ręka może zostać zoperowana w tym wielkim przytułku cierpienia. A cierpienie jest tu wszechobecne, na każdym kroku widać je gołym okiem. Wszechobecna jest też ignorancja wobec niego.

Wraz z innymi cierpiętnikami czekam w długiej kolejce na spotkanie z decydentem. Im dłużej patrzę, im dłużej słucham opowieści o kolanach, biodrach, terminach, przeszczepach, tym bardziej przekonuję się, że nie jest ze mną aż tak źle. Przynajmniej nie jestem już wściekła na mojego Boga. Mogłam przecież umrzeć, a On bądź co bądź mi tego oszczędził.

Ważny ktoś zza wielkich okularów o grubych szklach zerka to na mnie, to na papiery, które przyniosłam.

– Nie będziemy pani operować w naszym szpitalu. To jest błahy przypadek, mamy tu poważniejsze – orzeka. – Proszę szukać pomocy w prywatnej klinice.

Chciałabym krzyknąć: „Jak to, dlaczego? Przecież jestem objęta ubezpieczeniem, należy mi się”, ale pomna słów specjalisty, wychodzę bez słowa. Wizyta trwała trzy minuty.

W drzwiach dobiegają mnie strzępki zdania:

– Była pani dziewięć milimetrów od śmierci.

„Cóż, skoro dusza waży dwadzieścia jeden gramów, moje życie może być dłuższe o dziewięć milimetrów. Za to dziękuję Bogu. Bóg nie pozwoli mi się poddać, załamać. Dam radę!”, z taką świadomością opuszczam szpital, który przecież utrzymuje się między innymi z moich pieniędzy, ale jakimś zrzędzeniem losu nie ma tu dla mnie miejsca. „Na dzisiaj wystarczy wrażeń”, myślę i wracam do domu, gdzie czeka mnie walka z obiadem. Poddaję się i zamawiam pizzę. Co tam, niech dzieci mają święto. Kładę się spać ani nieszczęśliwa, ani radosna. Nijaka.



Całkowite załamanie wiary w system, w którym funkcjonował dotychczasowy świat Janki, nastąpiło, kiedy to z ręką na temblaku pojawiła się w ZUS-ie – ostoi, opoce, podporze płatników, mieszczącej

się w wielkim, dostojnym, reprezentacyjnym gmachu. Janina była wcześniej w ZUS-ie tylko wtedy, kiedy umarła jej matka, gdy urodziły się dzieci i jeszcze w jakichś drobnych sprawach. Nie zapamiętała większych uchybień ze strony pracujących tam ludzi. Drobne niedomówienia, opóźnienia, lekki nieporządek w dokumentach.

Nie denerwowała się. Sądziła, że idzie dopełnić formalności niezbędnych do otrzymania zasiłku lub nawet renty. Na temblaku, tuż obok ręki, usadowiło się serce. Czyżby coś przeczuwało? Nie, wszystko dzieje się w głowie. W niej znajduje się fabryka myśli, przyjemnych doznań i lęków.

Janina długo czekała pod pokojem numer pięć, ale była cierpliwa. Zdawała sobie sprawę, że to konieczne, by zabezpieczyć finansowo los rodziny na czas kryzysu. „A kryzys minie... podobnie jak ból, strach i problemy, jak wszystko inne, jak samo życie...”, pocieszała się Janka, oczekując na wezwanie urzędniczek.

Minęła godzina, a drzwi pokoju nawet nie drgnęły. „Może nie ma żadnego petenta”, zaczęła podejrzewać Janina, choć dochodziły stamtąd podniesione głosy. Zapukała, ale jakiś kobiecy głos nakazał jej czekać. Wróciła na miejsce. Pukanie jednak poskutkowało i w końcu drzwi się otworzyły. Wyszła rozszczebiotana, nadmiernie uśmiechnięta pani.

„Dziwne zachowanie, jak na powagę spraw, w których się tu przychodzi”, oceniła Janina, ale uznała, że to nie jej sprawa.

W obszernym pokoju panował nieurzędowy chaos i sielska atmosfera. Na biurkach, obok dokumentów, stały filiżanki po kawie oraz talerzyki. W powietrzu unosił się zapach papierosów i alkoholu.

„Imprezka w godzinach urzędowania. No cóż, przecież to tylko ludzie, widocznie któraś z pań ma powód do świętowania”, przemknęło Jance przez myśl, ale tylko przez ułamek sekundy, bo już po chwili zaczęła się zastanawiać, czemu żadna z urzędniczek w pośpiechu nie sprzątnęła swojego biurka, nie zawstydziła się albo dla czego chociaż nie powiedziała: „Przepraszam, proszę poczekać jeszcze sekundkę, już się panią zajmuję”. Nic takiego się nie zdarzyło. Kobiety siedziały nieporuszone, nie przerywając dyskusji. Kiedy w końcu jedna z nich, dostrzegając petentkę, zapytała: „W czym mogę pani pomóc?”, Jankę przepełniał gniew.



W pokoju numer pięć nikt nie zwraca na mnie uwagi. W końcu jedna z pań łaskawie mnie zauważa i pyta:

– W czym mogę pani pomóc?

Jestem wściekła, ponieważ nie znoszę lekceważenia. Rozumiem – imieniny, chwila przerwy, ale bez przesady, toteż na zadane pytanie odpowiadam podniesionym tonem:

– Przyszłam tu, ponieważ miałam wypadek i chwilowo nie jestem zdolna do pracy. Prowadzę własną firmę, płacę składki i nie zalegam z nimi. Chciałam złożyć wniosek o zasiłek chorobowy. Tu są dokumenty potrzebne do rozpatrzenia mojego wniosku. Przyjdę jutro. Do widzenia.

Nie czekając na reakcję, wychodzę. Czy pozostawiam te kobiety zdumione, zawstydzone, może oburzone? Nie wiem, nie moja to rzecz, bo przecież one są tu dla mnie. Wychodzę z założenia, że powinny mnie szanować, bo są na służbie u społeczeństwa.

W domu, kiedy złość mija, zastanawiam się nad tym, czy aby nie byłam nietaktowna. Szybko jednak odganiam te myśli.

Następnego poranka, tak jak i każdego poprzedniego od chwili wypadku, wita mnie upalny lipcowy dzień. Za oknem świergot ptaków, dzieci śpią. Kawa i ja. Czas tylko dla mnie. Moje rytualne poranki nie zmieniają się, choć przecież stałam się zupełnie inną osobą. Kaleką, niezdolną do pracy, a tym samym do samorealizacji, która zawsze była moim kołem napędowym. „Ale czy ta samorealizacja jest mi niezbędna? Może nadeszła chwila, abym odpoczęła. Zatrzymała się na chwilę, popatrzyła na świat z innej perspektywy niż pieniądze, wszystkochciejstwo czy bieg po najwyższe trofea w pracy. Są przecież inne wartości w życiu... Może trzeba się w końcu przestać okłamywać. Narodzić na nowo!”

Z takim nastawieniem po dwóch godzinach ponownie pukam do drzwi pokoju numer pięć w gmachu ZUS-u. Pod „piątką” nie ma żadnego petenta. To mnie cieszy, ale i dziwi. Ponieważ nie ma odpowiedzi na moje pukanie, wchodzę i z uśmiechem na ustach mówię „dzień dobry”.

– Dzień dobry – odpowiadają chórem panie.

Z radością zauważam porządek. Tak więc dzisiaj jest tu normalnie.

– Proszę usiąść – mówi pani, z którą rozmawiałam poprzedniego dnia, ruchem ręki pokazując krzesło. Siadam i cała zamieniam się w słuch. Jedyńm problemem, którym się teraz zamartwiam, jest wysokość zasiłku. Wyliczałam go sobie na podstawie zarobków z ostatnich miesięcy. Były dostatecznie wysokie, abym nie miała obaw, czy wystarczy mi na przetrwanie. Nie znam jednak urzędniczych kalkulacji. Siedzę zatem jak na szpilkach.

– Powiem wprost – zaczyna urzędniczka, nie patrząc mi w oczy – nie przysługuje pani zasiłek chorobowy, niestety...

Słowa przez nią wypowiedane nie docierają do mnie, choć przekaz jest jasny jak słońce. Patrzę na kobietę z niedowierzaniem.

„Czy to żart?“, myślę. „A może zemsta za mój wczorajszy nietakt? Tak, w jej oczach widzę satysfakcję...”

– Dwa miesiące temu – kontynuuje blondyna – spóźniła się pani z opłatą za chorobowe o trzy dni. W związku z obowiązującymi przepisami straciła pani prawo do ubezpieczenia chorobowego. Gdyby w odpowiednim czasie napisała pani prośbę o wyrażenie zgody na opłatę składki po terminie, ZUS prawdopodobnie pozytywnie rozpatrzyłby pani podanie. Takie pismo jednak do nas nie wpłynęło – mówi szybko, nie podnosząc wzroku znad biurka.

Wpatruję się w tę zupełnie obcą kobietę z niedowierzaniem. Nie znam jej i nie lubię. Nie należy do przyjemnych. „Jak można taką informację przekazywać równie chłodno, bez cienia empatii? Jakby mówiła o banałach, o rzeczach nieistotnych, o jakichś ziemniakach na przykład, których w tej chwili zabrakło, ale nie ma się co martwić – przecież można bez nich żyć lub zastąpić czymś innym, tym bardziej że jutro je dowiozą...”

Moje życie rozpada się w tym momencie na miliony niechcianych, bolesnych myśli: „Nie jestem kilogramem kartofli, nie wyrosnę na polu na nowo. Nikt nie wykopie mnie spod ziemi po raz wtóry ani mojego życia, bo ono jest tylko jedno...”

– Czy można jeszcze coś z tym zrobić? Przecież wciąż płacę... – pytam drżącym głosem, którego sama nie poznaję.

– Nie. Gdyby płaciła pani składki terminowo przez dziewięćdziesiąt dni, znów nabyłaby pani prawo do skorzystania

z ubezpieczenia chorobowego, ale od chwili nieterminowej wpłaty do dziś minęły niespełna dwa miesiące. To przestroga na przyszłość: nigdy nie należy się spóźniać ze zobowiązaniami wobec Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Trzeba pamiętać o terminach! – odpowiada rzeczowo. – Bo potem są tylko niepotrzebne rozczarowania – dodaje złośliwie.

Pragnę teraz tylko jednego – zapaść się pod ziemię ze wstydu...

Zawsze z pietyzmem pilnowałam terminów płatności. Nauczyl mnie tego rodzice, a potem samo życie (jakże srogi nauczyciel!). Czy mam się przed nią kajać, bić w piersi, krzyczeć, że to nieprawda? O nie! Co to to nie! Istnieje przecież jeszcze dokumentacja, skrupulatnie prowadzona i przechowywana przez mojego księgowego. Podniesiona tą nadzieją na duchu i pewna, że owa pani się myli, mówię lekko podniesionym głosem:

– Proszę pani, za chwilę wrócę z dowodem wpłaty, bo jestem pewna, że nie mam żadnych opóźnień.

– A to niepotrzebny trud. Ja wszystko dokładnie sprawdziłam. To, że pieniądze zostały wpłacone w terminie, nie oznacza, że dotarły do nas na czas – odpowiada, a na jej ustach pojawia się cyniczny uśmiech.

– Trzeba brać pod uwagę dni wolne od pracy czy jakieś opóźnienia w bankach. Liczy się termin zaksięgowania środków na naszym koncie, a nie termin, w jakim zrobiła pani przelew.

– Oczywiście, ale to nie ja powinnam ponosić konsekwencje, przecież to nie moja wina, że banki mają...

– A czyja? – przerywa mi urzędniczka. – Może moja? Wystarczy po prostu przewidywać, mieć swoje życie pod kontrolą, bo lichy, droga pani, nie śpi nigdy.

Na ten argument nie znajduję sensownej odpowiedzi. Wpadłam we własne sidła! Opuszczam więc pokój numer pięć. Długo stoję pod gmaszyskiem ZUS-u, nie mogąc dojść do siebie. Z trudem łapię oddech, przysiadam na schodach.

„Co teraz?“, krzyczę do tego gmachu w myślach, ale on nie odpowiada. Stoi cicho, wielki, nieporuszony. „Ciekawe, na ile takich nieszczęsnych losów już nieczule spoglądał i skąd w nim tyle miejsca na dumę?“, zastanawiam się, a z moich oczu płyną łzy i spadając, rozbijają

się o marmur...



Niemcy, miasto M., listopad 2012, pierwszy powrót do pracy

Minęły niecałe dwa miesiące, kiedy Janka ponownie stanęła pod drzwiami przybytku. Długo wahała się, czy nacisnąć dzwonek, na którym widniało jej imię. Wstydziła się swojego rychłego powrotu, bała ironicznych komentarzy oraz spotkania z Adele.

Mogła jeszcze odwrócić się na pięcie, zbiec po schodach i wrócić do domu, ale... bez pieniędzy. W krótkim czasie wydała wszystko, w myśl zasady „szybko przyszło, szybko poszło”, tak jakby ją parzyły w ręce. Bezmyślnie, beztrosko, bez opamiętania. Do dna.

Decyzję o powrocie podjęła bez wahania, jak gdyby tylko czekała na pretekst, by powiedzieć losowi: „tak!”. I choć w głowie zapaliło się czerwone światełko, szybko je zgasila. Ukryła gdzieś głęboko w sobie.

Drzwi otworzyła jej Rita, ledwo trzymająca się na nogach. I trudno się dziwić. Dochodziła szósta rano, nie mogło być inaczej.

– O Boże, Johanko, co ty tutaj robisz? – bełkotała zdziwiona, choć musiała wiedzieć, że ma zarezerwowany pokój i termin. – Co tutaj robisz? – pytała, przytulając Jankę, jakby się za nią stęskniła, po czym zaczęła się głośno śmiać.

– Daj spokój! – Janka odepchnęła ją od siebie i weszła do środka.

Kiedy jednak stanęła w paszczy lwa, przeraziła się. Dopiero teraz dotarło do niej, że wpadła w zakłęte koło, jakim jest prostytutka... Po raz kolejny znalazła się poniżej poziomu zero. W piekielnych czeluściach! Jakby na potwierdzenie tych słów diaboliczny śmiech Rity przerodził się w histeryczny płacz.

– Coś ty najlepszego zrobiła? Co zrobiłaś? – powtarzała bez ustanku, chaotycznie bijąc Jankę po twarzy. Uspokoila się dopiero wtedy, gdy Janka, przygotowana na różne okoliczności, wyciągnęła z walizki wódkę.

Piły w ciszy. Słowa były ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowały. Jedna upijała swoje, i tak już pijane, myśli, druga – sumienie. Kiedy Rita zasnęła, Janka odkryła, że z każdym łykiem alkoholu wszystko coraz bardziej jej obojętniało. Właściwe życie oddalało się, rozmywało,

znikało... Pracę rozpoczynała jak zwykle o jedenastej, zostały jej jeszcze trzy godziny. Janka postanowiła się w tym czasie zdrzemnąć.

Nie wiedziała, że odtąd, kładąc się spać w najbrzydszym pokoju w przybytku, za sprawą alkoholu będzie przenikała z jednego świata do drugiego – w obie strony; aż do całkowitego zagubienia.



Budzi mnie dzwonek. Całe ciało przeszywa skurcz przestachu. Nie otwieram oczu, próbując się jeszcze przez chwilę okłamywać. Naciągam kołdrę na głowę, ale nie jest to żaden parasol ochronny. Już wiem, gdzie jestem...

Ponownie dźwięczy dzwonek. Nie tylko w moim pokoju. Rozbrzmiewa w całym przybytku. Dochodzą mnie podniesione głosy, trzask drzwi tuż obok, szybkie kroki w holu. Wiem, że za chwilę otworzą się moje drzwi.

– Johanna, wstawaj, mamy *Vorstellung* – mówi do mnie ktoś, kto na pewno nie jest Nią. Dlatego wygrzebuję się z pościeli i spoglądam na dziewczynę stojącą obok łóżka. Nie widziałam jej tu ostatnim razem. Czuję się szczęśliwa, oglądając zupełne przeciwieństwo Adele – malutką, chudziutką postać, z twarzą ukrytą za wielkimi okularami. Bardziej przypomina dziecko niż kobietę. Jakby była z zupełnie innej bajki...

– Wstawaj, masz trzy minuty – mówi do mnie łagodnie. – Jestem Agnes, zastępuję Adele. Czekamy na ciebie w holu.

Wstaję zatem, i to w dobrym nastroju. Przeczesałem włosy, narzucam halkę. Nie mam bladego pojęcia, czym jest owy *Vorstellung*. Wędruję boso długim, ledwo oświetlonym korytarzem, na którego końcu, w przedsionku, słyszę gwar i śmiechy. Przedśionek mierzy około ośmiu metrów kwadratowych. Jest słabo oświetlony, jakby nikogo tutaj nie zapraszał lub chciał ukryć jakieś mankamenty. W celu optycznego zwiększenia jego rozmiarów na ścianie wisi powiększające lustro. Czy ma ono służyć również podniesieniu libido odwiedzających przybytek? Ściany ozdobiono aktami, a pod największym – postawiono fotel.

Niejednokrotnie, przebiegając z łazienki do pokoju, zastanawiałam się, kto na nim siada. Dopiero teraz, kiedy nieprzygotowana do pracy, nieobuta, stoję w pobliżu, pojmuję, że jest czymś na kształt królewskiego

tronu. Siedzi na nim mężczyzna, wygodnie rozparty, a naprzeciw w pełnej okazałości wdzięczą się niemal całkowicie nagie kobiece ciała. Trudno policzyć, ile ich tutaj stoi. Na oko – blisko dwadzieścia. Tłamszą się w niewielkim korytarzyku, przestępując z nogi na nogę. Są wśród nich ciała piękne, ale i mniej ładne. Nie wypada mi się im przyglądać zbyt nachalnie. Jednak widzę, że każda z nich ma w sobie coś, co może przyciągać uwagę: ładną twarz, duże piersi, wąską talię, dużą pupę, długie nogi. Uśmiechają się, chichrają, coś szepczą. Mam wrażenie, że każda chce zwrócić na siebie uwagę siedzącego na tronie.

„Czyżbym spoglądała na nie jak na konkurencję? Czy nie prezentują się jak bydło na sprzedaż?”

Chcę wracać do łóżka, bo jestem zmęczona, a tymczasem następuje wielkie poruszenie. Każda z kobiet podchodzi do K. i wyciągając dłoń, przedstawia się:

- Isabelle.
- Sandra.
- Rachel.
- Mia...

„Skąd one, na Boga, biorą te imiona?”, przebiega mi przez myśl. Nadchodzi i moja kolej.

– Hallo, ich bin Johanna – mówię do K., ale nie podaję siedzącemu ręki. Niby dlaczego? To nie uchodzi, nie wypada. I nie jest w moim stylu.

Mężczyzna się zastanawia. Podpiera głowę na dłoni i mierzy znudzonym spojrzeniem każdą z nas. Od stóp do głów. Wybór ma duży, być może dla niego trudny. Na twarzy widać konsternację. Kogo szuka? Żony, przyjaciółki? Czy seksu?

Czekamy na decyzję. Te chwile strasznie się dłużą, a oczekiwanie jest żenujące. Dlatego buntuję się i pytam wprost tego, któremu być może wydaje się, że jest wielki, bo dokonuje wyboru:

– Chcesz mnie? Bo jeśli nie, to szkoda mojego czasu – mówię do niego po angielsku, licząc na to, że nie zrozumie.

– Tak – odpowiada ku zdziwieniu koleżanek.

Klamka zapadła, biorę go za rękę i prowadzę do pokoju. Kiedy zamykam drzwi, słyszę podniesione głosy w przedsionku. Czyżbym

zachowała się nietaktownie?

W pokoju panuje chaos, ale nie przeszkadza mi to. Jestem zła. Kolejny raz przekonuję się, że nadgorliwość bywa gorsza od faszyzmu, jak to się zwykle mawiać. Przecież chcę spać.

Nastawiam się na agresję ze strony K., lecz miło mnie zaskakuje. Płaci za trzy godziny plus wszystkie dodatki, których ja nie oferuję. Nie chce seksu, chce tylko pić whisky, palić, trochę pogadać i odpocząć. Przyleciał tu aż z Irlandii. Dla mnie! Nie wierzę mu, ale z drugiej strony, gdyby to było prawdą, to chwała temu ustrojstwu, jakim jest internet...

Kiedy się rozbiera, odkrywam przerażającą myśl, że kurewstwo mnie już nie boli i stało się tak oczywiste, że aż normalne. Z takimi myślami stoję nad nim jak kat. Szamoce się z nogawkami od spodni, które kosztują zapewne tyle samo (a nawet więcej!), co cała impreza tutaj. W najbrzydszym pokoju w przybytku.

Patrząc na nieporadność K., widzę jego małość. Czuję się od niego lepsza. Jak gdybym miała nad nim władzę. To spostrzeżenie mnie niepokoi, nawet przeraża...

K. uporał się w końcu ze swoim ubraniem. Stoi przede mną nagi i głupio się uśmiecha. A ja nie mam czasu na myślenie i najchętniej naplułabym mu w twarz. Dlaczego? Nie wiem. Tak po prostu. Za to, że tu jest. Powstrzymuję się, bo przecież płaci mi, żebym była miła. Tak więc jestem, a raczej udaję. Prowadzę go do łazienki, a w myślach pytam Boga: „Dlaczego to się dzieje? Czy świat jest na tyle popapwany, że ludzie płacą za bliskość z obcym człowiekiem? Co się z nami dzieje? Zwariowaliśmy? Pogubiliśmy sens?”.

K. idzie odświeżyć się po podróży, a ja – której kurwienie spowszedniało – wędruję, wedle obowiązujących zasad, do paszczy lwa, która pod Jej nieobecność nie wywołuje złych skojarzeń. W paszczy siedzą te wszystkie, z którymi chcąc nie chcąc coraz bardziej się utożsamiam. Dziwi mnie panujący tu gwar. Zazwyczaj o tej porze jest pusto, ale nie zastanawiam się nad tym, bo co mnie to obchodzi. Ja robię swoje... Zarabiam kasę.

Kiedy wrzucam pieniądze do sejfu, podchodzi nieznana mi dziewczyna, chwyta za ramię i podniesionym głosem mówi:

– Tak się nie robi, Johanna. Tutaj panują zasady. Są święte, nie

łamiemy ich! Zapamiętaj to sobie, w przeciwnym razie będziesz miała problemy.

Jestem zaskoczona fizycznym kontaktem, choć gdzieś w podświadomości spodziewałam się nagany. Groźba mnie jednak nie przeraża, przeciwnie – śmieszy. Swoje już tu widziałam, dlatego uśmiechając się, stanowczym ruchem odrzucam jej rękę i odpowiadam:

– No, to teraz zasady się zmieniły. I dla jasności – mówię głośno, żeby usłyszały wszystkie damy – nie jestem krową na sprzedaż, nie mam na to ochoty, a wy róbcie, co chcecie. – Wychodzę, ale nie trzaskam drzwiami. Byłoby to okazaniem słabości. Na szczęście K. zdążył w tym czasie przygotować drinki. Wypijam swojego do dna. Chyba tylko dzięki temu nie czuję, że cała drzę.

K. okazuje się całkiem miłym facetem, jednak stanowczo za dużo pijącym. Po dwóch godzinach banalnej pogawędki jestem nim nieco zmęczona. Kiedy zasypia, czuję ulgę. Zapada cisza...

Przyglądam się śpiącemu. „Po co on się tu męczy? W najbrzydszym, zadymionym pokoju, ze zwykłą kurwą, którą interesują wyłącznie pieniądze. Powinien spędzać wolny czas z kobietą swego życia. Kim jest ten śpiący mężczyzna?”, zastanawiam się, a po chwili sama sobie odpowiadam: „To człowiek upadły, tak samo jak ja”.

Tymczasem K., głośno pochrapując w jednym z najdroższych hoteli świata, przewraca się na drugi bok.



Janka, siedząc na skraju łóżka, przyglądała się człowiekowi, który na chwilę znalazł się w jej życiu. Czuła ciężar swych powiek, ale nauczona doświadczeniem z Adele, miała się na baczności, kontrolowała czas. Gdy kończyła się trzecia godzina, próbowała klienta budzić. Bez rezultatu. Pobiegła przez hol, cichy i nieoświetlony, co wydawało się trochę dziwne o tej porze, szukać zastępczyni Jej Królewskiej Mości lub jakiegoś ochroniarza. Tymczasem paszcza lwa ziała pustką. Nie znalazła nawet śpiącej tam zawsze Rity.

„Co teraz robić?”, kołatało jej w głowie.

Wróciła do pokoju. Po chwili namysłu sięgnęła do kieszeni spodni śpiącego K. i z pliku pieniędzy na chybił trafił wyciągnęła kilka banknotów. „Nie kradnę, tylko zabieram swoje”, usprawiedliwiała się.

Trzymała w dłoni więcej niż należało się za kolejną godzinę. Wahala się, ale wzięła tylko tyle, ile powinna. Resztę odłożyła z powrotem do portfela. Podobna sytuacja miała miejsce jeszcze trzykrotnie. Za każdym razem Jance towarzyszyły coraz mniejsze wyrzuty sumienia.

„Czy to moja wina, że K. wybrał do spania burdel?”, pytała retorycznie samą siebie.

Początkowo była zła, potem zniecierpliwiona, a w miarę upływu czasu stała się obojętna. Na komodzie stała cała butelka whisky i papierosy. Na dodatek zarobiła już tyle, że właściwie mogłaby wracać do domu, ale jeszcze o tym nie myślała. Chciała więcej. Nie przyznawała się do tego przed sobą, ale zaczynał ją ten świat fascynować. Wszystko przypominało hazard, ekscytowało. Nigdy nie można było przewidzieć, co się wydarzy. Nie należało, wręcz nie wypadało niczego planować. To się Jance podobało najbardziej. Przestała wybiegać myślami w przyszłość. „Co ma być, to będzie”, powtarzała.

W przybytku całkowicie mogła się zatracić w zamyśleniu. Zatrzymać. Na to nie miała czasu na zewnątrz. Tam biegła bez opamiętania.

Zanim klient się obudził, jego portfel znacznie wyszczupłał. Janka mimo wszystko czuła się niezręcznie. Nie chciała, żeby oskarżył ją o kradzież. Dlatego uprzedziła K. o tym, co zrobiła, zanim sam się zorientował... Ku jej zdziwieniu nie wywarło to na nim większego wrażenia, jakby podobne sytuacje nie były mu obce, jakby pieniądze nie miały żadnej wartości.

Machając ręką, uśmiechnął się do Janki, ale nie był to uśmiech człowieka szczęśliwego. Wyglądał jak zbity pies, wstydził się siebie. Sięgnął po butelkę i zrobił drinka. Janka bacznie go obserwowała. Mimo słabego światła na zmęczonej, pomiętej twarzy dostrzegła zmieszanie. Chciał odwrócić jej uwagę od swojej słabości, uczucia poniżenia związanego ze stanem upojenia. Janka była jednak zbyt bystra, aby tego nie zauważyć. Zawsze widziała więcej niż inni.

Pili w milczeniu. W końcu stało się ono nie do zniesienia. Janka przytuliła go i delikatnie głaskała po głowie. Wiedziała, że tego potrzebuje. Przeczuwała, że był to główny powód, dla którego zawitał do przybytku.

„Przecież to tylko człowiek. Nie żaden potwór, wróg, psychopata... Człowiek”.

K. zaczął szlochać, co jakiś czas próbował się oswobodzić z ramion Janki. Ale jej uścisk był silny, stanowczy, więc w końcu mu się poddał. Pan dyrektor, przystojny, męski i jeszcze parę godzin temu władczy, płakał jak małe dziecko, przytulony do kurewskiej piersi. Całkowicie bezradny.

Janka pozwoliła mu się wypłakać do końca, by szybciej odzyskał równowagę. Nie robiła tego z litości, lecz zwyczajnie, po ludzku, z dobroci serca.

– Zostań moją żoną – powiedział przez łzy, bardziej do pustej szklanki niż do niej. – Dam ci wszystko, czego potrzebujesz – obiecywał desperacko.

– Idź już. Twój czas minął – odpowiedziała, podając rękę. Ale przemknęło jej przez myśl, że dzięki niemu mogłaby zaradzić swoim problemom. „Jednak tak perfidnie wykorzystywać człowieka? Nie, to nie dla mnie”, zadecydowała. Poza tym cały czas miała przed oczami P.O.S.O.

Kiedy zamknęła drzwi za klientem, odetchnęła z ulgą. „Za żadne skarby świata nie byłabym w stanie męczyć się z takim człowiekiem”, pomyślała. W ten sposób odpowiedziała sobie na pytanie, dlaczego tacy mężczyźni odwiedzają przybytki.

W paszczy lwa, na tronie Królowej, siedziała Agnes. Nie pasowała do tego miejsca. Prawie nie było jej tam widać.

Janka powiadomiła Agnes, że K. opuścił progi przybytku, ale dziewczyna nie zareagowała. W salonie siedziały tylko trzy kobiety. Żadnej z nich Janina wcześniej nie widziała. Na podłodze leżało mnóstwo walizek i modnych kufrów, sprawiających wrażenie, że w przybytku panuje chaos, a dziewczyny stale migrują.

Janka, zmęczona dyrektorem i alkoholem, resztką sił zmyła z siebie ciężki dzień. Prysznic tylko na chwilę przyniósł ulgę. Zanim zasnęła w swoim pokoju, który teraz wydawał się oazą spokoju, napisała SMS-a do P.O.S.O.: „Jestem w M. i cholernie za Tobą tęsknię!”.

Kamień spadł jej z serca. Dotychczas nie miała odwagi odezwać się do Niego ani przyznać przed sobą, że Go potrzebuje.

Odpowiedź dostała natychmiast: „Ja też. Jutro będę u Ciebie”.
Przytuliła się do kołdry mocno i czule, jakby owa była Nim.



Budzę się wczesnym rankiem. Mimo wczorajszej rozwiązości alkoholowej jestem wypoczęta. W końcu przespałam całą noc. Dziś nie przeszkadza mi śpiew ptaków. Moich oczu nie drażnią ostre promienie słońca, choć przecież to już jesień. W tym roku jakaś łagodna i bardzo ciepła. Inna, dziwna, przez to piękniejsza, prawie jak u schyłku lata. Nie myślę o sobie z niesmakiem. Nie czuję do siebie obrzydzenia, którym byłam ostatnio przesiąknięta od stóp do głów. Gdzieś się to wszystko we mnie zapodziało.

Jestem zadowolona, chociaż kurewstwo nadal boli, odeszło jednak na drugi plan. Nie odczuwam też swoistej nostalgii, jaką wywołują we mnie liście opadające z drzew.

Robię kawę w pustym salonie i cieszę się na widok śpiącej Rity, zawiniętej w koce po czubek nosa. Spod nich wystaje jątrzące się ropą, chore kolano, które nie tylko nie doczekało się operacji, ale nawet opatrunku.

Chcę jej pomóc. Przysięgam to sobie, choć mam problem ze swoją ręką. Co mnie napawa taką radością? No chyba nie to, że za chwilę stuknie mi czterdzieści lat?

Otwieram wszystkie okna na oścież, robię kilka głębokich wdechów.

„Boże, jaki człowiek bywa dziwny w swej przewrotności. Jestem szczęśliwa, nie bacząc na to, że utknęłam w przybytku, w którym w każdym kącie czai się ból. Szczęśliwa pełną piersią... Dlaczego? Bo mam Jego – P.O.S.O. Mężczyznę mojego życia. O tym jestem przekonana w stu procentach!”

Rozpiera mnie energia. Sprzątam brudy pozostałe po nocy i w ogóle nie czuję się z tego powodu upokorzona. Może dlatego, że nikt na mnie nie patrzy poza Ritą, ale jej jest pewnie wszystko jedno.

Kiedy wychodzę, paszcza lwa łśni, a ja biegnę przez hol szykować się dla Niego. Zanim to zrobię, zanoszę śpiącej królownie butelkę whisky, która – jako jedyne wspomnienie po dyrektorze – pozostała na komodzie. Wiem, to niedobrze, w ten sposób pomagam Ricie

w zatracaniu się, ale radość w jej oczach na widok butelki upewnia mnie w przekonaniu, że daję jej szczęście. Przynajmniej nie będzie czuła bólu. „Chyba tak jest dobrze?”, zadaję sobie retoryczne pytanie.

Czekam na Niego. Dziwi mnie milczenie znieawidzonego dzwonek, tajemnicze w swym uporze. W ogóle nie wiem, od czego to zależy, że niekiedy dzwoni raz za razem, a niekiedy w ogóle.

Idę do salonu. Nadal nikogo w nim nie ma poza Ritą, która ożyła po alkoholu i gotuje, podśpiewując, co nie pierwszy raz wprawia mnie w osłupienie. Odkrywam, że ją lubię, bo jest sobą, nikogo nie udaje. Ale czy tu można kogoś lubić?

– Cześć, Johanko. Jak się masz? – pyta radośnie. – Chcesz piwo?

– Pytanie! Pewnie, że chcę – odpowiadam.

– Posprzątałaś ładnie, to dobrze, bo jutro wraca żoźła – mówi, mieszając coś w garnku. Coś, co nawet ładnie pachnie.

To akurat zła wiadomość, gdyż nie będę się czuła tak swobodnie jak teraz. Jej obecność mnie uwiera.

– Taaa – odpowiadam zdawkowo, bo wiem, że niczego dobrego nie mogę się po Niej spodziewać, ale tym będę się martwiła jutro. – Co się dzieje? Czemu jest tak pusto? – pytam.

– A to ty nie wiesz...? No tak, bo niby skąd. Posucha. Dziewczyny przemieszczają się w inne, lepsze miejsca. Bawarczycy nie chodzą teraz po burdelach. Czasami tak się dzieje, jak świętują albo czekają na wypłaty, albo diabli wiedzą dlaczego. Ale jesteśmy tu same, nie dławi nas konkurencja, więc zarobimy kasę – mówi. A ja mam wrażenie, że zaczyna marzyć.

„No tak, czyli dobrze myślałam – one po prostu migrują. Szukają lepszych miejsc. Mądre dziewczyny. Miałam wielkie szczęście z wczorajszym K. Dlatego tak się na mnie wściekały. Było, minęło. Zresztą, każdy tutaj musi dbać o swoje cztery litery”.

A ja i tak czekam na Niego... Choć przysięgałam sobie po ostatnim nieudanym związku, że nigdy nie zaufam żadnemu mężczyźnie. „Co w Nim jest takiego, że wrakiem mego serca czuję, że z P.O.S.O. mogłabym pójść na koniec świata?”

Moje rozważania przerywa dzwonek. Pada na Ritę. Z trudem zakłada buty na bardzo wysokich obcasach i lekko chwiejąc się,

z uśmiechem rzuca krótkie:

– A nie mówiłam!

Zostaję sama, co bardzo mi odpowiada. Mieszam gotowanie Rity, oddając się słodkim marzeniom o Nim. Długo czekam. Czas wlecze się opornie. Zdążyłam zjeść, wypić butelkę wina i nareszcie jest On, mój P.O.S.O.

Kochamy się szaleńczo jak sztubaki, nie mogąc się sobą nasycić. Proponuje, abyśmy spędzili moje urodziny w Jego przystani. Bardzo podoba mi się ten pomysł. Chętnie poszłabym z Nim już w tej chwili, ale przecież nie wypada się narzucać. Niech sobie nie myśli! Umawiamy się więc za dwa dni na dwudziestą drugą.

Noc jest spokojna, nieprzerywana ni dzwonkami, ni jękami. Cisza jak nigdy, do czasu kiedy ktoś z rozmachem otwiera drzwi i bez słowa rzuca się na mnie, zaspaną. Po głosie rozpoznaję Niki.

– Ja też się cieszę, ale... – nie pozwala dokończyć zdania. Wyciąga mnie z łóżka nieubraną, nieobutą, z rozwianymi włosami. Po chwili siedzę na tronie Królowej ze szklanką wódki w ręku. Tutaj nijak nie można być abstynentem.

– To jest moja Johanka. – Jakby z dumą oświadcza swoim trzem współtowarzyszkom. Witają mnie czule: Tereza, Maria, Tina. Na moje szczęście – Słowaczki. Pani psycholog, nauczycielka i wolny strzelec. Młodsze ode mnie, ale niewiele.

Żadna z nich nie wygląda na prostytutkę. Zwyczajne, przeciętne kobiety, takie jak te, których setki mijam na ulicach mojego miasta. Takie jak te, z którymi modłę się co niedzielę w kościele. Takie jak moje koleżanki, albo nawet lepsze, bo niezadufane w sobie. Zwykłe, normalne, zagubione gdzieś tam w drodze do nieba. Takie jak ja, takie same.

Każda naznaczona jakąś blizną, jak to w życiu. Mają swoje sprawy, swoje radości, swoje problemy. Przygnały je tutaj ważne powody. Nie przyjechały tu po to, by kupować markowe ciuchy, trwonić pieniądze na silikonowe cycki czy tyłki – jak te gumowe lalki, które poznałam w Szwajcarii. Sztuczne, ze zbyt szerokimi wydymanymi ustami, niemające nic do powiedzenia.

Ta noc nie przypomina innych. Owszem, pijemy wódkę, ale dawno

nie zdarzyło mi się rozmawiać o sensie istnienia, życiu i filozofii tak jak tu, w miejscu, gdzie dotknęłam dna. W końcu nie o dziecięcych kupkach, ciuchach, paznokciach, zdradach. Na takie bzdury nie ma czasu.

Rita wciąż kiwa głową na znak dezaprobaty, nie bierze udziału w dyskusji. Wyraźnie jest zgorziona naszymi nocnymi rozmowami. Ku jej uciezce czule się żegnamy o świcie. Każda chwiejnym krokiem wędruje spać do pokoju.

Niki przytula się do mnie jak dziecko, razem zasypiamy pod jedną kołdrą.

Budzę się oślepią jesiennym słońcem. Patrzę na Nicole, która śpi zwinięta w kłębek, i zastanawiam się, czego ona ode mnie chce. Dlaczego wybrała właśnie mnie? Z drugiej jednak strony, co mnie to obchodzi, przecież to nie jest właściwe życie...

Idę do paszczy lwa zaparzyć kawę. Pusto, chociaż minęła jedenasta. Nie zwracam uwagi na nowe walizki tarasujące przejście. Tutaj to normalka. Ponieważ nie ma Adele, postanawiam zrobić Niki przyjemność i zanoszę jej kawę do pokoju. Robię to w myśl zasady: „Kota nie ma, myszy harczą”.

Uśmiecha się radośnie i czule całuje mnie w usta, jak na mój gust zbyt czule...

Pijemy kawę w pościeli, mocno zaciągając się papierosami. Z czegoś się tam zaśmiewamy. I w takiej scenerii zastaje nas Adele, nie omieszkawszy wtargnąć bez pukania. Krzyczy, rzuca wyzwiskami, co doprowadza nas do ataku śmiechu, nad którym nie możemy zapanować. No i wybucha afera międzynarodowa, bo oto Polka ze Słowaczką muszą się tłumaczyć ze swojej nieodpowiedzialności przed Czeską i dwoma Niemcami pełniącymi funkcję managerów w naszym przybytku. Dają nam ostatnią szansę – nie możemy w pokojach niczego pić ani palić. Jak się okazuje, za sprawą Rity, która pod wpływem alkoholu, całkiem niedawno, wznieciła pożar. Zakazali nam także mieszkać w jednym pokoju.

Koniec laby... „Ciekawe, jaka byłaby awantura, gdyby zobaczyli, co przedwczoraj robiłam z K. przez większość czasu?”, śmieję się w duchu. Po kilku godzinach wszystko wraca do starego ładu, bo na

tronie znów zasiadła Jej Królewska Mość. Do przybytku powraca tak zwana normalność.

Tkwimy w salonie na sofach jak kury na grzędzie. Początkowo grzecznie i cicho, ale w miarę upływu czasu robimy się coraz bardziej hałaśliwe. Siedzimy z Niki obok siebie. Piszemy na karteczkach jakieś głupoty, co chwilę wybuchamy śmiechem. Jak w szkole. I choć czujne oko Adele cały czas nas obserwuje, pijemy koniaczek, tak dla zdrowotności.

Szybko dołączają do nas koleżanki Rity, która jakimś cudem wytrzeźwiała. Stanowimy mocną grupę, być może właśnie dlatego Ona udaje, że nic nie widzi ani nic nie słyszy. Salon zaczyna się kurczyć. Co jakiś czas przyjeżdżają nowe walizki, robi się zamieszanie. Jest nam to na rękę, bo Ona co chwilę wychodzi, gdzieś kogoś lokuje, do kogoś dzwoni.

Dzięki temu pijemy swobodnie i mamy coraz więcej nowych koleżanek. Około godziny dziewiętnastej nie ma już miejsca na sofach.

Dzwonek wciąż milczy, nikt nie chce przyjść do żadnej z nas.



Janka wyłączyła się z jakichkolwiek dysput, tym bardziej że panował straszny gwar, jak nie przymierzając w barze piwnym. Do tego krzyczał telewizor, trudno było zrozumieć, co mówiły inne dziewczyny, ale nietrudno było się domyślić, o czym rozmawiały. Wystarczyło usłyszeć dwa słowa: „kein Klient”, i zauważyć, jak uporczywie spoglądały to na kamerę, która tego dnia pokazywała pusty korytarz, to na ścianę milczących dzwonek.

Janina siedziała i obserwowała zachowanie dziewcząt, które dopiero co przyjechały do przybytku – wszystkie młode, nienaturalnie ładne. U każdej – przedłużone włosy, rzęsy i paznokcie. Codzienne czynności w tipsach o tej długości musiały im sprawiać kłopot. No i obowiązkowo – bardzo modne powiększone usta, które nadawały im dziwny, wręcz idiotyczny wyraz twarzy. Janka kobiety tego typu nazywała nadmuchanymi lalkami.

„Czyżby przyjechały tu prosto ze Szwajcarii?”, śmiała się sama do siebie i zastanawiała: „Po co tutaj przyjechały, skoro wiedziały, że jest posucha? Nie lepiej okres stagnacji przeczekać w zaciszu domowego

ogniska?”.

Niemal przed każdą stało lustro. Dziewczyny co chwilę się przeglądały, podmalowywały, coś poprawiały. Dyskutowały, pijąc drinki. Wyglądały na niezadowolone ze swojego wyglądu oraz zastanej sytuacji. Wraz z kolejnymi litrami wypitego alkoholu, w kłębach dymu atmosfera się zagęszczała. Dziewczyny zdawały się wzajemnie przekrzykiwać. Adele nie angażowała się w rozmowy, widocznie takie sytuacje nie były jej obce.

Po raz pierwszy od starcia z burdelmama Janka życzliwiej spojrzała na tę stale pochyloną nad ekranem komputera dziewczynę. „Może nie jest aż taka zła?”, rozważała.

Niespodziewanie zadzwieczał dzwonek. Wszystkie umilkły. Któraś nawet wyłączyła telewizor. Zapadła głucha cisza, przerywana tylko przez wstrzymywane oddechy. Ze złudną nadzieją każda szukała światełka przy napisie ze swoim imieniem. Wyglądały jak ćpunkki na głodzie, którym ktoś pokazał upragniony narkotyk.

Ten widok przeraził Jankę. Była w lepszej sytuacji, bo już zarobiła. Nie czekała na K., tylko na P.O.S.O. Do ponownego spotkania z Nim pozostało Jance jeszcze dwadzieścia kilka godzin...

Starła się zrozumieć poruszenie dziewczyn, ich próżne złudzenia, zwłaszcza gdy podświetlił się napis „Biuro”. A to oznaczało, że ktoś przyszedł do Adele. Na zmęczonych twarzach odmalowało się rozczarowanie i gorycz, ale kobiety szybko zmyły je sowitymi haustami alkoholu. Siedziały teraz ciche, nie miały ochoty na rozmowy ani oglądanie telewizji. Chwila spokoju. Ożywiły się na nowo, gdy Adele oznajmiła, że jest *Vorstellung*. Dotyczył tylko dziewcząt o ciemnych włosach. Szatynki i brunetki wyszły podekscytowane. Zostało kilka jasnowłosych.

Gwar ucichł. Można było porozmawiać, ale Janka nie reagowała na zaczepki innych blondynek. Otworzyła okna, żeby trochę przewietrzyć salon, dym szczypał w oczy niemiłosiernie. Łzy jak grochy spływały jej po policzkach.

W Jance dojrzała kłująca jak oset myśl, że na dobre wpadła w sidła kurewstwa. W szpony szatana, którego zobaczyła w twarzach obecnych przy niej kobiet, kiedy zadzwonił dzwonek.

Ciemnowłose wróciły bez Rity. To ona była szczęściarą. Wywołało to ogólne oburzenie, zwłaszcza wśród nowo przybyłych. Jak to? K. wybrał nieumytą pijaczkę w podziurawionych pończochach? Jak mógł?

Lusterka, szminki, tusze, kredki znów pojawiły się w dłoniach. Zewsząd dały się słyszeć pytania: „Jak teraz wyglądam? Lepiej?” oraz fałszywe odpowiedzi: „No, teraz wyglądasz o niebo lepiej!”.

Janka nie mogła tego słuchać. Wzięła klucz wiszący nad sejfem i bez słowa wyszła na zewnątrz przybytku po papierosy. Automat stał nieopodal. Na dworze odetchnęła świeżym powietrzem i wyplakała resztkę łez. Kupiła dwie puszki whisky z colą, chwając w duchu pomysłowość Niemców, i usiadła na ławeczce przed zamkniętą o tej porze kawiarenką. Na tej ławeczce w czasie poprzedniego pobytu Janka spędziła kilka miłych wieczorów z Nicole. Na niej poznawała teorię profesji prostytutki, dowiadywała się, co można, a czego nie można robić w zawodzie. Tej nocy ta wiedza wydała się Jance żalсна. Uświadomiła sobie, że wszystkim bezsprzecznie rządziły pieniądze – i tu, w przybytku, i tam, w normalnym świecie, obowiązywało zniewolenie od nich.

Łzy znów popłynęły Jance z oczu, niepowstrzymywane. „Wróciłam do przybytku, choć moja sytuacja poprawiła się, choć zażegnałam kryzys. Czyżbym, jak one, uzależniła się od szybkich pieniędzy?”, rozważała Janka, odsuwając od siebie oczywistą odpowiedź. Duszkiem wypła drinki. Dzięki nim, kiedy wracała, znów była gotowa na wszystko...



Już na korytarzu słyszę krzyki. Przerażają mnie, podobnie jak klientów, którzy pojawili się w przybytku i właśnie przeglądali zdjęcia dziewczyn mogących zadośćuczynić ich żądzom. K. nie lubią awantur, więc pospiesznie zbiegają po schodach, by przejść do konkurencji. Podobne miejsca w M.M.U. liczy się zapewne co najmniej w setkach. Mają więc wybór.

Kiedy otwieram drzwi paszczy lwa, nie wierzę własnym oczom, ile to się może zmienić w ciągu niespełna godziny. Zastaję kłębek stłamszonych ciał. Szarpią się z kimś. A tym kimś jest Rita. Zdaje się bronić niemrawo przed nowymi, które biją ją na oślep, gdzie wlezie i ile

wlezie. Nie bacząc na jej słabość i chorą nogę. Moja Niki trzyma Ritę za włosy i wlewa na siłę wódkę do buzi.

„Samosąd? Cóż za przewrotność losu”, myślę. „Przed chwilą się napinały, wymądrzały, pindrzyły, a teraz każda wygląda jak sterta nieszczęścia. Powyrywane włosy – oczywiście te sztuczne, bo naturalne trzymają się głowy mocno – walają się wraz z paznokciami po podłodze, pływają w drinkach. Tyle pieniędzy na marne... No i gdzie jest Ona?”

Ona uciekła...

O tym, jak mam się zachować, decyduje instynkt. Nie lubię, gdy kopie się leżącego. Nie wiem, co przeskrobała Rita, i nie obchodzi mnie to. Wiem, że dużo przeszła, jest słaba i nie ma szans się bronić. Nie muszę być silna, żeby nie bać się tłumu rozwścieczonych macic. Każdej wymierzam siarczasty policzek. Pierwszą z nich jest Niki. Należało jej się, przecież byłyśmy w jednej grupie. Moje ciosy są na tyle mocne, że wszystkie odpuszczają. Opamiętują się. Bez słowa.

Zabieram poturbowaną Ritę pod prysznic. Tylko jeden raz spogląda na mnie, jakby wwiercając się w moje oczy.

– Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką – mówi z żalem.

Nie rozumiem zarzutu. Wszystko zrzucam na karb wypitego przez Ritę alkoholu. Mam nadzieję, że kiedyś mi wytłumaczy, co miała na myśli.

Myję ją całą jak dziecko, omijając kolano, które wygląda okropnie. Poddaje się moim zabiegom niczym bezwolna lalka. Dlatego korzystam ze sposobności, aby ją trochę podleczyć, i biegnę przez hol po środki dezynfekujące. Mam je w walizce, „w razie Niemca”. Za wszelką cenę chcę Ricie pomóc, uratować przed ostatecznym upadkiem. I choć sama upadłam, święcie wierzę, że ją ocalę. Kiedy wracam zziajana, Rity już nie ma, kryje się jak kret, nie chce niczyjej łaski, nawet jeśli byłaby nią zwykła pomoc. Z serca!

To wszystko mnie przeraża. Nic z tego, co się tutaj dzieje, nie pasuje do mojego życia. Owszem, spotkało mnie nieszczęście i Bóg nie szczędził batów, jednak nie mogę pogodzić się z tym, co tutaj widzę. Boję się. Dopijam wódkę, której nie zdążyła dokończyć Rita.

W salonie prawie pusto, wyludniło się. Została Niki i jej koleżanki. Żywo dyskutują, coś do mnie mówią, ale nie staram się rozumieć. Nie

chcę już słuchać żadnych opowieści, zresztą w żadną nie uwierzę. Ten świat jest nie dla mnie...

Płacę sobie tylko, raz cichutko, raz głośniej. Od czasu do czasu wzrokiem zadaję Niki pytanie: „Dlaczego?”. Chce odpowiedzieć, ale za każdym razem, zanim otworzy usta, ja na swoich kładę palec. Milknie zatem, niewinnie spuszczać wzrok.

„Co się tutaj takiego wydarzyło, do cholery? Przecież jedziemy wszystkie na tym samym wózku, w tę samą stronę... Powinniśmy trzymać się razem, byłoby nam łatwiej. Może nawet udałoby się zmienić kierunek jazdy?”

Najwyraźniej one tak nie myślą.

Zbliża się północ, więc nie dziwi mnie brak frekwencji. Koniec dnia roboczego w tygodniu zamyka godzina dwudziesta trzecia, po której oficjalnie można opuścić salon. Jeśli jednak któraś chce, może pracować dalej. Po dzisiejszych ekscesach żadna nie ma na to ochoty. Dziewczyny rozmawiają teraz szeptem, tak jakby chciały uszanować moją osobność i nierozumienie tego, co mnie tu obecnie dotyka. „A może wiedzą już o tym, że to jest szambo, i dają mi czas na oswojenie się, żebym nauczyła się w nim pływać?” Wszystko mi jedno. Duszę się dziwną atmosferą tego miejsca. Jutro opuszczam przybytek. Na zawsze. Nigdy tu nie wrócę!

Nie chce mi się spać. Przeciwnie, mam ochotę na spacer. Z serca spada mi ogromny głaz, gdzieś tam, na dnie siebie, ośmielam się przeczuwać, że jeszcze będę szczęśliwa.

Kilka minut po północy dziewczyny wychodzą z paszczy lwa. Każda całuje mnie w policzek, Niki w usta, ale nie tak czule jak zwykła to robić wcześniej. Wyczuwam w tym pocałunku nieśmiałość, a może nawet strach.

Cieszę się z samotności. W końcu będę mogła usłyszeć własne myśli i bicie serca. A bije ono mocno, przyspieszonym rytmem, bo wraz z nastaniem północy stuknęło mi czterdzieści lat.

Urodziny obchodzę sama ze sobą. Robię drinka. Jutro kupię sobie prezent, jak nigdy...

Trudno w takich okolicznościach nie zatęsknić do czasów z innego wymiaru i świętowań, kiedy otaczał mnie wianuszek przyjaciół

i znajomych. Przemineło jak rzeka, której wody płyną i nigdy się nie cofną, przemineło jak czas. Wystarczy zostać bankrutem, stracić grunt pod nogami, aby wszyscy tamci zapomnieli złożyć życzenia. On jeden pamiętał...

Czterdzieści lat kończę w burdelu. Ostatni nikt. Na dnie...

Znowu płaczę. Niech sobie lecą nie wiadomo dokąd te głupie łzy. „Pogubiłam wszystko w tym bagnie. Swoje marne życie, czyż nie? Dzieci, marzenia, wiarę. A wszystko przez głupi wypadek i chory kraj, w którym ktoś umieścił moje istnienie. Tym kimś jest Bóg. Mój Bóg. Zostałam odarta z godności. Nurzam się w gównie, odwrócona głową w dół”.

Aby zagłuszyć niedobre myśli, włączam muzykę, daję na ful. Tańczę jak kiedyś, bo zawsze to lubiłam. Niech się dzieje, co chce... I dzieje się. Ona wyłącza telewizor. Gasi moją jedyną ucieczkę. Nie musi nic mówić, wystarczy, że pogrozi palcem, i już robię się grzeczna. Niesamowite! A to, że próbuję rozprawić się ze swoimi emocjami, to mój problem. Nikogo nie obchodzi moje ja. Tym bardziej Jej Kurewskiej Wysokości. Może to i dobrze, przecież nie jestem pępkiem świata!

Pijane myśli nie biją się z trzeźwymi. Te zdroworoządkowe nie mają szans. I oto mi chodziło – zabić strach. Teraz pulsuje w mojej głowie tylko jedna myśl: „Będzie dobrze!”, więc proszę: „Boże, któryś jest w niebie, zlituj się nade mną, marną, choć tak strasznie Cię zawiodłam”.

Dopijam drinka. Trzeba iść spać, dosyć użalania się, bo przecież jutro będę z Nim. W Jego ramionach zapomnę o wszystkim...

Idę pod prysznic. Zanurzając się pod ciepłą kołdrą wody, marzę o nas. Ale nawet ta przyjemność nie jest mi dana. Adele dopada mnie, nie bacząc na moją nagość. Bez słowa łapie za rękę i wyciąga spod prysznic. Moje mokre ciało dźwiga na sobie stertę piany, drzę z zimna. Jednak nie przeszkadza mi to, bo wiem, że stało się coś strasznego...

Biegniemy przez słabo oświetlony hol w przeciwną stronę niż zwykle. Nie wiedziałam, że skrywa się tu jeszcze jakiś korytarz. „Podróże kształcą”, zdobywam się w myślach na żart. Stajemy przed zamkniętymi drzwiami.

Ona żegna się lewą ręką, prawą kurczowo trzyma moją dłoń.

Czuję, jak drży. Jej wilgotna dłoń nie drażni mnie. Wiem, że się boi. Wzrokiem prosi, żebym otworzyła drzwi. „Jaka jest teraz mała i słaba. Gdzie Jej buta i chamstwo?”, zastanawiam się. Pewnym ruchem łapię za klamkę. Nic mnie nie zdziwi po dzisiejszych ekscesach.

W pokoju panuje półmrok. Początkowo nic nie widzę, ale czuję. Odór, który tu zamieszkał razem z Ritą od dawna, jak przypuszczam, cofa nas do korytarza. Nie dziwię się, że wołała sypiać na sofie w paszczy lwa. Adele zdaje się mnie tam wpychać. Wchodzę i staram się być odważna, choć wiem, że jest źle... Po omacku szukam włącznika światła. Zanim go nacisnę, żegnam się. Pstryk. Światło zalewa cały pokój.

Bałagan: puste butelki walające się po podłodze, a wśród nich garderoba, jakieś papiery, nawet zużyte kondomy. I Rita. Na materacu. Można by pomyśleć, że śpi, jak zwykle upita w trupa. Można by, gdyby nie wielka plama krwi tuż przy jej głowie...

Boję się oddychać. Zastygam w bezruchu, ale Ona szturcha mnie w ramię. Chyba chce, żebym sprawdziła, czy to są zwłoki, czy może jednak żywy człowiek.

– Dlaczego ja? – pytam oburzona. „Ale to w końcu Rita”, myślę, a stojąca obok mnie wojowniczką z bożej łaski znów składa ręce jak do pacierza. Pochylam się nad śliczną twarzą... nie czuję oddechu. Chwilę waham się, łapię ją za nadgarstek, tak jak uczyli nas w szkole. Czekam długo, bez nadziei. W końcu wyczuwam pulsującą resztkę życia. Kamień spada mi z serca.

Zanim wybiegniemy z pokoju, ostatkiem zdrowego rozsądku przykrywam Ritę kocem, żeby nie umarła z zimna. Głowę przechylam na bok, by nie zachłysnęła się krwią lub wymiocinami. I znowu pędzimy przez korytarz, aby skryć się w paszczy lwa, naszym schronieniu. Po drodze łapię szlafrok i się nim okrywam. Potem bez słowa, obie jak jeden mąż, nalewamy wódki do szklanek i wypijamy duszkiem.

– Co teraz? – pytam. – Przecież ona umrze! Musimy coś zrobić! Pytanie odbija się echem. Ona milczy.

– Ada! – krzyczę, szarpiąc Ją za rękę. – Przecież Rita umrze! Masz tutaj jakiegoś bossa, ochroniarzy? Trzeba wezwać karetkę!

W odpowiedzi Ona jeszcze uporczywiej milczy.

„Dlaczego to nie ja mam wszystko w dupie?”, zastanawiam się.
„Po co muszę współodczuwać? Bo taka człowiecza jestem czy głupia?”

Dzwonię na pogotowie. Na szczęście Niemcy są na tyle pragmatyczni, że potrzebne numery zapisują w każdym pomieszczeniu przybytku. Tuż pod ostrzeżeniem, że wszystkie akty seksualne muszą się odbywać przy użyciu prezerwatyw i bez przemocy. Śmieszne? Nie, bardzo praktyczne.

Ku zdziwieniu Jej Wysokości szybko i treściwie przedstawiam sytuację. Po niemiecku, a nie angielsku. Język niemiecki w tym momencie doskonale oddaje tragizm sytuacji.

Przyjeżdżają szybko. Bez słowa prowadzimy lekarza do pokoju Rity. Proszą, abyśmy wyszły.

– Czy jesteśmy tutaj same? – pytam Adele.

– Tak – odpowiada.

– To niemożliwe. Gdzie jest manager, ochrona, szef, do cholery? – krzyczę. – Byli tu ostatnim razem. Przecież to jest burdel!

– Ale teraz ich nie ma. Wyjechali w interesach – odpowiada spokojnie. – A boss to mój tato.

Naszą rozmowę przerywa lekarz. Powiadamia nas, że zabierają pacjentkę do szpitala. Jej stan jest krytyczny. Następnego dnia mamy zadzwonić do szpitala po dodatkowe informacje. Hitchcock!

Odprawiam lekarza do drzwi, ponieważ Ona nie jest w stanie tego zrobić. Zanim je zamknę, widzę Ritę bezwładnie leżącą na noszach. Na odchodne sanitariusz odwraca się i patrząc mi prosto w oczy, mówi:

– Nie ludzie, a potwory mogą tak zaniedbać drugiego człowieka. Potwory!

Zasypiam z tymi słowami mocno przyklejonymi do świadomości. W snach też jestem potworem.



Następnego ranka nikt Janiny nie obudził. Nawet potwory, które grasowały w jej głowie. Godzina jedenasta minęła bezszelestnie, więc spała dalej aż do późnego popołudnia. Nie chciała wstawać do tego, co się wydarzyło wczoraj. Postanowiła nie obchodzić urodzin w spodlonym miejscu. W myślach już się pożegnała z koleżankami. Zawsze jednak znajdzie się jakiś orędownik, wichrzyciel, czy jak go tam zwać, który

postanowi po swoim naprawić komuś życie. Który zakłada, że wie lepiej, co komuś do szczęścia potrzebne.

Tym razem takim wicherzycielem była Niki. Późnym popołudniem delikatnie zapukała do drzwi najbrzydszego pokoju w przybytku, zmuszając Jankę do powrotu do realnego świata. Kiedy Janka zapaliła światło, zobaczyła Niki stojącą z naręczem róż. Kilka chwil zajęło, zanim dostrzegła ich rażąco czerwony kolor. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że Niki się w niej zakochała. Jej wszechobecność, czułe pocałunki, uwielbienie dla wszystkiego, co robiła czy mówiła, w jednej sekundzie nabrały innego znaczenia. „Ona jest lesbijką”, jak błyskawica przemknęło przez głowę Janiny, ale tę parzącą myśl ugasiło pytanie: „Jak można być lesbijką i kurwą jednocześnie? To się przecież wyklucza”. Jednak jakoś można to pogodzić. Nicole była tego żywym dowodem.

Janka bez słowa przyjęła kwiaty i prezent. Mały, ale nazbyt ckliwie zapakowany, z jakąś podejrzaną dla niej pieśczołą. Trwały tak w milczeniu o jedną chwilę za długo. W pięknych czarnych oczach Niki dostrzegła łzy. Janka przytuliła Niki delikatnie i z wymuszonym uśmiechem zaproponowała wspólne wypicie kawy w salonie. Za jakiś czas... To wystarczyło, by Niki na powrót się rozpromieniła. Janka dała jej nadzieję bez pokrycia. Posprzątała pokój, spakowała walizkę. Pozostało jej już tylko oczekiwanie na P.O.S.O., jeszcze tylko kilka godzin i będzie z Nim. O wszystkim zapomni. Tylko jak zapomnieć o sprzeniewierzeniu się własnym wartościom? I o Ricie?



Targana wyrzutami sumienia, znowu biegnę przez hol. „Ostatni raz”, przyrzekam sobie w myślach. Zanim nacisnę klamkę drzwi do paszczy lwa, chwilę się waham i żegnam, jak wczoraj Adele. Tak jakby to miało wpływ na cokolwiek, no ale ja przecież wierzę w mojego Boga. Uparcie i mimo wszystko.

Wchodzę. Panuje tu jakiś nadzwyczajny gwar, ale nie zwracam na to uwagi. Siadam przy Jej tronie. Zdaję sobie sprawę, że nie powie ani słowa, taką przecież mamy umowę. Chcę tylko spojrzeć Jej w oczy, bo z nich wyczytam wszystko. Spogląda na mnie, w Jej oczach widzę pustkę, a więc nic nie wie.

Dopiero teraz zauważam przyczynę rwetesu: moje urodziny. Na stół trafia tort, a na nim zapalone świece i napis w kolorach tęczy: „40 lat Johanna”. No i już wiem, kto za tym stoi.

Szampany, wódka, jakieś przekąski. Biją mi brawo, odśpiewują odpowiednik polskiego *Sto lat*. Wręczają prezent. Całują mnie, przytulają, sztucznie uśmiechnięte, ale przecież nie mogę teraz zastygać w niesmaku nad silikonem. Nie mam ochoty odwzajemniać uśmiechów, a jednak się przymuszam. „Dlaczego?”, zastanawiam się jeszcze w przelocie pocałunków i toastów, co chwilę wznoszonych na moją cześć. „Uśmiecham się w takich sytuacjach, bo tak nauczono mnie w domu. Pieprzona, fałszywa grzeczność, tym samym zakłamanie”, oceniam i zastanawiam się, skąd one mają w sobie tyle zapału. „Przecież nie znają nawet mojego imienia. Skąd mają wiedzieć, że jest prawdziwe? Nie wiedzą, kim jestem. Ale niech im będzie, gram z nimi”.

Piję i uśmiecham się. Wódka czasem bywa wybawieniem. Pozwala na znoszenie sytuacji, które na trzeźwo są nie do zaakceptowania. A w głębi duszy i tak tylko czekam na Niego...

Oczywiście Niki obsługuje całą imprezę. A ten cyrk jawi mi się jako parada równości... Taka, jaką widziałam w telewizji. Oglądałam ją z niesmakiem i lekkim oburzeniem, choć muszę przyznać, że próbowałam zrozumieć to szaleństwo odmienności. Bez skutku. A dziś jako gości urodzinowych mam tylko kurwy – zwykłe, niezwykłe, z przymusu, z wyboru! Nieistotne, gdyż do tego już przywykłam. O zgrozo!

Są wśród nas, siedzących w paszczy lwa, jeszcze dwie przepiękne kobiety, które czasem mijalam, biegnąc korytarzem. Przemykały gdzieś obok, gdy parzyłam poranną kawę, nadmiernie przeżywając ból upadku. Widziałam ich odmiennosc, ale zachwycona niezwykłą urodą, odwracałam wstydliwie wzrok od ich cudownosci, jak również od męskosci delikatnie ukrytej pod sukienkami, a jednak widocznej. Nie chciałam tego widziec, bo świat, z którego pochodzę, i wychowanie w tradycyjnych wartosciach, być może odrobinę staroświeckich, nie pozwalały na to, bym dopuściła do siebie nową myśl: „Rodzaj ludzki oprócz płci męskiej i żeńskiej ma jeszcze jedną: transseksualną”. Tym większym szokiem jest dla mnie, że owi, owe... wnoszą toasty za moje

zdrowie!

Wszystkie koleżanki grają pod dyktando Nicole. Akceptują transseksualistów, bo pasują do ich życia tutaj – w świecie równoległym, różnym od tego właściwego. W świecie usprawiedliwiającym różne niecności, w tym kurewstwo, które również nie mieści się w normach, póki co... „Póki co”, myślę, „bo jeśli tacy odmieńcy zdominowałyby normalność, to wtedy i paszcza lwa może stać się czymś zwyczajnym. A może już się stała?” To jeszcze bardziej utwierdza mnie w przekonaniu o tym, że popełniłam błąd, sympatyzując z kurewstwem. Owo gównu będzie mi się ciągnęło po kres życia. Również z nią, z nim. I z dzisiejszą wodzirejką.

„Na szczęście moja świadomość kończy się na tym, że na świecie istnieje kobieta i mężczyzna. I to jest święte. I nigdy nie poddam się innemu mamieniu ani propagandzie. Mam nadzieję, że mój Bóg jest heteroseksualny!”, żartuję sobie w myślach.

Ona albo on uśmiecha się do mnie, co jakiś czas puszcza mi oczko, próbuje przytulić, dotknąć. Nie chcę się zastanawiać nad tym, kim jest, bo po co? Chcę stąd tylko zniknąć, uciec. Jestem gotowa umrzeć za to, gdyż wypala mi się tutaj dusza. Jeszcze tylko trzy godziny... Odmierzam czas od końca, jak kiedyś w szkole. Sto osiemdziesiąt minut, sto siedemdziesiąt dziewięć, sto siedemdziesiąt osiem... i tak aż do zera. A póki co, z fałszywym uśmiechem odpowiadam na toasty. Ten uśmiech mnie gniecie.

Nagle nasze dwa niezależne byty się przyciągają. P.O.S.O. dzwoni i pyta, czy może przyjechać wcześniej? Tak za godzinkę albo nawet już teraz, natychmiast. Słyszę w Jego głosie niepewność, jakby się bał, że odmówię. Czuję też Jego pożądanie. Moje już jawi się zwilgotnieniem na sam tembr głosu P.O.S.O.

„Po co mam tu tkwić? Dla Rity? Po niej ani słyhu, ani widu. Przepadła jak kamień w wodę, gdzieś w nieznanym szpitalu. Żadna z dziewczyn nie zapytała nawet, dlaczego jej tu nie ma. Nie zastanowiła się, nie zmartwiła... Po co mam tu tkwić? Czy dla tych istot z cyckami i penisami w jednym ciele? Czy w końcu dla owych nieznanających mnie osóbek z doklejanymi rzęsami? Dlaczego miałabym Mu odmówić? Z jakiej przyczyny On ma się czuć niepewny tego, że za Nim tęsknię?

I co tam, że przysięgałam sobie, że nigdy więcej się nie zakocham? Pieprzę to wszystko, co było!”

– Oczywiście – odpowiadam, ponieważ chcę z Nim być.

Zastanawiam się, czy nie urażę tych tu, wychodząc po angielsku. Ale dzieje się samo, dzwoni dzwonek i światelko zapala się przy moim imieniu. Tylko czy aby na pewno to moje imię? Bo przecież ja jestem Janka, nie Johanna. Nie ma różnicy? Dla mnie ma. Wracam do realu. Na zawsze!

A one i ci inni biją brawo. Tak jakbym wygrała konkurs w recytowaniu wierszy. Z udawanym spokojem nakładam te cholerne, zbyt wysokie szpilki. Oczywiście drżą mi nogi. Stać mnie jeszcze, aby pomachać im na pożegnanie. Uciekam z więzienia.

Otwieram drzwi. Stoi piękny, trochę zawstydzony. Bez słowa chwytam Go za rękę i prowadzę przez hol do pokoju. Nie stawia oporu, ale wiem, że nie lubi tego typu miejsc. Brzydzi się nimi. Rozmawialiśmy o tym ostatnim razem. Ale Jego ciekawość jest silniejsza. Podobnie jak pożądanie. Gdy zamykam drzwi, jestem zachwycona. Kochamy się szybko i bardzo mocno. Bez granic.

Po wszystkim zabiera walizkę i wychodzi, a ja idę zapłacić za czas. Adele nie robi mi awantury. Spogląda na mnie tym swoim dziwnym wzrokiem. Wiem, o co Jej chodzi. Teraz ja kiwam na Nią, wychodzi z salonu, a goście bawią się w najlepsze na moich najokropniejszych urodzinach w życiu. Nikt poza Niki nie zwraca na to uwagi.

– Przepraszam cię, Johanko – przemawia do mnie ludzkim głosem Adele. – Ja nie chciałam cię skrzywdzić. Nie lubię takich kobiet jak ty, bo... – chwilę się waha.

– Bo co? – pytam zniecierpliwiona. Przecież On na mnie czeka. Za chwilę moja winda ostro ruszy w górę.

– Bo jesteś bardzo podobna do mojej matki, która zostawiła nas, gdy byłam małą dziewczynką... Od tego czasu mój ojciec prowadzi ten biznes, bo wierzy, że ją odnajdzie. Sypia z takimi jak ty, żeby przypomnieć sobie o niej, a ja wtedy czuję się podwójnie zdradzona.

Przypomina teraz skrzywdzoną dziewczynkę. Może po niewielkiej części mają rację ci, którzy głowią się nad pytaniem, dlaczego zostaje się kurwą. Patologia, przemoc, molestowanie w dzieciństwie – daję tym

przyczynom dziesięć procent!

– Postaram się o tym zapomnieć, ale pod jednym warunkiem – mówię. – Nigdy nie zapominaj o Ricie. Dowiedz się, w jakim jest stanie, i daj mi znać.

Przytula się do mnie, ale odsuwam Ją. Nie chcę z Nią współodczuwać.

P.O.S.O. nie ociąga się z pakowaniem rzeczy do samochodu. Podczas gdy szeptam z Adele o naszej tajemnicy, On jest już gotowy do podróży. Wie, że chcę zniknąć z tego przeklętego miejsca na ziemi jak najszybciej i na zawsze. I prawie czuję się wolna, gdy zbiegam po schodach...

Nic nie mówi i o nic nie pyta, kiedy wsiadam do auta. Czuję się wyzwolona. Prawie. Byłoby to zbyt proste, a tutaj nic takie nie jest. Wszystko musi się gmatwać. Zanim zobaczę ją w lusterku, słyszę kroki. Wiem, że to właśnie Niki biegnie za autem. Komicznie wygląda w butach na zbyt wysokich obcasach. Jednak się nie śmieję. Jest mi jej żal, ale myślę, że gdybym to ja chciała dogonić swoje marzenia, biegłabym boso... Nicole nie przyszło to jednak do głowy. On zatrzymuje się, choć wcale o to nie proszę. Uchylam okno, bo tak wypada. Niki wciska mi w rękę małe kolorowe puzderko – mój prezent urodzinowy. Zapomniałam go zabrać z komody.

Trochę mi wstyd pod ciężarem spojrzenia pełnego wyrzutu. Nie musi nic mówić, wiem – zraniłam jej uczucia, lecz to nie jest mój problem, do niczego się nie zobowiązałam. Postawiła mnie przed faktem dokonanym. To ja powinnam czuć się przytłoczona. Nigdy w życiu nie pomyślałabym, że może mnie pokochać kobieta. Nic też nie uczyniłam, by utwierdzić ją w tym przekonaniu, gdyż jest to całkowicie sprzeczne z moim postrzeganiem świata.

Przytrzymuje mi dłoń, tak jakby chciała mnie zatrzymać albo przedłużyć chwilę rozstania. Jednak zarówno moja, jak i Jego cierpliwość się kończą.

Kiedy odjeżdżamy, ona ma oczy pełne łez.

Ściskam w dłoni to coś od niej aż do bólu. Uwiera mnie, pali. Na Jego pytanie, czy nie jestem ciekawa, co zawiera, zamiast odpowiedzi ostentacyjnie wyrzucam pudełko przez okno. Niech je pochłonie

ciemność M.M.U. Robię to bardziej dla siebie niż dla Niego. Jednak chcę, aby było jasne wszystko, co się tyczy mojej orientacji seksualnej!

Nie muszę patrzeć w Jego oczy. Sercem widzę, że się uśmiecha. Ta bratnia dusza, którą odnalazłam osiemset kilometrów od właściwego życia. Moje wybawienie i szczęście.

Pierwsze, co robię w Jego przystani, to biorę kąpiel. Leżąc w wannie pełnej gorącej wody, złudnie wyobrażam sobie, że spieram brud, który przywlokłam z przybytku. Z ciała można go zmyć, ale z duszy nie.

Tę oczywistość wrzucam w głąb siebie, zapominam o niej, bo chcę tylko jednego – nacieszyć się Nim. Choć niczego więcej nie pragnę, czeka na mnie miła niespodzianka – tort z magiczną cyfrą „40”, świeczki i butelka wina. No i On. Rozczulam się, gdyż nie mogę uwierzyć, że jeszcze przed kilkoma miesiącami mogłam żyć bez tego człowieka. Nie miałam pojęcia o Jego istnieniu. Biegałam po moim świecie w amoku, myśląc jedynie o tym, jak przetrwać, jak zarobić, by zadbać o dzieci. Nie było czasu ani miejsca na kolejnego mężczyznę, a już tym bardziej na miłość.

Teraz, kiedy zdmuchuję świeczki na torcie, mam życzenie: „Być z Nim na zawsze”.

Skąd we mnie ta pewność, że On to On? Pojęcia nie mam, ale wiem, że Jego też dotknęła owa przypadłość. Znowu przez kilka dni i nocy tkamy w arabeski wspólne tu i teraz. Tworzymy nowy świat. I choć czujemy się szczęśliwi, jesteśmy cisi. Tak na wszelki wypadek, aby gdzieś tam na górze nie zaczęła komuś wadzić nasza idylla.

Doskonale wiemy, jakie figle lubi płać los i jak dowcipny bywa Bóg. Dlatego nie planujemy niczego. Może właśnie dlatego jest nam tak cudownie. Nie potrafimy się sobą nacieszyć, nie możemy się nagadać, napatrzeć, napełnić jedno drugim. Wciąż jest nam zbyt mało siebie. A czas biegnie szybko i nie chce się zatrzymać – jak sarny, które nie ustają w biegu.

Jedna tylko myśl mnie kłuje, uwiera, zaburzając szczęście – Rita. Co jakiś czas spoglądam na telefon. I ciągle to samo: „Bez zmian, stan krytyczny”, odczytuję SMS-y od Adele i znowu Jej nie znoszę, jakby tylko Ona była temu winna!

Do domu wracam potwornie zmęczona.



*Polska, miasto W., listopad 2012, drugi powrót ze świata
równoległego do normalności*

Na pozór żyję normalnie. Krzątam się po swoim życiu. Większość czasu poświęcam dzieciom. Potrzebują mnie bardzo, więc skupiam się na nich, spełniam każdą zachciankę. Choć nie wiem, czy to do końca mądre. W ten sposób piorę wyrzuty sumienia, odkupuję winy, ale czy na to nie zasługują? Jestem szczęśliwa, kiedy widzę na ich twarzach uśmiechy. Powinnam być zadowolona i spokojna. Wyszłam na prostą, nie ściga mnie żaden poborca skarbowy ani komornik. Po firmie zostały nieznaczące długi, jednak nie deprimują mnie. Resztę opłacam na bieżąco, na to mam pieniądze.

Z ręką też dobrze, ominęła mnie operacja dzięki mądrości i trzeźwości spojrzenia pewnego profesora, który uśmiechając się figlarnie, zapytał: „Czy sprawiłoby pani różnicę, gdyby znany wszystkim gest nieakceptacji pokazywała pani odtąd dwoma palcami zamiast jednym?”.

Śmialiśmy się do rozpuku. Lekarz zalecił rehabilitację, a ja zaoszczędziłam kilka tysięcy złotych! Przy okazji dowiedziałam się, że nie jestem pierwszą ofiarą tamtego specjalisty od kończyn, tego boga z przytułku pełnego cierpienia. Ale gdyby nie jego bezdusność, nie poznałabym P.O.S.O. Każdy kij ma dwa końce...

Wszystko niby wróciło do normy, a przynajmniej zaczęło się mieścić w granicach normalności. Mogłabym zakończyć tę historię happy endem, ale to, niestety, nie jest jej koniec. Moje życie powinno powrócić na właściwe tory, ale w moim kraju wszystko dzieje się na opak. Tak więc i normalność jest nienormalna.

Przez długi czas rozglądam się za pracą. Mam przecież dobre wykształcenie. Początkowo szukam zajęcia ochoczo, ale im dłużej to robię, tym mniej skutecznie mi to wychodzi. Tracę entuzjazm, ręce zaczynają mi opadać. Odczuwam niemoc. Stwierdzam, że jeśli coś się zmieniło, to na gorsze. Wcale się nie dziwię statystykom, które krzyczą o tym, że uciekło stąd już dwa miliony ludzi.

Dlatego kiedy kolejny pracodawca pyta mnie, co mi się nie podoba, odpowiadam:

– Za małe pieniądze, za dużo pracy. Czysty wyzysk!

Przeliczam na euro te śmieszne grosze proponowane przez wielkie koncerny. I zastanawiam się: „Po co mi było zarywać noce nad książkami? W jakim celu w pocie czoła kończyłam studia z maleńkim dzieckiem na rękę? I po co mi magister w tytule, skoro nie mogę zarobić na chleb?”.

Moje myśli znowu brylują między koszmarem doświadczanym w realu a koszmarem doświadczanym w przybytku, który przekłada się jednak na bezpieczeństwo finansowe. Kto nie stanął nigdy w obliczu nieszczęścia, jakim jest niemożność nakarmienia dzieci, nie zrozumie takich rozterek.

Jak w kołowrotku. Nie wiem, co gorsze – czy sprzedaż siebie tam za dobre pieniądze, czy tu – za jałmużnę. Zastanawiając się nad tym, zapijam myśli alkoholem. Coraz częściej zdarza mi się zasypiać po kilku lampkach. Zapala mi się w głowie czerwone światło ostrzegawcze, ale – w obliczu wewnętrznego rozdarcia między dziećmi a Nim oraz między pozorną normalnością a pozornie łatwym i szybkim bogaceniem się – wypijam kolejny kieliszek wina i je gaszę. Zanim zorientuję się, że jestem w pułapce, z pomocą przewrotnej naturze ludzkiej – w tym wypadku mojej – przychodzi Mariolka. W dodatku przynosi butelkę wina. Jakże szybko przechodzi mi chęć do refleksji!

Mariolka znalazła dla mnie supermiejsce. Do rana na nowo wałkujemy temat. Omawiamy wszystkie za i przeciw. Przy kolejnej butelce wygrywa opcja „za”. A dzieci niewinnie śpią za ścianą, otulone w ciepłe kołderki nieświadomości. „Czy kiedyś dowiedzą się, co robią ich matki, aby zapewnić im godny byt i uśmiech na twarzach?”, zastanawiam się, gdy po raz kolejny tej nocy zaglądam do ich pokoju, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. I czy ten uśmiech zmyje grzechy, które popełniamy? Tej nocy wierzę jeszcze, że tak... Omamiona winem, opowiastkami Mariolki i strachem... Strachem przed życiem. Życiem bez perspektyw!

Szybkie pakowanie, kilka kłamstw wyssanych z palca, którymi obdarzam bliskich, i w drogę. Jak zwykle jestem wiarygodna, wierzą mi.

Niektórzy zazdroszczą, inni ze współczuciem kiwają głowami. Odczuwają jednak ulgę, bo nie będę prosiła o pomoc, bo znowu sobie poradzę, nie zmuszając ich do bicia się z wyrzutami sumienia. Przywykłam już do tego, że nie mogę na nich polegać, nawet w podbramkowych sytuacjach. Chowają wtedy głowę w piasek.

Na szczęście doskonale znam ulubione powiedzenie taty: „Umiesz liczyć, licz na siebie”. Wiele razy w życiu pomogło mi ono przetrwać chwile zwątpienia. Nie łudzić się dobrocią serc bliskich ludzi. Każdy ma przecież swój bagaż do dźwigania. Jednak teraz zastanawiam się nad tym, dlaczego Mariolka tak mi matkuje w kurewstwie. „Ma jakiś interes, czy po prostu chce mi pomóc, gdyż ta droga wydaje jej się jedyną właściwą? Czy dla mnie również?” Tego zapewne nie dowiem się nigdy, ponieważ natura kobiet parających się tą profesją jest nieprzenikniona. Mają swoje ukryte cele, intencje, których jeszcze nie pojmuję. „Ale przecież znam ją tyle lat... Mogę jej chyba zaufać. Raczej nie wystawi mnie do wiatru, bo jaki miałyby w tym cel?”

Staram się oswoić lęk przed kolejnym nieznanym. A także przed tym, że staję się jedną z nich. I znów gdzieś jadę. Być może donikąd. Właściwie nawet nie wiem po co. W jakim celu? Przecież nie potrzebuję pieniędzy natychmiast. Jak wtedy.

„A może powinnam z Nim o tym porozmawiać?”



Niemcy, miejscowość A., marzec 2013, drugi powrót do pracy

Janka pędziła w nieznane. W głąb znienawidzonego, ale już nie tak obcego kraju. Po co? Po to, aby kupić lepsze auto od tego, którym jeździła i dotąd dobrze jej służyło? Nowy telewizor? A może wymienić garderobę na ciuchy lepszych marek? Żadna z tych wymówek nie była wystarczającym powodem, aby znowu kusić los. Nigdy wcześniej nie pomyślała, że to, co zdobyła ciężką pracą, to zbyt mało. Że potrzebne jej będą jakieś wyimaginowane zbytki. Nigdy nie była wszystkochciejna. Cieszyła się tym, co miała.

Zatrzymała się na chwilę na ciemnym parkingu. Mocno zaciągając papierosem, po raz kolejny na głos zapytała samej siebie: „Co robisz?”, ale w odpowiedzi usłyszała tylko ciszę.

Gdzie się pogubiła? Sklejała przecież pomalutku rozbite kawałki kryształków w jakieś małe, subtelne całości. Po raz kolejny przekleństwo prostytutki zatoczyło koło nad jej losem (tym samym nad światem, który w sobie nosiła), nad dziećmi, nad Nim, nad marzeniami, radościami. Perspektywa lepszego, stabilnego życia, którą miała w zasięgu ręki, odchodziła w niepamięć. Umykała z każdym kilometrem, przybliżającym Jankę do celu podróży. Zachowywała się, jakby zaprzedała duszę diabłu. A on jak zwykle tkwi w szczegółach. Dlatego tak trudno było jej uświadomić sobie obecność szatana. Nie potrafiła go zauważyć w odpowiednim momencie. A przecież powinna go zauważyć, wyczuć, namierzyć.

Samochodowa nawigacja zadziałała poprawnie. Kiedy nad ranem dotarła do umówionego miejsca, zgodnie z obietnicą Mariolki na Jankę czekali już właściciele – mężczyzna i kobieta. On przedstawił się w nieznanym języku. W myślach nazwała go Motylem, gdyż wydawał się być ulotny, przezroczysty, słabowity. Jakiś taki jednodniowy. Ona – Isabelle, rodaczka Janki. „Po cholerę jej taki pseudonim?”, przemknęło Jance przez myśl. Dziewczyny nie zapałyły do siebie sympatią. Zapachniało niechęcią. Owa niechęć i niezrozumienie pogłębiły się, gdy zadali Jance pytanie o pseudonim, pod którym będzie skrywała pod ich

dachem swoją tożsamość. I kiedy po raz kolejny, uśmiechając się, odważnie odpowiedziała:

– Ich bin Johanna. – Śmiali się.

Motyl pogłaskał ją po głowie jak małą dziewczynkę. Poczowała się upokorzona. Przełknęła jednak gorycz wynikającą z nierozumienia schematów i niepisanych praw obowiązujących w tych miejscach. Niemiłe wrażenia zniknęły, gdy tylko postawiła pierwsze kroki w nowym przybytku. W niczym nie przypominał poprzedniego. Wydał się Jance piękniejszy, lepszy. Nie królował w nim przepych ani sztuczny luksus. Ktoś uwił to gniazdko z miłością, z niezwykłym smakiem i pietyzmem, które przejawiały się w każdym szczególe. Nikt nie musiał Janinie wyjaśniać, kto w to dzieło włożył swoje serce. Dlatego, gdy we troje zasiedli przy kuchennym stole, niechęć do kobiety zniknęła. Z pokorą słuchała obowiązujących w domu prawideł, co wolno, a czego nie. I co trzeba robić, aby wszyscy się tu dobrze czuli. Tej nocy zasnęła spokojna.



Rano w niewielkiej, ale przytulnej kuchni sama piję poranną kawę i zastanawiam się nad tym, którą z zaproponowanych mi wczoraj form pracy wybrać. Pół na pół, jak w M.M.U., czy *Miete*. Mariola polecała mi drugą opcję, choć wiązała się z ryzykiem zadłużenia.

W wersji pół na pół zarabiam tylko połowę pieniędzy otrzymanych od K., ale nie płacę za pokój i środki czystości. W wersji *Miete* płaci się sto euro dziennie za wynajem pokoju. Trzeba także zapewnić sobie wszystkie niezbędne do pracy środki higieniczne oraz prezerwatywy. Jeśli dziewczyna nie ma klienta – jest na minusie. Natomiast, gdy ma klienta – wszystkie pieniądze trafiają do jej portfela.

Wybieram hazard. Pracę zaczynam o dziesiątej rano. Idę się przygotować. Za chwilę przyjdzie Hausedame i dziewczyna, z którą będę pracowała. Konkurencja zatem niewielka. A może to jakaś ekstraklasa? Nie spieszę się, gdyż na klienta będę pewnie musiała długo czekać. Nie mam jeszcze zdjęć, a tym samym reklamy.

Kiedy wracam do kuchni, obie kobiety siedzą przy stole. Witam się, z całej siły siląc się na uśmiech. I chyba nie wychodzi mi to dobrze, bo na ich twarzach widzę zupełną obojętność. Wracają do swoich zajęć,

czyli zaglądnienia w otchłań laptopów. Ja nie mam komputera. I dobrze, nie zmieściłby się na stole.

Aby ukryć zmieszanie, robię kolejną kawę. Dosiadam się do nich, jednak nie śmiem zagajać rozmowy. Czuję się nieswojo. Na własne życzenie! Pretensje mogę mieć tylko do swojej głupoty.

Niemiałą sytuację przerywa dzwonek. Robi się poruszenie. Hausedame idzie otworzyć drzwi, a my zakładamy buty, aby za chwilę przejść do salonu i pokazać swoje wdzięki klientowi. Moja konkurencja delikatnie wypycha mnie przed siebie. Na pierwszy ogień.

On stoi przy oknie, taksuje mnie wzrokiem. Przedstawiam się, znowu wymuszając uśmiech, i wychodzę. Po mnie idzie ona. A na koniec nasza opiekunka. To do niej należy ostatnia rozmowa z K. Za chwilę krzyczy:

– Tatiana! Dziewczyna o nieładnej twarzy, z grymasem wyrażającym triumf, znika za drzwiami. A ja zaglądam do pustego kubka po kawie. Bezmyślnie gapię się w jego dno i zastanawiam: „Czego tam szukam? Czyżby odpowiedzi na pytanie, dlaczego jestem taka głupia? Co prowokuje mnie do totalnej bezmyślności? Czyżby kurewstwo obok innych przypadłości miało jeszcze jedną – zanik szarych komórek? Po co się tutaj przywlokłam, zamiast siedzieć w domu z dziećmi? Albo z Nim – P.O.S.O.?”

Rozmyślanie przerywa mi burdelmama. Nie pamiętam, jak ma na imię, ale chyba Samanta. Nie przywiązuję jednak wagi do tego, bo wiadomo, że nie ma to sensu. Ona również pochodzi z Polski, a u nas takich imion nie ma.

– Klienci mogą wydawać ci się durniami, kretynami, ale oni wiele widzą. Wierz mi, swoje w tej podłej branży już przepracowałam.

Choć tego nie chcę, spoglądam na nią z niedowierzaniem. W żadnym wypadku nie spodziewałabym się, że też mogła być kurwą. Wyczuwa moje zdziwienie.

– Tak, jako kurwa też. Każda potwora znajdzie swojego amatora.
– Wróćmy jednak do ciebie. Ostatni K. chciał iść z tobą, byłaś jednak zbyt spięta, a przez to mało urzekająca. Ty chyba nie pracujesz długo?! – To jest bardziej stwierdzenie niż pytanie. Moją odpowiedź zagłusza dzwonek. Zanim Samanta wyjdzie, nalewa mi coś do kieliszka.

– Wypij i wyluzuj się. Będzie dobrze – mówi.

A ja głupia wypijam to coś bez zastanowienia, a przecież to może być wszystkim. Czym by nie było, nie skutkuje. K. wychodzi. Podobnie jak inni. Tym samym kończę dzisiejszy dzień pracy na minusie. Bo jestem nierozluźniona, nieotwarta.

Ilu K. było? Nie wiem. Czy kot czarny, czy biały to i tak kot. Co to za różnica?

O dwudziestej trzeciej zmywam z siebie reszkę głupoty wacikiem z mleczkiem do demakijażu. Próbuje zasnąć. Nie mogę.

Brak alkoholu? Czy stres? I do tego wyrzuty sumienia wobec tych, którzy mnie kochają. „Czy z wzajemnością?”, pytam siebie. „Czy gdybym ich kochała, byłabym tutaj teraz?”

Kolejny dzień pracy nie zaczyna się kawą, ale rozmową z Isabelle. Okazuje się, że K. nigdy stąd nie wychodzą. Zatem wczoraj wydarzyło się coś niespotykanego.

– Pokaż, jak witasz się z gośćmi – nakazuje mi Isabelle, siadając na krześle pod oknem w saloniku.

Paraduję przed nią jak kretyńka. Czuję jeszcze większe skrępowanie niż wczoraj. Ale moje wystąpienie na wybiegu wypadło dobrze. Zostałam nawet pochwalona.

– W czym problem? – pyta nie wiem kogo, siebie czy Samantę. Gdy w końcu zasiadamy do porannej kawy, dziewczyny przyglądają mi się uważnie. Taksują od stóp do głów z typowym dla kobiet krytycyzmem.

Kurczę się w sobie, jak tylko potrafię najmocniej. Ale i tak mnie widać. Stało na tym, że nie jest najgorzej, jednak Isabelle poprawi mi makijaż, włosy i przejrzy garderobę. Wieczorem, bo teraz nie ma czasu. Zrobi mi też sesję zdjęciową.

– Samanta idzie dzisiaj na urlop, zostaniesz sama z Tatianą – powiadamia mnie Isabelle. – Wiesz, co robić?

Nie odpowiadam, bo nie jestem pewna, czy wiem, czy nie. Widząc moją konsternację, bierze mnie za rękę i ciągnie do pokoju.

– Uważaj na nią, to jest koleżanka ze Wschodu. Słyszałaś pewnie, co potrafią? – pyta. – Boże, skąd możesz wiedzieć? – sama sobie odpowiada pytaniem retorycznym, zasiewając we mnie ziarno

niepokoju. –

Słuchaj, widzę, że nie jesteś głupia. Poza tym jesteś moją rodaczką. Nie zostawiaj niczego, co jesz i pijesz na stole. Zabierz kosmetyki z łazienki do pokoju. Po prostu bądź ostrożna, bo one lubią robić psikusy. Dla kasy zrobią prawie wszystko.

W razie czego dzwoń do mnie. Po południu przyjdzie mój mąż. Z nim będziesz bezpieczna.

Znając swoją fizjonomię, wiem, że teraz moje oczy zrobiły się dwa razy większe, co Isabelle niechybnie zauważyła. Pewnie dlatego klepie mnie po ramieniu, aby dodać otuchy.

– Będzie dobrze – rzuca na odchodne.

Zostaję sama z potworem, który nie wiadomo w jaki sposób, ale chce mnie unicestwić. Chwilę po wyjściu Isabelle zasiane ziarenko zamienia się w baobab. A to oznacza, że wszystko od teraz będę tutaj widziała na odwrót. Do góry nogami. W krzywym zwierciadle.

Tak też patrzę na nową koleżankę z pracy, gdy duszkiem wypijam herbatę. Jakiego psikusa może mi zrobić? Nie chcę oceniać jej wyglądu, jednak jest to nieuniknione. Dlaczego ona – ani ładna, ani kusząca kobiecymi kształtami – zagarnia wszystkich K.? To jest pytanie, na które nie znam odpowiedzi.

Popadam w marazm, kiedy po raz drugi dzisiejszego dnia wrzuca pieniądze do sejfów, podczas gdy ja bezmyślnie spoglądam w okno.

„Tutaj przynajmniej nie jest zasłonięte. Mogę obserwować wiosnę w rozkwitających pąkach drzew”, wymyślam powód do odwrócenia myśli od własnej głupoty.

Gdy tak siedzimy pod jednym dachem, przy kuchennym stole, nie rozmawiając, nie uśmiechając się, spoglądając na siebie ukradkiem, wrogo, zastanawiam się, dlaczego tak jest. Dlaczego patrzymy na siebie wilkiem? Przecież byłoby nam milej, różniej, gdybyśmy stworzyły jakąś wspólnotę. W końcu taplamy się w tym samym bagnie! Ale może ona też się boi? Może Isabelle zasiała ziarno strachu i w jej duszy? Dlaczego by nie? Tak przecież robiła Adele...

Tymczasem przychodzi do nas Motyl. Przynosi ze sobą wielką michę frytek i piwo. To mi się podoba. Ale nie dlatego czuję do niego sympatię. Ma w sobie jakieś ciepło, które mnie urzeka. Mimo bariery

językowej znajdujemy nic porozumienia. Motyl pokazuje mi zabawne filmiki w internecie, razem się śmiejemy. Z czasem nawet do rozpuku. Jestem wyluzowana. I kto wie, może ma to wpływ na to, że w końcu doczekałam się swojego amatora. Mam K., tym samym strach opada. Może nie będę na minusie?

K. to starszy i bardzo elegancki pan. Czuły, delikatny i trochę zawstydzony. Przytula mnie jak małe dziecko, głaszcze, masuje i do tego zaspokaja się ręką. Wychodząc, dziękuje. Całuje mnie w czoło, a do ręki wciska banknot. Jestem w szoku.

Idę do kuchni, aby zapłacić za dwie *Miete*. Motyl się uśmiecha, ale wyczuwam niemiłą atmosferę między nim a Tatianą. Nie obchodzi mnie to jednak, choć może powinnam się tym zainteresować, tym bardziej że podczas kąpieli słyszę ich podniesione głosy. Dziwi mnie, że choć dziś poniedziałek, wczesne popołudnie, dzwonek dzwoni wielokrotnie. Zupełnie inaczej niż w M.M.U. Tam ten dzień był nazywany martwym.

Motyl przejął dowodzenie nami. Sumiennie pilnuje, abyśmy zmieniały kolejność przedstawiania się. Raz ja idę pierwsza, raz ona. I ma to swoje przełożenie na wybór dokonywany przez K. Zazwyczaj wybierają tę, która idzie druga. Ciekawe. Ale może to tylko zbieg okoliczności? Chociaż gdy zaczynam analizować sytuację, zauważam, że gdy rozbrzmiewa dzwonek, Tatiana ma mnóstwo do zrobienia. Poprawia makijaż, wychodzi do toalety. Wygląda na to, że bardzo jej zależy na byciu drugą. Jesteśmy dziś na równi. Dzięki Motylowi?

Wszystko funkcjonuje tu inaczej niż w M.M.U. Choć wiem, że wiele muszę się nauczyć, to jednak jestem już spokojna. Czuję się bezpiecznie.

Wieczorem przychodzi Isabelle. Wprowadza małe zawirowanie, ale przynajmniej coś się dzieje. Pierwsze co robi, to grzebie w mojej walizce. Bez pardonu wyciąga halki, pończochy, majtki. Widzę, że dla niej taka ingerencja w czyjąś prywatność jest standardem. Przebiera mnie wedle swojego gustu, w sposób, który nie ma nic wspólnego z moim, bo jest nazbyt śmiały, wyuzdany. Poddaję się jej wyczynom bez słowa. Potem przychodzi czas na włosy. Klnie przy tym jak szewc. Udało jej się dojść do jakiegoś porozumienia z nimi, bo na chwilę przysiada. Tatiana całkowicie wyłącza się z tych przygotowań. Nawet na

nas nie patrzy. Izoluje się.

– Przerwa – rzuca Isabelle. – Trzeba się trochę wyluzować. Johanna, drineczka? – pyta, puszczając do mnie oczko.

Dziwi mnie ta propozycja, bo obowiązujący tu regulamin zakazuje spożywania jakichkolwiek używek w godzinach pracy. No cóż, skoro nalega...

– Jawohl! – odpowiadam, a oni uśmiechają się do siebie, szwargocząc w zupełnie nieznanym mi języku. Nietrudno jednak się domyślić, że mówią o mnie. Ale nie wyczuwam niczego złego. Drink wyluzowuje mnie na tyle, że pozwalam, by Isabelle wyczyniała z moją twarzą cuda, choć bardzo nie lubię, gdy ktoś przerysowuje ją kredkami. Mamy przy tym mnóstwo dobrej zabawy, ja – patrząc w lusterko, jak zmieniam się z każdym ruchem jej ręki, oni – obserwując mnie bezpośrednio. Koniec końców wyglądam jak stara kurwa spod latarni. Płaczymy ze śmiechu. Co więcej, nawet Ukrainka skrzywiła swoje usta w grymasie przypominającym uśmiech.

Do rzeczywistości przywraca nas dzwonek. I co teraz? A niech tam, idę. Tak dla jaj. K. jest w szoku na mój widok. Ale widocznie zna się na żartach, bo Isabelle wykrzykuje moje imię.

– Prosił tylko, żebyś zmyła z siebie makijaż – szepce mi do ucha, kiedy mijamy się w korytarzu.

Wracam niebawem w dobrym nastroju, bo wiekowy pan nie był wymagający.

Atmosfera w kuchni podczas mojej nieobecności trochę opadła. Wygląda na to, że ci troje mają jakieś swoje sprawy, w które nie wnikam. Gdy wybija dwudziesta trzecia, Tatiana znika, nie mówiąc nawet „dobranoc”. Zostajemy same, bo Motyl też idzie spać. Popijamy drineczki, darząc się coraz większą sympatią. Zasypujemy się swoimi historiami. Gdy w końcu zmęczenie robi swoje, za oknem świta. A Isabelle staje się dla mnie Iśką.



Iśka, startując w dorosłość, miała wszystko, co trzeba, aby się w życiu nie pogubić. Dobry, ciepły dom, kochających rodziców, którzy wspierali ją w wyborach i dążeniu do wyznaczonych celów. Skończyła studia psychologiczne,

tym samym jej pasja i marzenie o tym, by pomagać ludziom z okaleczonymi duszami, miały szansę zostać zrealizowane. Spotkała mężczyznę swego życia i wyszła za mąż. Szaleńczo zakochana, urodziła dwoje dzieci. Spełniała się jako matka i kobieta, lecz realizację zawodowych planów przełożyła na później. Szybko jednak się okazało, że mąż nie był do końca zadowolony z życia w domowych pieleszach. Lubił rozrywkowe życie, hazard i kobiety.

Iśka, choć bardzo atrakcyjna, pochłonięta dziećmi, kaszkami i kupkami, szybko mu się znudziła. Przestała być ważna, ale jak to często u kobiet bywa, nie chciała zauważać, że coś jest nie tak. Że ukochany coraz częściej znika, nie wraca na noce, nie uczestniczy w sielance, jaką jest rodzinne życie. Potrzebowała szoku, żeby wszystko dostrzec. Mąż o to zadbał.

Zastała go uprawiającego seks na kuchennym stole, gdy nieco wcześniej niż zapowiadała, wróciła od rodziców z niedzielного obiadu. Dzieci nie do końca zdawały sobie sprawę z tego, co widzą, a Iśka owszem. Wyjaśnianie tej sytuacji nie miałyby sensu, dlatego zrobiła, co uznała za słuszne. Dzieci zaprowadziła do pokoju. Zamknęła drzwi. Rozneglizowaną kobietę wyciągnęła z mieszkania za włosy i dokonała samosądu na zewnątrz domu. Gdzie był wtedy on? Nie wie, bo w amoku tego nie zarejestrowała. Dobrze, że ktoś zadzwonił na policję, bo zabiłaby swoją najlepszą przyjaciółkę.

Dostała wyrok w zawieszeniu.

Silna charakterem, powracała do życia. Dla dzieci i swojej pasji. Niedługo od tamtych wydarzeń, zaczęły się kłopoty. Po mężu nie pozostałoby nawet mgliste wspomnienie, gdyby nie zaczęła jej nachodzić miejscowa gangsterka, usilnie żądając zwrotu swojej własności – domu Iśki, który jej były mąż przegrał w karty. To nie były czcze słowa. Wszystko zostało przybite pieczęcią notariusza. Koszmar rozgrywał się w majestacie prawa.

Dano jej szansę – mogła spłacić dom, i to w ratach. Pomagali wszyscy – rodzice, przyjaciele i obcy, ale „ośmiornicy” wciąż było mało. Rosły odsetki od odsetek. Grożono jej i dzieciom. Rodzice radzili, żeby zamieszkała u nich i wszystko zaczęła od nowa, ale Iśka się uparła, że nie da się wyrzucić ze swojego domu. Dlatego odpowiedziała na

ogłoszenie w prasie: „Dobrze płatna praca dla kelnerki bez znajomości języka. Odbierzemy, zapłacimy za bilet”. Kto takich ogłoszeń nie czytał w późnych latach dziewięćdziesiątych? Ile kobiet się pokusiło? Nie policzy nikt. Iśka dała się nabrać.

Minęło kilka miesięcy zanim Motyl natrafił na nią w jednym z krajów południowej Europy – schorowaną, zubożoną, zaćpaną. Zabrał z przyczepy ustawionej przy drodze i po ludzku – najpierw uratował, a potem pokochał.



Z wielką nienawiścią do słońca budzę się spóźniona do pracy. Boli mnie głowa od nadmiaru alkoholu, historii Iśki i z niewyspania. Ale nie są to główne przyczyny złego samopoczucia. Początkowo nie wiem, co mnie tak dręczy gdzieś tam na dnie, bo przecież nie kac. Ani niewyspanie. Radzę sobie z tym od dłuższego czasu. Mam na to swoje sposoby. Rozmyślałam nad tym, a koleżanka z pracy kompletnie nie zwraca na mnie uwagi. Ale to dobrze, przynajmniej mogę się zastanowić nad tym, co mnie ciśnie w sercu. Wszystko mam pod kontrolą, no może prawie wszystko...

Zaczynam kolejny dzień. Dzwoni dzwonek. Oczywiście drzwi otwiera moja niezbyt uczciwa konkurencja. Nie daje mi żadnej szansy, prowadzi K. prosto do swojego pokoju. Zachowuje się tak, jakby mnie tu w ogóle nie było. Nie mówi do mnie nic, kiedy wrzuca pieniądze do sejfu. Patrzy tylko tym swoim triumfalnym wzrokiem, jakby mówiła: „Widzisz, jestem lepsza od ciebie. Znowu wygrałam”. Powinnam jakoś zareagować, wykonać jakikolwiek ruch, ale nie śmiem. Poza tym wierzę, że to się nie powtórzy. Naiwna jak zwykle.



Kiedy Tatiana po raz trzeci weszła do kuchni, aby na kartce udokumentować swoją wyższość nad Janką, zdziwiła się. Współlokatorka nie wyglądała dobrze. Janina siedziała blada jak ściana, z makijażem rozmytym od nadmiaru łez. Szlochała. Zaintrygowało to Tatianę, ale nie zareagowała. Każdy ma przecież swoje nieszczęścia...

Tatiana od dawna miała swój plan. Na Ukrainie niespokojnie i brakuje pracy. Nie wiadomo, kiedy się to skończy i jak, a ona zostawiła

tam dzieci i chorą matkę. Dlaczego miałyby się rozczulać nad jakąś Polką? Szczególnie nad Polką! „Póki mogę, muszę zarabiać pieniądze, żeby zadbać o spokój i byt rodziny, więc wykorzystuję sytuację. Każdy zrobiłby na moim miejscu to samo”, usprawiedliwiała się przed sobą Tatiana.

Gdy po szóstym K. Tatiana znów weszła do kuchni i zobaczyła Jankę zwiniętą przy stole w kłębek, nie potrafiła już dłużej udawać obojętnej. Tatiana nie wiedziała, co się stało, ale domyślała się, że coś wstrząsającego. „Może ta dziewczyna ma jeszcze gorszą sytuację niż ja?”, zastanawiała się. Zaczęły nią targać wyrzuty sumienia. W końcu zdała sobie sprawę, że zabieranie Jance wszystkich K. nie było zachowaniem fair play.

– Johanna, co z tobą? – zapytała, głaszcząc dziewczynę po głowie. Nie było żadnej reakcji. Zaczęła się bać, że Janka poskarży się Isabelle. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że Iśka bez skrupułów może ją wyrzucić z domu, co zdarzało się już parokrotnie. I nie patrzyła wtedy, czy jest noc, deszcz czy mróz. Dlatego Tatiana wyciągnęła z portfela trzysta euro i wcisnęła Jance w rękę, aby odkupić swoją winę. Ale ręka była bezwładna i pieniądze rozsypały się po stole.

– Zadzwoń po Iśkę! – Tylko tyle wypowiedziały sine usta.

Iśka przyjechała jak mogła najszybciej. Wiedziała, że Tatiana potrafi nawyczyniać wiele złego, aby pozbyć się konkurencji. Już od dawna nosiła się z zamiarem wyeliminowania tej kobiety ze swojego biznesu. Uznała, że nie powinna zostawiać jej samej z nowicjuszka. Dlatego pełna niepokoju wbiegła po schodach. Prosto do kuchni.

To, co zobaczyła, przeszło najśmielsze wyobrażenia. Ukrainka siedziała na podłodze, trzymając się kurczowo nóg Janki. Obie zanosily się płaczem. Wokół leżały porzucane pieniądze...

– Co jej zrobiłaś? Co znowu? Co? – krzyczała, ale one nie reagowały.

Iśka wpadła w sidła swojego diabła – złapała Tatianę za włosy i odciągnęła od Janki. Biła ją na oślep. W porę pojawił się jednak Motyl i opanował sytuację. Miał sposoby na swoją ukochaną. Szybko ustała w boju.

Nie patrzę na Iśkę. Po co? Wiem, że jest wkurzona. „Przecież

zachowuję się jak bezradne dziecko. Jestem śmieszna i żalosna. Przyjechałam tutaj nie dla rozrywki ani po to, by się nad sobą uzalać. Jestem w pracy. I nie powinnam psuć Iśce biznesu. A właśnie to robię. Jak sztubak. Nie wiem, jak ona się zachowa. Może będzie niemiła. Może pozbędzie się mnie bez skrpułów. Wywali na zbity pysk. Wcale się nie zdziwię. Zrozumiem ją. Takie czasy – każdy dba o siebie”.

Tymczasem Iśka siada przy stole.

– Czyje to pieniądze? – pyta.

– Johnny – odpowiada Tatiana.

– Schowaj je do portfela – mówi do mnie. – Nie można tak nieładnie się z nimi obchodzić. Co się stało, co zrobiła Tatiana?

– Ona? Nic – odpowiadam niezgodnie z prawdą.

– To co się tutaj dzieje? Do cholery!

Podaję jej mój telefon. Wpatruje się długo w SMS-a, którego przysłała mi Adele. Zbyt długo.

– Ubierz się – nakazuje. Jestem przekonana, że za chwilę skończę na bruku. – Czekam na ciebie w aucie. Masz pięć minut.

Nie wiem, czy mam się pakować i co ona zamierza. Intuicyjnie zabieram tylko torebkę.

– Ty stawiasz – mówi, gdy wsiadam do samochodu.

Nie jedziemy długo, ale i tak mam czas, żeby zachwycić się krajobrazem. Łagodne góry i rwące potoki. A wszystko zalane wiosennym słońcem. Tak więc w Niemczech też może być pięknie. Aż chce się żyć. Tak na przekór wydarzeniom. Mogłabym się nawet rozmarzyć, gdyby nie wiadomość o śmierci biednej Rity. Iśka szybko sprowadza mnie na ziemię. Zatrzymujemy się pod bistro, w którym zapewne bywa często, bo wszyscy ją serdecznie witają. Zamawia butelkę whisky i colę.

– No, to teraz mi opowiesz, co cię gryzie. Od początku do końca. Wiesz, że nie mam czasu na głupoty. *Geld* wzywa. Dla mnie to jest priorytet. A i dla ciebie też pieniądze powinny być najważniejsze.

Chyba, że w burdelu pracujesz dla przyjemności, albo z nudów, hę?

– Rita nie żyje. Przyrzekłam, że ją uratuję, ale nie uratowałam...

– Czy ta dziewczyna była dla ciebie aż tak ważna, że zaniedbujesz swoje obowiązki i przy okazji jebiesz mi moją pracę? – pyta

podniesionym głosem.

Nie lubię, gdy ktoś mówi do mnie takim tonem, bo wyzwala we mnie agresję, jednak powstrzymuję swojego diabła. Nie odpowiadam, ale patrzę jej prosto w oczy.

– Johanna w tej pracy nie ma sentymentów, zrozum to. Jak będziesz je miała, zjedzą cię żywcem.

Jak zwykle z moich oczu lecą łzy. Ja się po prostu nie nadaję do tego kurewskiego świata.

– Ty tu nie pasujesz. Nie poradzisz sobie – mówi już spokojnie, przypieczętowując moje przemyślenia. – Mogę ci pomóc, ale co będzie, gdy trafisz do innego domu, gdzie nikt nad nikim się nie rozczula? Zniszczą cię, rozumiesz to? To nie jest zabawa, zapamiętaj to sobie raz na zawsze...

Długo siedzimy w milczeniu. Iśka chyba wie, że potrzebuję czasu na wypłakanie. Zamawia następną butelkę.

– Kim była dla ciebie ta dziewczyna? – ponawia pytanie. – Może kimś ważnym, wyjątkowym?

Nie odzywam się, bo sama właściwie nie wiem, kim była dla mnie Rita. Po raz pierwszy próbuję to sobie uświadomić: „Aniołem, który podał mi rękę w tym dziwnym świecie i sprawił, że nie bałam się aż tak bardzo, że poczułam się w nim widzialna, niewyobcowana. Kimś, kto mi pomógł, wkładając swoją rękę do kobiecości podczas menstruacji, aby wyciągnąć ze mnie gąbkę, która tamowała krwawienie. Nie potrafiłam tego zrobić, bo napawało mnie to takim obrzydzeniem, że na samą myśl chciało mi się wymiotować. Kimś, kto nie powinien być w przybytku, bo był zbyt wrażliwy”. Ale Isabelle tego nie zrozumie...

– Przecież to zwykła dziwka z burdelu – krzyczy Iśka. – Nie ma kogo żałować! Jednego strupa na świecie mniej. Gównno... Śmieć.... – mówiąc to, śmieje się w głos, ale nie wiem, czy bardziej ze śmierci Rity, czy ze mnie, z mojej rozpacz. A może z Motyla, który nagle się zjawił i próbował po cichu, bez afer, wyprowadzić nas z lokalu. Udało mu się to, choć nie bez trudu.

– Ten świat to szambo, a ty jesteś tak naiwna, tak głupia w jego postrzeganiu, że utoniesz szybciej, niż myślisz – krzyczy Isabelle w aucie. – Jesteś taka sama jak ona, a jeśli nawet jeszcze nie jesteś, to

będziesz, prędzej czy później. Wspomnisz moje słowa.

„Jesteś taka sama jak ona” – to zabolalo. Miałam ochotę uderzyć ją w twarz, ale nie zrobiłam tego. Nagle przyszło mi do głowy, że Iśka mogła mieć rację...

– Też byłaś kurwą – mówię na swoją obronę. – Nigdy o tym nie zapominaj!



Janina spędziła w kuchni całą noc, pocieszając się butelką whisky zabraną z bistro. Chciała zapić myśli na śmierć, żeby po prostu przestać myśleć albo chociaż zasnąć. Nie chciała się zastanawiać nad słowami Iśki: „Jesteś taka sama jak ona...”, ale nie potrafiła. Słowa Iśki wciąż pobrzmiwały jej w głowie jak dzwon, którego donośny dźwięk wywoływał ból. Janka nie była zdolna ani do pracy w burdelu, ani do powrotu do swojego życia.

Wczesnym rankiem Motyl zaprowadził ją do pokoju i nie rozbierając, położył do łóżka. Otulił kołdrą, pogłaskał po głowie. Znowu poczuła się małą, bezradną dziewczynką. Ale nie była na niego zła. Uspokoila się na tyle, że zasnęła. Motyl szeptał coś, ale zrozumiała tylko strzępki zdań, jednak dwa słowa utkwiły jej w pamięci: „Uciekaj stąd”.

Gdyby nie Tatiana, za żadne skarby świata nie wstałaby do pracy.
– Wstawaj! Isabelle jedzie. Wyrzuci cię na zbity pysk... Wiesz, która godzina?

Janka nie zareagowała. Nie czuła się na siłach, by pracować... Jedyne, na co miała ochotę, to zadzwonić do P.O.S.O. i poprosić, aby ją stąd zabrał, uratował po raz drugi. Tylko w takim wypadku musiałyby się przyznać do tego, że perfidnie Go okłamała. Jego oczy stałyby się wówczas jeszcze smutniejsze. On przecież jej uwierzył, kiedy przyrzekała, że nigdy więcej nie będzie wycierała łóżek w przybytkach. Że nie skuszą jej żadne pieniądze ani żadne skarby świata. Biła się przy tym w piersi, płakała. Była pewna, że dotrzyma danego słowa. Jedno miała na swoje usprawiedliwienie – nie zakładała, że Go oszuka.



Pełnię świadomości odzyskuję nie dlatego, że ktoś zbyt mocno szarpie mnie za ramię, ale dlatego, że bezlitośnie ściąga ze mnie kołdrę, pod którą skryłam się przed tym podłym światem. Choć nie jestem

rozebrana, czuję się naga. Sama sobie zgotowałam ten los. Jednak przewrotność mojej pokręconej natury i honor nie pozwalają mi się nad sobą użalać. Honor ponad wszystko!

– Wstań, pomogę ci – przemawia ludzkim głosem koleżanka po fachu, ukraiński potwór, którym straszyla mnie Iśka. – Idź się umyć, a ja przygotuję ci pokój do pracy.

Ciężkie są takie powstania, ale jakoś powstają. Muszę. Bo muszę zachować twarz... kurewską! Jak wynika z moich doświadczeń, do bycia kurwą potrzebny jest silniejszy kręgosłup niż u zwykłych ludzi. Po co? Żeby nie potraktowali cię jak ścierwo, jak szmatę. W przeciwnym razie zdeptają jak robala. I nie zauważywszy tego nawet, pójdą dalej.

Wczoraj zobowiązałam się, w rozmowie telefonicznej z Iśką, dopełnić warunków naszej umowy. Dotrzymać terminu. Priorytet! Bo jeśli wyjadę wcześniej, ona pozostanie bez kasy na chleb. To mi wczoraj bardzo sugestywnie uświadomiła. Chore? Nie. Takie panują tu niepisane zasady. Nie podobasz się, nie pracujesz, jak trzeba, to na zbity pysk. I jeszcze kopa na drogę. Tak postępują ci pizdą karmieni, ale czy inne reguły panują w niby-normalnym świecie? Zresztą każdy ma to, na co zasłużył. Ja zasłużyłam sobie na swoje, ale Iśka też nie wywinie się przed tym.

Dlatego nie boję się otworzyć drzwi do kuchni, przebrana w halkę oraz pończochy i zupełnie niepotrzebną treskę. Tutaj najważniejsza jest maska założona na twarz i skorupa na duszę. Nastawiłam się bojowo, czyli bezemocjonalnie. Trochę podnoszę maskę, a skorupa pęka, gdy widzę na stole świeżo zaparzoną kawę i spóźnione śniadanie. Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego twarz Tatiany wykrzywiała się w dziwnym grymasie. Ona też skrywała się pod maskami i powłokami, aby zachować resztki siebie, aby zwyczajnie nie zwariować.

Żeby Iśka nie nakryła nas w dobrych stosunkach, prowadzimy konwersację, zapisując swoje historie, myśli, spostrzeżenia na maleńkich karteczkach. Przeczytawszy je, palimy, aby nie pozostał po nich żaden ślad. Jakoś się dogadujemy. Zawarłyśmy nawet między sobą pakt. Pakt pojednania. Na chwilę. Co było, to było, jednak teraz jedziemy na tym samym pstrym koniu. Takie tam stosunki polsko-ukraińskie w burdelu. Zjednoczenie przeciw tym niedorzecznym wyzyskom i nieprawościom.

Z niecierpliwością czekam na spotkanie z Iską. Chcę bowiem wiedzieć, czy okaże się na tyle uczciwa, aby spojrzeć mi prosto w oczy. Ona jednak bitwę rozgrywa w inny, bardziej strategiczny sposób. Postanawia dziś, ze względu na złe samopoczucie, pracować zdalnie, nie ruszając się z domu. Nie dziwię się i już w myślach triumfuję. Wstydzi się po wczorajszych wystąpieniach.

Skoro już wiemy, że Iśki nie będzie, odważamy się normalnie rozmawiać. Tatiana nie jest potworem, lecz człowiekiem o wielkim sercu. I ma więcej powodów niż ja, aby się wycierać w przybytkach. Znowu jest mi wstyd. Po raz kolejny zadaję sobie pytanie: „Co ja robię?”.



Dzień mijał Jance i Tatianie przede wszystkim na pracy. Miały wielu K. Janka zastanawiała się nad fenomenem tego miejsca. Przybytek znajdował się bowiem w centrum wioski liczącej niewiele domów. Tuż przy kościele! Mieszkańcy widzieli, kto wchodzi lub wychodzi z domu rozpusty. Dlaczego zatem w przybytku panował taki ruch? „W M.M.U. dziewczyny mogły tylko o takim pomarzyć”, myślała Janka. „Może przyjeżdżali tu z innych miejscowości? Albo nie mieli wstydu?”

Tego dnia przyszło wielu K. Co ciekawe, w większości starsi panowie, mocno po sześćdziesiątce. Ponieważ byli bardzo kulturalni i mili, Janka postanowiła z nimi porozmawiać. Wśród odwiedzających znaleźli się między innymi: architekt, rolnik zajmujący się uprawą winorośli, lekarz, biznesmen. Żonaci, ale w wypalonych związkach, wdowcy, samotni. Spełnieni zawodowo, lecz nieszczęśliwi w życiu prywatnym. Każdy z nich zostawiał wysokie napiwki. Wielu nie chciało seksu. Prosiło o rozmowę, o to, by ich przytulić albo zrobić zwykły masaż. Jeden nawet nieśmiało zaproponował Jance wspólne życie.

Trafił się też dziwny K. Człowiek blisko dziewięćdziesięcioletni, bardzo schorowany. Przypominał raczej żywego trupa niż mężczyznę. Janka zdziwiła się, że tak wiekowy K. ma jeszcze takie potrzeby.

Motyl nakazał Jance, żeby dla tego klienta była szczególnie miła i wyrozumiała. Sądziła, że ze względu na stan zdrowia K. Motyl zabronił też Jance przyznawać się do polskiej narodowości. Ta prośba ją zaskoczyła.

Mężczyzna, choć schludny i czysty, na brzuchu miał przyczepiony worek na ekskrementy. Czuła do niego odrazę, ale na szczęście nie był wymagający. Szybko skończył. Wychodząc, rzucił od niechcienia uwagę, że tak ładnie na tę wizytę przygotowała go żona.

Czas spędzony z tym mężczyzną okazał się ciężkim doświadczeniem. Po jego wizycie Janka musiała odpocząć. Motyl przyniósł jej piwo. Rozumiał. Z ciekawości zapytała, dlaczego nie mogła przyznać się do tego, że jest Polką.

– Nie chcesz wiedzieć – odparł, ale Janka nalegała.

– Był szychą w jednym z niemieckich obozów koncentracyjnych na terenie twojego kraju.

Tak w tamtym dniu zakończyła się praca Janki w przybytku, a powinna się wtedy zakończyć na zawsze. Motyl wspierał Jankę do późnej nocy, pocieszał, ale nic nie mogło zmazać jej poczucia winy i obrzydzenia do samej siebie. Popijali whisky. Janina co jakiś czas wymiotowała, ale nie płakała. W myślach przyznawała rację Iśce: „To nie jest przedszkole, to hardcore, pieprzony koszmar”.

Następnego ranka, zaraz po przebudzeniu, pomyślała: „Muszę stąd zwać”. Potem zastanawiała się, jak to zrobić. „Oni trzymają moje pieniądze! Cały czas wmawiam sobie, że wytrzymam. Czy pieniądze to sprawiają? Nie! Zostały mi do odbębnienia tylko trzy dni, bo tak ustaliliśmy z Iską. Ale wytrwam. Nie dam jej satysfakcji”.

Ku zdziwieniu Tatiany nie jestem dziś rozmowna. Ona widocznie rozumie chwile zwątpienia w tej pracy, bo mnie nie zaczepia. Jestem jej za to wdzięczna. Nasze przymierze działa! Wbrew historiom naszych krajów.

Spokój. Do późnego popołudnia jedynym moim zajęciem jest wpatrywanie się w wiosnę za oknem. Nie myślę o niczym, jakby ktoś wyprał mi mózg. „A może ja nie mam mózgu?”

Z letargu wyrzywa nas dzwonek. Trzeba się ruszyć. Jesteśmy same. Nikt nami nie steruje. Idę pierwsza, nie chce mi się pracować. W salonie pod oknem stoi mężczyzna, któremu pomyliły się chyba miejsca na ziemi. Jest niezwykle dystyngowany. Poza, którą przybrał, i sposób bycia w kilka sekund uświadomiły mi, iż mam do czynienia z osobą nie tylko bardzo pewną siebie, ale też z innego świata. Z wyższej półki. Od

razu obdarzam go niechęcią. Witam się niedbale.

„Niech Tatiana się z nim męczy”. Ładnie się do niej uśmiecham, kiedy mijamy się w drzwiach.

K. wybiera mnie. Jestem zła, dlatego poza służbową rozmową nic więcej do niego nie mówię. Trochę muszę popracować. Jest wymagający i wcale mnie to nie dziwi. Tacy tak mają. Jednak zastanawia mnie, dlaczego wybrał ten podrzędny przybytek gdzieś na krańcu świata. Czemu płaci za seks zwykłej prostytutce? Na pewno stać go na luksusowe kurwy.

– No, dobra. Opowiadaj, co się stało? – mówi do mnie, kiedy jest już po wszystkim. Leży na łóżku nagi, bez wstydu.

„To tacy mówią po ludzku?”, dziwię się.

– Nic – rzucam do ściany.

Nie daje za wygraną, łapie mnie za rękę i zmusza do tego, abym usiadła na łóżku.

– Ile miesięcznie potrzebujesz pieniędzy, żeby tego nie robić? – pyta łagodnie. – Żebyś nigdy nie musiała tu wrócić?

– Tysiąc euro – mówię bez zastanowienia.

– To ja ci będę tyle płacił, dobrze?

– Dobrze, dobrze – odpowiadam, ale i tak mu nie wierzę. Kto to jest, do cholery, jakiś kurewski wybawca?

– Przyjdę do ciebie jutro, ustalimy reguły – zarządza. Wychodząc, całuje mnie w policzek, a do ręki wciska napiwek.

„Wariat, kłamca albo jakiś zwyrodnialec szukający taniej dziwki, którą gdzieś zabije, poćwiartuje i zakopie w lesie. Brr...” Ale K. poprawił mi humor, cieszy mnie to, że tacy pieprznięci również istnieją. Moje zadowolenie rośnie, gdy od Tatiany dowiaduję się, że Iśka dziś nadal choruje. „Super!”

Dzwonek nie dzwoni do końca pracy. Sprawdzamy nawet, czy się nie zepsuł. Taka cisza zastanawia. Ale nie, wszystko z nim w porządku. Widocznie taki czas. Tu dzień dniowi nierówny.

Punktualnie o dwudziestą trzecią leżę w łóżku. Próbuję zastanowić się nad światem, nad tym, czego ostatnio doświadczam. „Matrix? Czy prawdziwy świat, odarty ze złudzeń, imaginacji?” Nie chce mi się myśleć, bo to niczego nie zmieni. Zmęczona, zasypiam.

Rano wstaję pierwsza. Biorę szybki prysznic. I szaleję w kuchni. Dziś ja przygotowuję śniadanie. Tak w ramach wdzięczności. Kiedy wszystko stoi na stole, idę obudzić koleżankę zza ściany, ale ona nie wstaje. Mówi, że ma zły dzień. Może jestem wredna, ale cieszy mnie jej nieobecność. Czasami dobrze od kogoś odpocząć, jeśli na jego towarzystwo jest się skazanym.

Spadają na mnie obowiązki pani domu. Będę otwierała gościom drzwi, cóż za awans! Z nudów i dla zabicia niepotrzebnych myśli zabieram się za porządki. Bo ileż można siedzieć beczynnie? A dzwonek milczy jak zaczarowany. Nie mam pojęcia, co jest tego przyczyną. Gniazdko lśni, na kuchni gotuje się zupa, a jej zapach rozchodzi się po całym przybytku, prawie jak w domu. Czyż to nie ironia? To tak jakby w piekle pachniało ciastem ze śliwkami.

W M. dziwiłam się Ricie, gdy w bohaterskich zrywach pichciła w paszczy lwa. Jeszcze niedawno ona żyła! Jakie to wszystko niestabilne... los człowieczy, życie. Po raz kolejny umacniam się w przekonaniu, że nie ma sensu niczego planować. Bo i tak będzie, co ma być.

Z łóżka zwleka się Tatiana, z dołu przybiega Motyl. Twierdzą, że przygnał ich zapach zupy. Wiadomo, polska grochówka. Kto by jej się oparł?

Długo siedzimy przy stole. W końcu brzęczy dzwonek. Nikomu nie chce się otworzyć drzwi. Idzie Motyl, bo jest szefem.

– Johanna, Stammgast – krzyczy z korytarza.

– Ja mam stałego K.? – dziwię się.

Gdy wchodzę do pokoju, jestem rozczarowana. Dystyngowany K. stoi z bukietem róż, wbity w sztywny garnitur.

– Jestem, jak obiecałem, ale goni mnie czas, mam ważne spotkanie służbowe. Stąd te kwiaty, aby cię przeprosić – mówi szybko, jakby strzelał z karabinu. Muszę się mocno skupić, aby go zrozumieć.

„Może to wojskowy jakiś?”, zastanawiam się. „Może nawet generał!”

– Mam dla ciebie propozycję. Będziemy spotykali się raz w miesiącu, zawsze przez trzy dni, nie częściej. Ponoszę wszystkie koszty, to znaczy opłacam samolot, hotel i rozrywki typu opera.

Dostajesz umówioną kwotę, oczywiście z góry, no i jeszcze prezenty – zarządził.

– Czego oczekujesz w zamian? – pytam zszokowana, bo oto mam do czynienia z prawdziwym wariatem. Żywym, nie takim z telewizji.

– Chcę ciebie, Johanna – odpowiada, wciąż stojąc na baczność. – Tu masz moją wizytówkę. Dzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. O każdej porze. Aha, podaj mi swój numer telefonu.

Albo jestem głupia, albo w szoku, bo mu podaję. Wykręca numer, jakby sprawdzał, czy nie kłamię. Wychodząc, całuje mnie w policzek. Nie zdążyłam nawet spojrzeć na wizytówkę, aby zaspokoić ciekawość, kiedy wraca.

– Zapomniałbym, to dla ciebie – wciska mi w rękę kopertę.

„Kupuje mnie?”

– Widzimy się za miesiąc, pa – rzuca na odchodne.

Na wizytówce jest tylko numer telefonu i inicjały. Nic więcej. To mnie utwierdza w przekonaniu, że jest z nim coś nie tak.

„Cóż, ale lepszy wariat, niż pan z SS”, myślę sobie. Kwota z koperty przerasta moje wyobrażenia i sprawia, że się szeroko uśmiecham. „W takich chwilach kurewstwo nie jest niczym złym”.

– Johanna, szykuj się do wyjazdu, masz dziesięć minut – przerywa bezsensowne przemyślenia Motyl.

„Wyjazd? Nie mam ochoty na wyjazd, ale może dobrze mi to zrobi. Wyrwę się stąd na chwilę, zaczerpnę świeżego powietrza”.

Kiedy w pełnej gotowości do boju, wchodzę do kuchni, uśmiechnięta, zastaję martwą ciszę. Nie wiem, czy dotyczy to mojej sprawy, czy oni mają jakieś rozgrywki pomiędzy sobą. Nie interesuje mnie to.

– Co jest? Jedziemy? – pytam.

– Tak – odpowiada Motyl niemrawym tonem, jakby zza grobu. Do tego oboje spoglądają na mnie ze smutkiem.

– Boże, co z wami? Ludzie, coś nie tak?

W odpowiedzi Tatiana mocno mnie przytula, szepcząc do ucha:

– Uważaj na siebie.

Motyl ociąga się ze wstawaniem. Trochę niepokoi mnie to dziwne zachowanie. Gdzie ja jadę, na Sybir? A jedziemy długo. Motyl jak

nie-Motyl nic nie mówi. Ale mogę palić. Łatwiej mi wtedy uspokoić nerwy. Nie rozmyślam już nad Ritą. Boję się teraz o siebie. Nie wiem, dokąd jadę i co mnie tam spotka. „Może już nigdy nie zobaczę dzieci i P.O.S.O.?” , zastanawiam się, spoglądając w ciemność za oknem.

– Dokąd mnie wiesz? – próbuję jeszcze raz zagadnąć Motyla, ale nie odpowiada. A ja teraz potrzebuję, aby pogłaskał mnie po głowie...

Kiedy w końcu się zatrzymujemy, pokazuje mi dom.

– To tu – mówi. – Skasuj go za trzy godziny, czterysta pięćdziesiąt euro plus sto euro za przyjazd.

– Trzy godziny? – pytam z niedowierzaniem. – Jak to, nie wejdiesz ze mną? Jaką mam gwarancję, że nic złego mnie tam nie spotka?

– Za trzy godziny będę tu na ciebie czekał. Powodzenia – rzuca, kiedy wysiadam.

Odjeżdża, a ja nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

Jestem sama w tym przerażającym kraju. Nie wiem gdzie. Na jakimś pustkowiu, bo jakimś cudem nie ma tu innych domów. Nie ma nikogo, kto usłyszałby wołanie o pomoc. I kim jest ten K.? Co będzie tu robił ze mną przez trzy godziny? Teraz rozumiem, dlaczego Tatiana życzyła mi powodzenia.

„Uciekaj stąd”, przypominam sobie słowa Motyla. „Ale dokąd?”



Janina bardzo się bała, jednak za jedyne rozsądne rozwiązanie uznała zapukać do drzwi domu, w którym ktoś na nią czekał. „Tam przynajmniej nie będę sama”, pomyślała. „Raz kozie śmierć!”

Nie musiała naciskać na dzwonek. Drzwi były uchylone. Nie wahając się, weszła. Już samo to, że ów K. nie przywitał gościa, wydało się Jance niepokojące, ale nie widziała odwrotu. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że Iśka była górą. Puściła ją na szerokie wody...

„Ale przecież nie będzie aż tak źle”, próbowała uspokoić swoje splątane myśli.

Wnętrze ponurego domu było oświetlone przygaszonym światłem, co dodatkowo nasilało w Janinie lęk przed nieznanym.

– Hallo, gdzie jesteś? – wołała w pustkę, mając jeszcze nadzieję, że

nic złego jej nie spotka. Ponieważ nie było żadnego odzewu, postanowiła nie ruszać się z miejsca. Dobrze mieć za sobą drzwi. Zawsze będzie mogła uciec, „w razie Niemca”.

Ten ktoś zaatakował ją od tyłu. Jedną ręką mocno złapał za włosy, drugą spiął w silnym uścisku ręce. Nie miała żadnych szans na ucieczkę ani na wyzwolenie się z tych pęt. Postawił ją przy ścianie, brutalnie zerwał majtki i bez jakichkolwiek oporów wszedł w nią z taką siłą i zaborczością, jakiej nigdy wcześniej nie było jej dane doświadczyć. Robił to z jakąś fanatyczną pasją. Długo. Zbyt długo...

Kiedy na chwilę przestał, a ona miała nadzieję, że to nareszcie koniec udręki, silnym ruchem przewrócił ją na podłogę. Czowała na sobie jego nieświeży oddech, pot, który mieszał się z jej łzami. Próbowwała spojrzeć mu prosto w oczy, mając nadzieję, że powstrzyma go przed kolejnym haniebnym aktem gwałtu. Ale on spoglądał gdzieś w dal korytarza, tak jakby jej tutaj w ogóle nie było. I dalej robił swoje.

Nie pamiętała, ile czasu minęło i jak znalazła się na zewnątrz domu ze zwitkiem banknotów w ręku.

Zapłakaną, zakrwawioną, zmarzniętą, pozbawioną jakichkolwiek uczuć, Motyl odwiózł do przybytku. I taką podeptaną położył spać.



W półśnie doznaję olśnienia. Tym zwyrodnialcem był sztywniak. Obiecuję sobie, że go kiedyś dopadnę. Zdemaskuję.

Budzą mnie szept. To Isabelle i Motyl. Spoglądam na nich ukradkiem. Wygląda na to, że się kłócą. Szeptem. Są zabawni, ale widać między nimi miłość. I to mi się podoba. Udając, że śpię, pozwalam im zmywać ze mnie pozostałość po wczorajszym K., zwyrodnialcu, którego nie zapomnę do końca życia.

Mam zamknięte oczy, więc nie wiem, które z nich wybiela z krwi moją twarz, a które kobiecość. Ale to nie ma już żadnego znaczenia. Ile by nie myli, szorowali, to i tak im się nie uda... Znowu stałam się kimś innym. Nie tylko jestem na poziomie „-1”, ale jeszcze za szybą pancerną. Nie ma Janki, nie ma też Johanny. Pozostała ze mnie tylko skorupa.

Ponieważ przełomowy K. wpychał we mnie nie tylko swoją naturę, ale również przedmioty, które mają zupełnie inne przeznaczenie, jestem

bardzo obolała. Nie mam siły, aby wstać do toalety. Pomaga mi w tym Motyl. Ale nie czuję wstydu przed nim. Co więcej, jestem szczęśliwa, że nie robi tego Iśka. Udusiłabym ją. Na to na pewno znalazłabym w sobie moc. Tym bardziej po jej słowach, którymi do mnie syknęła, gdy on na chwilę zniknął:

– To jest właśnie prawdziwe oblicze kurewstwa, debilko!

Okres rekonwalescencji pod skrzydłami Motyla kończę, gdy tylko czuję się na siłach prowadzić auto. Od Niego dzieli mnie niespełna trzysta kilometrów. Żegnam się z moim pielęgniarzem. Z nią rzucamy sobie tylko krótkie „cześć” i w drogę.

Jadąc do przystani, rozmawiam z Nim przez telefon. Kłamię, ile wlezie, choć wiem, że to nie ma sensu. Gdy zapyta: „Kto ci to zrobił?”, co mu odpowiem? Wtedy opowiem prawdę. A jaka ona jest? Jak to prawda – bolesna. Choćbym nie wiem jak przed nią uciekała, zdaję sobie sprawę, że to się nie uda...

W drodze do P.O.S.O. sama przed sobą udaję, że nic się nie stało, że mogło być gorzej, że jeszcze się jakoś poukłada. I sama w to nie wierzę, przez co Jemu też nie wydam się wiarygodna.

Kiedy P.O.S.O. otwiera mi drzwi, zmęczonej i obolałej, czule mnie całuje i wita słowami:

– Polko moja, skąd się tu wzięłaś? Spadłaś z nieba?

Próbuję się uśmiechnąć lub chociażby odwzajemnić Jego uścisk, ale nie mogę. Łzy wielkie jak groch spływają mi po policzkach. A kiedy je z miłością całuje, zdaję sobie sprawę z tego, że jestem potworem, kłamcą. Zwykłym nikim. Kurwą. I że nie zasługuję na Niego, i muszę powiedzieć Mu o tym, gdzie byłam i co mi się przydarzyło. I dlaczego to zrobiłam, bo przecież nie brakowało mi na nic pieniędzy. A gdyby nawet, to jak wytłumaczę, że do Niego nie zadzwoniłam? Przecież obiecał mi pomoc.

„Pewnie będę się znowu kajać i przyrzekać, że nigdy więcej. Tylko czy ja sama w to uwierzę?”

Wysłuchuje mojej opowieści ze spokojem. Kiedy wyzaliłam się już do dna, bierze mnie za rękę i prowadzi do sypialni. Bez słowa kładzie do łóżka, przytula i głaszcze. Ale zanim zasnę, słyszę słowa, które wyrzuca z siebie, wychodząc z pokoju:

– Kurwa zawsze pozostanie kurwą!

Mogłyby mnie te słowa oburzyć. Albo zranić. Ale wiem, że ma rację, tak samo jak Iśka, i że nie wybaczy mi tego, co zrobiłam. I wcale się nie dziwię, zawiodłam Go, zraniłam, oszukałam. Szatan odcisnął na mnie swoje piętno.

Dlatego rano nie mam żadnych pretensji, gdy pyta, podając mi kawę:

– Masz siłę, żeby wrócić do domu? Nie chcę na ciebie patrzeć.

Wracam zalana łzami. Przez swoją własną głupotę!



Polska, miasto W., marzec 2013, powrót do domu

Janina wracała do domu we łzach. Więcej ich już z siebie wylać nie mogła. Podróż była męczarnią. Na dodatek pogoda, choć wiosenna, nie sprzyjała. Deszcz strumieniami wylewał się z pochmurnego nieba. Do tego wiał silny wiatr. „Czyżby Bóg również się sprzeciwił temu, co zrobiłam?”, zastanawiała się, zatrzymując się na kolejnym parkingu, aby zbyt ciężką głowę oprzeć na kierownicy i chwilę odpocząć.

„Czy też nie dasz mi szansy?”, krzyczała do Boga w myślach, a krzyk ten rozrywał jej duszę.

Bóg milczał. Dlaczego miał dawać jej kolejną szansę? Ile szans można marnować?

„Mam to, na co zasłużyłam”, przyznawała ze skruchą.

Zanim odważyła się wrócić do domu, postanowiła zrobić postój. Zatrzymała się w przydrożnym hotelu, aby jak poprzednio sprząć z siebie wszystko, co wiozła, czyli brud kobiety upadłej. Specyficzny odór. Pragnęła też zrzucić z pleców ten pieprzony bagaż doświadczeń. Niemiłych, potwornych, tragicznych. Uczono ją przecież na szkoleniach z technik sprzedaży, kiedy pięła się stopień po stopniu po szczeblach kariery w marketingu, gdy uczestniczyła w wyścigu szczurów – żeby się nie poddawać. „Jeśli się potknęłaś, a może nawet upadłaś, otrzep się i biegnij dalej do celu, jaki by on nie był”, powtarzano. Nie skorzystała z nauk i niegdyś, przed wypadkiem, śmiała się z tych porad. Ale wtedy była liderką, więc mogła, zwłaszcza kiedy odbierała najwyższe trofea w firmie.

A obecnie? Liderką się nie czuła. To też mocno ciągnęło ją na dno, w taki sposób się postrzegała. Nie wiedziała też, czy ma jeszcze jakikolwiek cel.



Minęło sporo czasu od mojego powrotu do niby-normalności, ale nie potrafię się pozbierać, poukładać sobie życia, a przede wszystkim zapomnieć o Nim. Czuję też do Niego żal. Nie musiał mnie aż tak srogo karać!

Żyję jak robot. Bez uczuć, których nie mam nawet dla dzieci. Brak mi sił, nie ma we mnie żadnych emocji. Wszystko, co się teraz dzieje, odbywa się jakby na zewnątrz. Poza mną, bez mojego udziału. Otoczyłam się pancerzem.

Pieniądze z kurewstwa rozchodzą się szybko... i wypadałoby, abym podjęła jakieś działania mogące zapobiec totalnej zagładzie. Opadłam jednak z sił. Ograniczam się do leżenia w łóżku, odwiedzania toalety i zapewnienia sobie stałego dopływu alkoholu.

I tak oto moje życie ponownie przedarło się na pół. Jedna połowa odeszła w lewo, druga – nie wiadomo dokąd. Pośrodku nie pozostało nic. Wielkie nic. Wyjałowione, pełne nienawiści, sama nie wiem do kogo.

Czy do Niego – Pana o Smutnych Oczach, który zapewniał mnie o swojej bezwarunkowej miłości?

Czy do Boga, który mnie opuścił, bo straciłam wiarę? A nie powinien, bo przecież jest łaskawy.

Czy do siebie samej, sprawczyni tego wszystkiego?

Tylko jakie ma to znaczenie w obecnej sytuacji, kiedy wszystko znowu indolencją się majaczy?

Dni są najstraszniejsze. Mam na tyle świadomości, że zachowuję pozory zarówno wobec dzieci, jak i osób blisko mnie żyjących. Mam nadzieję, że nie widzą mojej słabości, że dobrze ją ukrywam. Ta wstrzeźliwość boli. Ale odbijam ją sobie, gdy zapada ciemność nocy. Wtedy piję tak, aby całkowicie stracić kontakt z rzeczywistością.

Przestałam marzyć. Czego nie zawierałaby bańka mydlana, którą sobie kiedyś tam wymarzyłam, nawymyślałam – nieważne, bo i tak pękła. Nie wichrami, nie deszczem smagana. Nie słońcem wypalona. Pękła, przygnieciona moją niefrasobliwością. Głupotą!



Choć Jance wydawało się, że dobrze ukryła się w swojej samotni i stała się niewidzialna, to jednak ktoś zauważył jej słabość. Co więcej, dostrzegł problem, ale nie spisał na straty i na jej szczęście nie zostawił samej. Ten ktoś zajął się dziećmi, nie pytał też o nic. Tym kimś była teściowa. Zawsze się rozumiały i świetnie dogadywały mimo różnicy pokoleń.

– Wyjedź gdzieś, w jakieś zacisze. Wypłacz się do bólu. Przemyśl

wszystko. Nie wiem, co ci się przydarzyło, ale na pewno to jeszcze nie koniec świata – mówiła do niej obca przecież kobieta, przytulając Jankę jak matka.

– Posłuchaj mnie, wiesz, że dobrze ci życzę. Pomyśl o dzieciach, to one są najważniejsze, nie ty.

Janka wierzyła w dobre intencje teściowej, ale to nie jej zachęty przyczyniły się do podjęcia decyzji o wyjeździe. Głównym powodem był strach przed konfrontacją z rzeczywistością. Janka panicznie bała się spojrzeć sobie na trzeźwo w oczy. Bo co miała powiedzieć? Jak się wytłumaczyć z tego wszystkiego, co nawyrabiała?

Zanim wyjechała, skrupulatnie pozalátwiała bieżące sprawy. Jakieś zaległe płatności, drobnostki urzędowe. Odwołała wizyty u lekarzy. I dokończyła testament, z czym próbowała się rozprawić od czasu wypadku. Ciężko jej to wtedy przychodziło, ponieważ wierzyła, że sobie poradzi, że uciągnie wóz z cierpieniem.

Godnie jak inni. Teraz, kiedy już wiedziała, że nie podoła, postanowiła dokończyć nieudane dzieło Boga, nieśmieszny żart z dziewięcioma milimetrami. A kiedy podjęła tę decyzję, pisanie testamentu poszło jak z płatka.

Ostatnie słowa teściowej: „Czekamy na ciebie bez względu na wszystko!”, zagłuszył stukot pociągowych kół. Janka już ich nie usłyszała. Uśmiech dzieci, nieświadomych niczego, beztrasko machających z peronu, schowała głęboko na dnie serca. Taki obrazek chciała zabrać ze sobą w podróż na drugą stronę.

Podczas gdy ona jechała w nieznanym kierunku, zastanawiając się, w jaki sposób uciec przed życiem, On nie mógł poradzić sobie z myślą, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Minęło kilka tygodni od czasu, kiedy wyprosił Jankę ze swojej przystani. Miał wtedy nadzieję, że stłamsi, zabije w sobie uczucie do Janki. Ale ono zwyczajnie Go przerosło. Niektóre rzeczy dzieją się same, tak też stało się tym razem. Z upływem czasu zaboląły Go i dusza, i serce. Zaczął zdawać sobie sprawę, że bez niej świat zionie pustką. Im dłużej Janki nie było w Jego życiu, tym stawało się ono trudniejsze i traciło sens. Próbował z tym walczyć. Zastąpić ją innymi kobietami, ale żadna nie była w stanie zatrzeć wspomnień o Jance, wypełnić pozostałej po niej pustki. P.O.S.O.

zatracał się w smutku. Czuł, że Janka odeszła nieodwracalnie. Jak jego żona, która umarła. „Ale Janina przecież jest!”, myślał. „Budzi się co rano, je śniadanie... mógłbym jej powiedzieć, jak mi ciężko, że ją kocham, że mogę iść z nią na koniec świata i zrobić dla niej wszystko”.

P.O.S.O. postanowił ją przeprosić. Ale gdy w końcu schował męską dumę i zadzwonił, usłyszał tylko: „Nie ma takiego numeru”. Przeraził się, wiedział bowiem o tym, że Janka miewała stany depresyjne. Opowiadała Mu o nich, gdy po uniesieniach leżeli na dywanie, popijając wino. Przypomniał sobie, jak mówiła, że nigdy nie wrócą do niej te strachy, ponieważ On jest przy niej, ale Jego przecież nie było...

Decyzję o wyjeździe podjął w okamgnieniu. Wsiadł do auta i pojechał do tego dziwnego kraju, o którym wiedział tylko tyle, ile ona Mu opowiedziała: że jest piękny, z niezwykłym potencjałem i taką samą historią, że mieszkają w nim ludzie niezłomni, dumni, honorowi i pracowici. Przyjaciele odradzali Mu podróż do Polski, straszili, że Polska to dziura, dzicz, ale zaufał jej słowom, gdyż pamiętał, z jakim entuzjazmem opowiadała historię swojego kraju. W opowieściach tych słyszał miłość i oddanie. Sam nie żywił takiego uczucia do własnej ojczyzny, którą opuścił, gdy ta potrzebowała Go najbardziej. Uciekł jak wielu innych. Uczucie Janki do ojczyzny uważał za coś niezwykłego.

Ale teraz nic nie było ważne. Pragnął tylko ją uratować... przed nią samą.



Właściwie nie wiem, dokąd jadę. Nie mam żadnego pomysłu. Doskonale przecież wiem, że nie można uciec przed samą sobą. Już parę razy w życiu przez to przechodziłam. Im dłużej jadę, tym bardziej ta podróż wydaje mi się bezsensowna. Bez celu.

Dlatego wysiadam na najbliższej stacji. Jest późny wieczór, nie wiem, gdzie jestem i po co. Siadam na ławce w pustej poczekalni, która pamięta jeszcze czasy zamierzchłej komuny. Kasa biletowa zamknięta, tak więc nie mam nawet kogo zapytać o jakiś nocleg.

„Nienawidzę siebie takiej słabej, rozchwianej, zalęknionej. Przecież to nie jestem ja! Gdzie, do cholery, podziała się moja czarodziejska moc? Mój optymizm, rzucanie się z motyką na słońce?”

Gdzie moja chęć do życia, działania, wigor, pomysłowość, uśmiech?”
Wszystko to zniszczyło kurewstwo. Z tym nie da się żyć! To boli.
Wyżera duszę i umysł. Zabija. Tak więc do dzieła.

Na pewno jest tu jakiś hotel lub pensjonat, no i taksówka.
Z przerażeniem spoglądam na postać odbijającą się w szybach. Ten
mały, skurczony człowieczek to ja? Potworność i totalna beznadzieja.
Ten widok jeszcze bardziej utwierdza mnie w przekonaniu, że moja
decyzja o zniknięciu z tego świata jest słuszna. Nie mogę na siebie
patrzeć, a co dopiero żyć ze sobą.

Jak na życzenie pod dworcem stoi taksówka. Wsiadam i proszę
kierowcę, aby zawiózł mnie do najdalej położonego pensjonatu, gdzieś
do lasu, z dala od ludzi.

I jedziemy – ja z moim bólem i baterią butelek alkoholu
(obowiązkowo!) – na koniec, ale nie świata, lecz mojego życia.
Taksówkarz zna takie miejsce. Na szczęście nie widzę smutku w jego
oczach...



Dom, przed którym samochód się zatrzymał, nie wyglądał jak
pensjonat, lecz raczej jak siedlisko. Janka zachwyciła się panującym tam
spokojem. Głucha cisza była jej na rękę.

Gospodarze okazali się bardzo mili, może nawet za bardzo. Tacy
zwykli, co ją trochę onieśmieliło. Podjęli Jankę kolacją, jakby była
oczekiwanym gościem albo kimś z rodziny. To wydało się Jance miłe,
ale nie pasowało do uknutego przez nią planu. Wiedziała, że z każdym
ich uśmiechem, ludzkim gestem, będzie słabła w postanowieniu.

Nie mogła sobie teraz pozwolić na takie niefrasobliwości!
Przyjechała, by uciec przed... No właśnie, przed czym? Wszystko, co
wydarzyło się w ostatnim czasie, wykluczało ją z normalnego życia. Tak
to czuła. Na wypadek z ręką nie miała wpływu. Na decyzję
o nieprzyznaniu zasiłku chorobowego – też nie. Stało się. Ale przecież
potem sama zepchnęła się na margines życia, z własnej,
nieprzymuszonej woli, bo przecież nikt jej do niczego nie zmuszał. I nikt
nie maczał palców w tym, że nagle poczuła się opuszczona przez
wszystkich, nawet przez Boga. Nawet Iśki nie mogła za to winić. Ona
przecież jak nikt obrazowo powiedziała jej prawdę o tamtym świecie.

Ani do Niego, któremu skłamała, obiecując czystość, nie mogła mieć żalu, ani do Marioli, która ją w to wszystko wplątała.

– Czego się boisz? – zapytała otwarcie gospodyni, nalewając do kieliszków regionalną wódkę.

– Siebie – odpowiedziała Janina.

„Czy tak samo szybko jak marzenia umiera miłość?”, rozmyślała Janka w przebłysku świadomości... „I czy tak samo szybko pęka ludzkie życie? Odlatuje gdzieś, w nieznaną otchłań, której nie można ogarnąć? Ile trzeba takich doświadczeń, upokorzeń, żebym w końcu zrozumiała, że nie wolno być butną?”

Janina z gospodynią siedziały i rozmawiały do rana przy domowych nalewkach i winach. Janka cieszyła się, że nie musi sięgać po swoje zapasy. Kto jak kto, ale ona dobrze wiedziała, że jeszcze się jej przydadzą.

Nałóg – to pierwsze, co zdiagnozowała owa obca, około sześćdziesięcioletnia kobieta, słuchając Janki i obserwując jej zachowanie. Jako pierwsza nazwała głośno i po imieniu wstydliwą przypadłość załamane gościa. Janka się obruszyła, niemalże obraziła, przecież nie była sztajmeską, alkoholizką, która nie potrafi kontrolować swego życia jak na przykład Rita... „No, ta to się zapiła na śmierć!”, broniła się Janka w pijanych myślach. „Przecież nie można mnie porównywać z Ritą. O nie, ja jestem inna!” Gospodyni jednak w niczym nie przypominała lustrzanego odbicia Janki, z którym ta zazwyczaj popijała. Była żywym człowiekiem, do tego dobrze znającym życie.

Nad ranem Janka przestała się sprzeciwiać. Zaczęła się zwierzać. Wyjawiała powód przyjazdu. Opowiedziała o swojej pracy i utraconej miłości.

– Pomogę ci, dziecko – zapewniła gospodyni i obiecała: – Wyjdiesz z tego, tylko mi zaufaj. Zresztą, co innego ci pozostało? Nawet nie wiesz, jak trudno jest się targnąć na swoje życie!



Budzę się nie do końca świadoma, jak zakończyły się wczorajsze dysputy z kobietą, której imienia nie pamiętam. Mam ciężką głowę, ale sobie z tym poradzę. Znam lekarstwo – klin i prysznic. To się sprawdza od kilku miesięcy. Na szczęście nie jestem skrepowana, gdyż mój pokój

ma osobne wejście. Mogę w nim bez przeszkód realizować wszelkie zamierzenia. Jednak gościnność właścicieli pensjonatu trochę hamuje moje zapędy. Zanim zdążam zanurzyć usta w zbawiennym napitku, ktoś puka do drzwi.

– Proszę – mówię, odstawiając kieliszek.

– Dzień dobry, przyniosłam śniadanie i ziółka, na początek – moja gospodyni z tacą jest już w pokoju. – A potem niespodzianka.

– Dziękuję, to dobry pomysł – odpowiadam, choć wcale tak nie uważam, ale nie chcę być niegrzeczna. Mój żołądek na kacu nie potrzebuje żadnych pokarmów. Dlatego zanim wezmę do ręki widelec, czekam, aż wyjdzie. Ona jest jednak uparcie stanowcza. Wiem, że jej nie oszukam. Zajadam zatem jajecznicę wbrew sobie, dla świętego spokoju, i ze zdziwieniem stwierdzam, że mi smakuje. Popijam gorzkimi ziołami.

Zaraz po wyjściu gospodyni odruchowo łapię za kieliszek, ale jakoś nie mam ochoty na jego zawartość. Odstawiam go zatem. Biorę prysznic, nie myśląc już obsesyjnie o śmierci. Jakby nagle zabrakło mi chęci do spotkania z nią. Mam ochotę się położyć, czuję się zmęczona. Zmierzając w kierunku łóżka, słyszę pukanie do drzwi. Gospodyni, nie czekając na moje „proszę”, wchodzi.

– Oto niespodzianka – mówi. – Bo jak się upijać, to tylko czymś dobrym. Zatem mamy tu winko i wiśnióweczkę. Od czego zaczynamy? – pyta zupełnie niepotrzebnie, bo nie czekając na moją odpowiedź, nalewa do kieliszków wiśniówkę. Na komodzie ustawia świece, choć dzień w pełni. Zasłania okna. Jest prawie tak, jak lubię... Tylko ona mnie zastanawia... Co chce osiągnąć? Jaki ma cel w tym, co robi? „A może znalazłam koleżankę po fachu? No i co na to jej mąż?”, przemyka mi przez myśl.

Jednak po paru kieliszkach znikają wszystkie pytania. Rozmawiamy o niczym i o wszystkim. Ten schemat, czy też rytuał, powtarza się za każdym razem, kiedy się budzę. Jedzenie, zioła, które w moich ustach straciły swoją gorycz, bo już do nich przywykłam. Potem wiśniówki, pigwówki, orzechówki. I sen. Przez kilka dni jeszcze nie udało nam się dojść do wina. Tracę przy tym kontrolę. Nie wiem, czy jest noc, czy dzień. Kołowrotek.

Nadszedł w końcu czas, kiedy wymiotuję na samo pukanie do

drzwi. Nie mogę patrzeć na alkohol. Nieważne, jakiej jest produkcji, bo ileż można wlać w siebie wódki? Nie mogę też patrzeć na gospodynię, ale ona nie ustaje w boju do momentu, w którym piję już tylko zioła. Wtedy następuje konfrontacja z nałogiem. Zwijam się w embrion i czekam, aż minie ból – ale nie fizyczny, bo reakcja ciała ograniczyła się do nadmiernych potów i lekkiej gorączki, lecz ból wynikający ze świadomości straty. To dziwne uczucie, zważywszy, że nie wiadomo, o jaką stratę chodzi. Stratę przyzwyczajenia czy rytuału? Jednak w tym wszystkim cieszy mnie, że w ogóle zaczęłam odczuwać cokolwiek innego. Jak boli, to znaczy, że jest. A jak jest, to wypiera myśli samobójcze.

– Nic tu po tobie – mówi do mnie gospodyni. – Tutaj już niczego nie wymyślisz. Jedź do Niego, jeżeli On rzeczywiście jest, jak mówisz, tego wart. Albo wracaj do dzieci. A my będziemy trzymali kciuki, żeby się wam powiodło. O miłość trzeba walczyć.

A gdy wsiadam do taksówki, która odwozi mnie na ten zapyziały dworzec, szczęśliwie położony tuż przy granicy niemieckiej, krzyczy:

– I zapraszamy was razem.

Długa droga przede mną... Jadę zatem ratować miłość. Zanim wsiadę do pociągu, dzwonię do teściowej, żeby ją uspokoić i zapytać, jak się mają dzieci. Wszystko w porządku. Wypraszam u niej jeszcze kilka dni wolnego i puszczam się w niemiecką otchłań. Pełna obaw. Nie wiem, jak P.O.S.O. mnie przyjmie i czy w ogóle będzie chciał ze mną rozmawiać. Ponieważ w porywie złości wyrzuciłam swój telefon, nie mam do Niego numeru. Ale chyba lepiej rozwiązywać takie sprawy twarzą w twarz.

Wysłuchując się w stukot kół, wyobrażam sobie, że mi wybaczy.



P.O.S.O. od kilku dni koczował pod domem Janki. Na zamkniętych drzwiach przyklejał karteczki, na których pisał, że ją kocha i przeprasza. Na klamce powiesił bukiet czerwonych róż. Próbował wypytywać sąsiadów, czy nie wiedzą, gdzie się podziała. Czy znają kogoś, kto coś wie, bo przecież nie mogła tak po prostu zniknąć, zapaść się pod ziemię. Nikt jednak nie chciał z Nim rozmawiać. Nie rozumieli Go, a ponadto nie chcieli się mieszać w nie swoje sprawy. Tak było bezpieczniej. Nie

wiedzieli przecież, kim On jest. Po kilku dniach się poddał. Na drzwiach napisał numer swojego telefonu. Markerem, żeby się nie rozmazał. Zakładał, że Janka wróci do mieszkania, chyba że stało się to, czego obawiał się najbardziej. Odrzucał jednak tę myśl daleko za siebie.

Przygnieciony smutkiem, postanowił pojechać do matki, do swojej ojczyzny. Nie chciał znosić pustki własnego domu, gdzie spędził z Janką tyle pięknych chwil.



Niemcy, miasto M., maj 2013, trzeci powrót do pracy

Do M.M.U. docieram nad ranem. Mam za sobą kilkanaście godzin koszarnej podróży z kilkoma przesiadkami i długim oczekiwaniem na pociągi w pustych, zimnych poczekalniach. Ale dojechałam. I zaraz będę u Niego.

W portfelu mam trochę pieniędzy. Niewiele, jednak na taksówkę w zupełności wystarczy. Zresztą, po co się martwić na zapas? Mam kartę, na której powinny być jeszcze jakieś skromne oszczędności. Z zaciekawieniem przyglądam się kierowcy. Może to Jego znajomy albo przyjaciel? Wszystko, co może dotyczyć P.O.S.O., jest mi bliskie. Chcę tego dotykać, cieszyć się tym, dlatego staję się dla taksówkarza niezwykle miła i rozmowna. Bez nienawiści i strachu spoglądam za okno. Jego miasto nie może mnie przerażać.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce w dobrym nastroju, pełna optymizmu, daję taksówkarzowi wysoki napiwek – wszystko, co mam w portfelu. Dziwi się, a ja się uśmiecham.

Jestem trochę stremowana, gdy naciskam na dzwonek. Ale P.O.S.O. nie otwiera. Trochę mnie to zastanawia, gdyż jest piąta rano, a On nie ma w zwyczaju pracować o tak wczesnej porze. Co teraz? Gdzie się podziać, schronić?

Nie pozostaje mi nic innego, jak zanocować w hotelu czy pensjonacie. Niedaleko znajduje się postój taksówek, a przy nim bankomat. Wypłacam pieniądze. Niestety, nie przychodzi mi do głowy, aby sprawdzić stan konta. Podróż do taniego hotelu, do którego zawozi mnie taksówkarz, kosztuje niecałe dziesięć euro.

Zanim zasnę, uzmysławiam sobie, że przecież nie zostawiłam Mu żadnej wiadomości o tym, że jestem. „Zajmę się tym jutro”, postanawiam.



Nazajutrz Janka kupiła nowy aparat telefoniczny, zapisała jego numer na kartce i wrzuciła do skrzynki pocztowej P.O.S.O., ponieważ tak jak i poprzednim razem nie zastała swego ukochanego w domu.

Pieniądzy starczyło jej, by zapłacić za jeszcze jeden nocleg. W hotelu miała dostęp do internetu. Mimo wszystko zaczęła panikować. Zdawała sobie sprawę, że jeżeli On nie pojawi się następnego dnia, zostanie bez środków chociażby na powrót do domu. Wiedziała też, że gdyby nawet udało jej się jakimś cudem wrócić do Polski, to i tak nie będzie miała za co żyć. I choć zdarzały się w jej życiu różne cuda, nie chciała teraz na nie liczyć. Niegdyś miała w zwyczaju kwitować wszystkie porażki i wzloty słowami: „Jakoś to będzie! Przecież i tak wszyscy umrzemy”. Znajomi śmiali się z Janki, kiedy tak mówiła, lubili jej specyficzny stosunek do życia. Ale teraz Jance nie było do śmiechu. Do głowy przyszła jej myśl, żeby zadzwonić do Adele... „Na pewno mi pomoże po tym, co razem przeszliśmy z Ritą. Przecież ojciec Adele zapewniał, że zawsze mogę wrócić”.

Wystarczyło znaleźć numer przybytku w internecie. Proste. Pierwszy raz od dnia przyjazdu do miasta M. Janka zapragnęła napić się alkoholu. „Tak łatwiej się myśli”, usprawiedliwiała się nie wiadomo przed kim, gdy za ostatnie grosze kupowała wina w pobliskim sklepie. Dwa. Uznała, że jedno nie wystarczy do podjęcia decyzji o powrocie.

Po winie łatwiej się myśli, ale też łatwiej przekracza niewidzialne granice.



Tak jest zdecydowanie lepiej – ja, wino i poszukiwanie znienawidzonego przybytku. Ku mojemu zdziwieniu w M.M.U. są ich zatrważające ilości. Kluby, pokoje na wynajem, ogłoszenia prywatne, prostytutki, transwestyci, lesbijki, homoseksualiści, pary, panowie... „Są nas tysiące! Jak ja, czterdziestoletnia kobieta, zdołałam się przebić w tej dżungli wynaturzeń i wyuzdania? Zarobić jakiegokolwiek pieniądze? Wcale zresztą nie ma!”.

Wobec ogromu ogłoszeń czuję się onieśmielona. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, jak ogromny jest to „przemysł”, bo inaczej tego nie można nazwać. „Wielka fabryka orgazmów czy samotności i zagubienia?”, rozważam. „Gdzie się podziała w tym wszystkim godziwość, normalność? Gdzie zawieruszył się Bóg lub dokąd uciekł? A może został przegnany? W tym całym bagnie – ja, trybik. Może maleńki, ale jednak. Z takich maleńkich składa się to całe szaleństwo.

Przerażające! Ktoś musi na tym zarabiać krocie. I wcale nie trzeba nikogo zmuszać do sprzedawania się, przeciwnie – samemu trzeba się prosić o termin i miejsce. A jak już zostaną zapewnione, nikogo nie obchodzi, czy dziwka zarabia i ile. Takie czasy”.

Na przekór zdrowemu rozsądkowi wyszukuję miejsca nieznane, bo nie chcę widzieć ani Jej Kurewskiej Mości, ani Niki, ani wałkować tematu zmarłej Rity. Nie po to kobieta z pensjonatu męczyła się ze mną, abym znów popadła w jakąś indolencję. Nie mam ochoty roztkliwiać się nad sobą. Chcę być silna, nie mam czasu na bycie małą Janką, którą można sterować i prowadzić za rękę. Bo przecież miałam niegdyś swoją osobowość. Bardzo silną. I może nadszedł czas, aby ją odkurzyć? Jak ma się dziać, niech się dzieje. Co jakiś czas muszę zapewnić sobie małą dawkę adrenaliny. Taka przypadłość!

Dzwonię i tą pieprzoną, łamaną bawarszczyzną umawiam termin z nie wiadomo kim. Ważne, że na jutro. Jestem uratowana? Okaże się.

Jadę tam miejską komunikacją. Ściska mnie tłum obcych ciał, a o tej porze przemieszcza się ich dużo. Chcąc nie chcąc muszą się o mnie ocierać, dotykać mnie. Ja o nie też. Większość stanowią osoby o innych typach urody niż aryjski... No tak, Niemcy jeżdżą do pracy samochodami, pozostawiając miejsca w S-Bahnach gorszym nacjom. „A może Niemcy są na wymarcium?”, zastanawiam się. „Wiele się przecież o tym słyszy, ale co mnie to obchodzi?”

Duszę się tu i czuję onieśmielona, choć inni w ogóle nie zwracają na mnie uwagi. Zaczytują się w gazetach, książkach. Rozmawiają przez telefon lub po prostu spoglądają w okna. Jadą do pracy, podobnie jak ja, i żyją swoim życiem. Czemu zatem czuję się inna i wyobcowana? Nie mam przecież napisane na czole, że moja profesja różni się od ich profesji i że jadę na gapę.

Ze stacji pod wskazany adres idę zaledwie kilka minut. Chciałabym opóźnić moment przejścia na drugą stronę, do równoległego świata. Ale czy to ma jakiś sens? Żadnego, bo przecież nie mam innego wyjścia. Desperacja w człowieczym życiu potrafi zdziałać cuda!

Dlatego pewnie, mimo braku alkoholu we krwi, nie czuję strachu, niczym się nie martwię. A może tak zadziałały czary i zioła mojej wybawczynie? Któż to wie? Nie przejmuję się również tym, że w żaden

sposób nie jestem przygotowana do pracy. Mam ze sobą tylko małą podręczną torbę, którą pakowałam w amoku, pragnąc jednego – śmierci. Brakuje w niej kondomów, zwiewnych halek, czyli tego, co mogłoby mi ułatwić powrót do pracy, a tym samym do kraju.

„Co teraz mogę zrobić bez pieniędzy?”, zastanawiam się i sama sobie odpowiadam: „Niewiele, poza zaryzykowaniem. Mogę też przekornie wierzyć, że jakoś się uda i że mój anioł jeszcze mnie nie opuścił w tym całym galimatiasie, który sobie zgotowałam”.

Paląc papierosa, rozglądam się po zalanej słońcem ulicy. Nie wyróżnia się niczym szczególnym od pozostałych ulic w innych dzielnicach M.M.U. Są kamienice mieszkalne, mnóstwo biurowców, restauracje i sklepy. Wśród nich mieści się przybytek. W żaden sposób nie został oznaczony. Wokół panuje gwar dnia powszedniego. Ludzie wędrują wte i wewte jak gdyby nigdy nic. „A może o niczym nie wiedzą lub jest im to obojętne? Skoro tolerują multikulti, to i burdele nie robią na nich wrażenia?”

Gaszę ostatniego papierosa i wchodzę. Być może znowu do paszczy lwa...

Budynek liczy pięć pięter. Zgodnie z wczorajszymi ustaleniami, mam się stawić na parterze. Stojąc przed drzwiami, waham się, który dzwonek nacisnąć. Nie ma tu napisu „Biuro” jak w macierzystym wesołym domku. Zamykam oczy i wybieram dzwonek na chybił trafił. Słyszę szuranie butami, jakieś małe zawirowania. Drzwi otwiera dziewczyna, która mogłaby być moją siostrą bliźniaczką. Jest jak moje odbicie w lustrze. Różni nas tylko kolor oczu – ona ma brązowe. I jej włosy są dłuższe od moich, i o jakieś dwa tony ciemniejsze.

W milczeniu przyglądamy się sobie.

– Hallo, ich bin Johanna – przerywam milczenie, bo przecież nie wypada tak trwać w bezruchu w nieskończoność. Nawet gdy się przeżywa szok.

– Tak, wiem. Jestem Dorota – odpowiada po polsku, podając mi rękę.

Wchodzę do środka. I już wiem, że mój Anioł Stróż wciąż przy mnie czuwa. Uparcie i mimo wszystko.

Zanim skryję się w swoim pokoju, dziewczyna bardzo pobieżnie

pokazuje mi mieszkanie. Jest w nim pięć pokoi, duża kuchnia, toaleta i prysznic. Nic specjalnego, choć do czystości mam pewne zastrzeżenia. Ponieważ nie wygląda na zadowoloną, nie zadaję pytań i niczego nie komentuję – tego nauczyłam się u Adele. Dziewczyna krótko i rzeczowo opisuje mi obowiązujące zasady. Niczym nie jestem zaskoczona. Z mojego doświadczenia wynika, że te wszystkie miejsca działają podobnie, choć akurat tutaj nie ma żadnej kontroli. Nikt nie stoi nad tobą i nie mówi, co trzeba robić – tak jak w pierwszym przybytku oraz u Iśki. Tu najważniejsze jest to, abyś płaciła na czas za pokój. A co robisz, nikogo nie interesuje. Może cię tu w ogóle nie być. O dwudziestej pierwszej musisz wrzucić siedemdziesiąt euro do sejfów. Nie wrzucisz – wylatujesz na bruk. W tym względzie nie ma żadnej dyskusji.

„Takie wielkie miasto, a opłaty są niższe niż u Iśki. Pewnie dlatego, że przybytków jest tu od groma”, konstatuje w myślach.

Na koniec naszej niedługiej wędrowki Dorota pokazuje wolny pokój i zostawia mnie w nim, abym spokojnie przygotowała się do zdjęć. Jest ładny. Zdecydowanie przyjemniejszy od najbrzydszego pokoju w przybytku Adele.



Janka nie lubiła narzucać się ani nadmiernie łąsić do ludzi. Była w gorącej wodzie kąpana, ale ceniła punktualność. Tym razem z nieznaną jej samej cierpliwością długo czekała na Dorotę. Miały przecież robić zdjęcia, bo bez nich dzwonek nigdy nie zadzwoni. No i ile można czekać? Czas ucieka, a tym samym pieniądze, których brak boleśnie odczuwała, chociażby dlatego, że nie miała co palić. To potęgowało jej złość. Chcąc nie chcąc musiała poszukać Doroty. Nauczona doświadczeniem, że życie w przybytku najczęściej toczy się w kuchni, tam właśnie skierowała kroki. I rzeczywiście, mimo wczesnej pory znalazła ją pijącą wino z innymi kobietami. Ze złości nie przywitała się ani nie przedstawiła. Chciała skomentować brak odpowiedzialności, ale w porę ugryzła się w język. Agresją tylko pogorszyłaby swoją i tak patową sytuację.

– No, Johanna, czekamy na ciebie – wykrzyknęła Dorota jak gdyby nigdy nic, uśmiechając się na jej widok. – Siadaj z nami, napij się wina, rozluźnij. Za chwilę zrobimy zdjęcia. Będzie dobrze, nic się nie martw.

„Czy mogłabym odmówić?”, zastanawiała się Janka, popijając wino i paląc nie swoje papierosy. Choć nie była w normalnym świecie, tak się właśnie czuła. Dzięki uprzejmości zupełnie nieznanym dziewczynom, pochodzących z różnych krajów, kultur i wiar. Była tu Chinka, Nigeryjka i Turczynka. Dwie ostatnie – muzułmanki!

„I jak w tej sytuacji ma się moje postrzeganie świata? Moja ksenofobia i przekonanie, że biała rasa jest ponad?”, myślała, słuchając banalnych opowieści.

Janka przyrzekła sobie, że odtąd już nigdy żadnego człowieka nie będzie osądzać po pozorach!



Od momentu wystawienia zdjęć – zarówno w internecie, jak i nad drzwiami przybytku – do jakiegokolwiek ruchu w biznesie musi upłynąć trochę czasu. Dlatego folguję sobie, popijając wino, tym bardziej że nie muszę się o nic martwić. Dziewczyny po mojej nieśmiałej uwadze o braku podstawowych środków do podjęcia pracy, podzieliły się ze mną wszystkim, co miały. Na stole w kuchni znalazły się – kondomy, środki nawilżające, ręczniki papierowe, halki, kosmetyki, a nawet pieniądze. Te jednak z zaznaczeniem, że sponsoruję, jako wkupne, alkohol na dziś, a wszystko pod warunkiem, że nigdy nie będę obojętna na losy ludzi z pogranicza, z dołu, a tym bardziej na los koleżanek po fachu! Bez względu na to, jak potoczy się moje życie, czy będę na górze, bo wjadę windą na półpiętro, czy na poziom pierwszy (Wyżej przecież i tak nam nie pozwolą!).

I co? Przyrzekam im to, trzymając rękę na sercu. Zobowiązuję się w burdelowej kuchni, że nie zapomnę o potrzebujących. „Czy to nie przewrotność losu”, zastanawiam się potem, gdy wszystkie już uciekłyśmy do swoich światów, „że akurat ten świat jest tak napiętnowany?”

Mimo zmęczenia winem, nie mogę zasnąć. A to za sprawą grobowej ciszy, która tu zapada. Minęło bowiem kilka godzin od czasu, gdy rozeszłyśmy się po pokojach, a ani jeden dzwonek nie drgnął. Stagnacja. „Ciężko będzie zarobić tutaj nawet na *Miete*”, myślę z lękiem. „I co wtedy? Wyrzucą mnie na bruk! Gdzie się podzieję? Czy nie sponiewieram się jeszcze bardziej?”

Na korytarzu słyszę szuranie, a potem trzaśnięcie drzwiami. Z przerażeniem spoglądam na zegar. Dwudziesta pierwsza tuż, tuż...

Strach o to, co może mnie za chwilę spotkać, ale przede wszystkim niemoc wyzwała we mnie złość i agresję. Wyładowuję ją początkowo na tym moim wspaniałomyślnym Aniele Stróżu, który zadbał prawie o wszystko, choć zapomniał o najważniejszym – o ruchu w biznesie! Przeklinam go w myślach, a ponieważ nijak to nie pomaga, wychodzę z pokoju. Chcę z kimś porozmawiać, porobić coś, aby choć na chwilę odsunąć lęk przed nieznanym.

W kuchni nie ma nikogo, a po naszej gwarnej imprezie pozostały tylko puste butelki, brudne szklanki i pety. Zabieram się za sprzątanie, co na chwilę odsuwa ode mnie czarne myśli. Kiedy w kuchni lśni, przenoszę się wraz ze swoimi emocjami do łazienki. Doprawdy nie wiem, jak nie wstyd tak miłym kobietom pracować w brudzie, nie wspominając o wstydzie przed K. Może właśnie dlatego tu nie przychodzą?!

Wychodzę do sklepu na róg, pomna swojej obietnicy. Kupuję butelki wina i małe co nieco na przekąski. Niech trochę będzie jak w domu. Ładnie przystrajam stół, zapalam świece. I choć nie chcę się do tego przyznać, liczę, że dziewczyny pomogą mi dzisiaj finansowo...



O tym, jak złudne to były życzenia, Janka przekonała się niemal godzinę po upływie terminu zapłaty. O dwudziestej drugiej, czekając na wyrok, nie śmiała wykonać jakiegokolwiek ruchu poza tępym wpatrywaniem się w upływające na zegarze minuty. Kiedy w końcu usłyszała zgrzyt klucza przekręcanego w zamku, odetchnęła z ulgą, bo w życiu nauczyła się, że lepiej stanąć twarzą w twarz z diabłem, niż go na wyrost malować.

Zanim weszli do kuchni, zdążyła poprawić włosy, zgasić papierosa i otworzyć okno. Przywitała ich, stojąc niemal na baczność. Na trzęsących się nogach.

Było ich trzech.

„Nie mam szans”, pomyślała. „Wywalą mnie na zbity pysk”.

Zdołała tylko się przedstawić, na więcej nie było jej stać, głos uwiązł w gardle. Ku zdziwieniu Janki mężczyźni przywitali się bardzo

przyjaźnie. Zapytali, czy miała dobrą podróż oraz czy podoba jej się nowe miejsce.

Nie odpowiadała, kiwała tylko głową, cały czas zastanawiając się, co powie, kiedy poproszą o zapłatę za pokój. Ale oni w ogóle o to nie pytali. Częstowali się tym, co Janka przygotowała, jakby było oczywiste, że poczęstunek został przygotowany właśnie dla nich.

– Johanna, wiesz, że jesteś tutaj sama? – zapytał jeden z nich. – Dziewczyny uciekły, nie płacąc, jak to zwykle bywa, gdy nie ma ruchu. Ale nie musisz się bać, mamy tu kamery. Jednak dzisiaj, dla spokojności twojej i naszej, napij się wina, odpocznij. A jutro będzie lepiej. Aha, i zamknij okno, za to płaci się karę.

„Uciekły? Jak to?” – zastanawiam się. „Przecież to nielogiczne, zostawiły mi pieniądze na imprezkę! W takich miejscach niechętnie oddaje się swoje ciężko zarobione pieniądze. Mają one podwójną wartość, doskonale o tym wiem. Może coś je przestraszyło, przegnało? No, a jeżeli nawet, to dlaczego nie zabrały mnie ze sobą?”

Ale co tam, stało się. Rozważania niczego nie zmieniają. Muszę dbać o swoje sprawy, dlatego bez ogródek mówię, że nie mam na *Miete*. Patrzą na mnie zdziwieni.

– Johanna, ty płacisz za czynsz dopiero jutro, spokojnie. A jak nie zarobisz, to zapłacisz pojutrze. Nie dajmy się zwariować. Uważaj na siebie. Dopóki jesteś sama, raczej nie otwieraj drzwi. Ale oczywiście decyzja należy do ciebie.

I wychodzą. Zostawiają mnie sam na sam z niedowierzaniem. I na szczęście z winem.

Czy jest się nad czym zastanawiać? Nie! I tak nigdy nie zrozumieć różnych zachowań nieadekwatnych do sytuacji.

No i teraz chyba jednak mogę się przeprosić z Aniołem Stróżem. Jestem sama, nikt nie zawraca mi głowy głupotami, banałami. Mam wszystko, czego mi trzeba. Poza pieniędzmi i Nim, ale i na to przyjdzie czas. Mimo napomnienia uchylam okno, żeby pooddychać świeżym powietrzem i popatrzeć choć na skrawek nieba. A noc jest przepiękna, gwiaździsta.

Czy boję się po wydarzeniach ze sztywniakiem? Nie, nie ma we mnie lęku. Może dlatego, że ufam w to, iż drugi taki psychopata szybko

się nie trafi. A może dlatego, że obiecałam sobie stanąć z nim jeszcze raz twarzą w twarz, by mu w nią napluć. Wiele razy wyobrażałam sobie tę sytuację, dlatego oswoiłam strach. „Zajmę się tym jutro”, obiecuję sobie. Teraz piję wino i czekam na telefon od P.O.S.O. Kiedyś będzie przecież lepiej!



Dzwonków w ciągu nocy było wiele. Wbrew ostrzeżeniom managerów Janka przyjęła kilku klientów. Odwaga przełożyła się na finanse. Zarobiła nie tylko na *Miete*, ale i na swoje podstawowe potrzeby. I trochę, starym zwyczajem, pod szafę, na zaś. Bo przecież będzie musiała jakoś żyć po powrocie do domu.

K. trochę różnili się od tych, którzy odwiedzali przybytek u Adele, i całkowicie od gości odwiedzających progi Iśkowego domu. Próbowali negocjować ceny jak na targu. Wyklócali się o pięć euro. Jednak nie zeszła z ceny, bo niby dlaczego? Jej sprzeciw sprawiał, że mężczyźni szybko przystawali na obowiązujący cennik. Skoro jednak próbowali się targować, mieli powody – ich zachowanie świadczyło o tym, że wcześniej inne dziewczyny się na to godziły!

„Jacy by K. nie byli”, stwierdziła Janka, „pieniądze od nich i tak parzą w ręce. Z jednej strony są niezbędne, z drugiej – śmierdzące. Jak pogodzić te fakty?”, zastanawiała się, tuląc do swoich marzeń w pościeli, w której spały setki jej podobnych. A każda z jakimiś problemami, pragnieniami... „Nas przecież są miliony, nie tylko kurw. Nas, prostytutujących się po świecie tylko dlatego, że bogaci i ci na górze tak sobie to wykombinowali, aby im się żyło lepiej...”, oskarżała w myślach Janka. „W przybytku przynajmniej wszystko zostało w jakiś sposób uregulowane i nazwane po imieniu. Są jakieś granice, których nie wolno przekraczać. Zasady, które muszą być zachowane. A jeśli ich nie przestrzegasz, to fora ze dwora albo ogolona głowa, samosąd”.

Takie rozważania pochłaniały Jankę również następnego dnia, gdy wczesnym rankiem w tłumie i ścisku znów jechała do Niego, żeby zapytać wprost, dlaczego do niej nie dzwoni. Czy dlatego, że tak bardzo jej nie kocha?

„Tłumy o tej porze to normalne. Ludzie jadą gdzieś do swoich małych światów, po jakieś okruchy marzeń, spełnienia”, myślała Janka,

spoglądając ukradkiem na szarą masę, zlepek różnych narodowości, przygnanych do obcego kraju w poszukiwaniu lepszego, a często po prostu normalnego życia. Na twarzach pasażerów miejskiego autobusu nie zauważyła jednak oznak buntu, w ich postawach nie dostrzegła gotowości do działania. „Chęć do walki z systemem zostawili w domach”, oceniła Janka. „Poddali się, bo przywykli. Muszą przecież coś jeść i choćby złudnie, ale się realizować. Reklamacji składać nie będą”.



„Jestem jak oni”, przyznaję w głębi serca. „Z jednej strony klaunem w cyrku zwanym życiem, z przyklejonym do twarzy sztucznym uśmiechem, oszustką, która okłamuje samą siebie, bo też się godzi na minimum od życia. I kurwą na dodatek. Z drugiej strony kobietą, którą spoliczkował los, rzucił w nicość. Zepchnął na bocznicę. Podałam się, zgubiłam sens życia. Jestem zatem jak ci tam – szarą masą. Ale może lepiej być bliżej swoich?”

Po raz kolejny odbijam się od Jego drzwi. Zaczyna mnie to martwić. Może się wyprowadził i nigdy Go już nie spotkam, nie odnajdę? Co wtedy? Jeszcze bardziej nie wybaczę sobie swojej głupoty i skurwienia. Takiego drugiego człowieka nie znajdę na całym świecie...

Nie mam ochoty po raz kolejny wtapiać się w tłum, wracam taksówką. Na dole w sklepie kupuję dwa wina, bo muszę „upić” marazm. Nie było mnie zaledwie godzinę, a w przybytku nastąpiła zasadnicza zmiana. Nie jestem sama. Mam nowe koleżanki. Trzy.

Rzucam krótkie „cześć” i nie przedstawiając się, znikam w pokoju. Gdzie podziała się moja kultura osobista, dobre wychowanie? Zniknęły, podobnie jak rozsądek i chęć do życia. Zgubiłam to wszystko w drodze między dwoma światami, w których żyję, pozornie różnymi, ale tak samo przeklętymi.

Nie liczę upływającego czasu, bo i po co? Do niczego mi się nie spieszy. Dzwonków jest jak na lekarstwo, co bywa denerwujące. Gdy któryś dźwięczy, słyszę, jak jedna z wybranek stuka obcasami i otwiera drzwi. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, że melodie różnią się, a ja nie wiem, jak brzmi mój dzwonek. Aby wsłuchać się w ten dźwięk i go zapamiętać, muszę opuścić swoją kryjówkę. Najchętniej

przemknęłabym niezauważona, ale to się nie udaje. Nie jestem przecież niewidzialna. Niestety.

Sprawdzam swój dzwonek tylko raz. Z całych sił staram się go zapamiętać. Na szczęście nie jest świdrujący jak ten u Adele. Kiedy wracam do siebie, z kuchni dobiegają śmiechy. Nie trzeba być bystrym, aby domyślić się, z kogo się śmieją. Czy jest mi przykro z tego powodu? Nie, przywykłam bowiem w tych miejscach do wielu dziwnych zachowań. Mimo to w pokoju oddycham z ulgą. W oczekiwaniu na K. przenikam do innego świata. Wirtualnego.

Ta niby-ucieczka pozwala oderwać na chwilę myśli od poczucia bezsensu. Nie tylko bezsensu mojego pobytu tutaj, ale braku sensu w ogóle. Depresja powraca ze zdwojoną siłą. Starania gospodyni zdały się na nic, a wino już nie pomaga...

Oglądając po raz wtóry te same filmy, uporczywie odpycham od siebie powracające wspomnienie, kiedy to siedziałam w paszczy lwa i przyglądałam się dziewczynom. Dziwiłam się, z jaką łatwością przychodzi im szydełkowanie czy oglądanie telewizji, czyli oddzielanie tych dwóch odmiennych światów. Brzydziłam się nimi, gardziłam nimi, szydziłam z nich w myślach, przygnieciona swoim bólem, płacząca z powodu własnego upadku. Byłam też pewna, że nigdy nie stanę się taka jak one. I przyrzekałam to sobie na wszystkie świętości. I oto proszę, stało się. Błuźniłam. Kłamałam, bo jestem taka sama.

W oczekiwaniu na K. uciekam w byle co. Wiem bowiem, że czekanie rodzi frustrację, determinację, agresję... To wszystko w połączeniu z nudą sprawia, że dzwonię do sztywniaka.

Początkowo wydaje się być niemile zaskoczony, ale jestem niezwykle uprzejma i taktowna, więc odwzajemnia się tym samym. Próbuje namówić go na wizytę w mieście M. Kręci, miga się i zadaje mi w końcu pytanie:

- Johanna, ty naprawdę nie wiesz, kim jestem?
- No, ty to ty. Pierwsza litera imienia to „E” – udaję głupią.
- Ale nie znasz mnie z telewizji? Jestem przecież osobą publiczną
- sapie do słuchawki.
- Nie oglądam telewizji, w szczególności niemieckiej, i nie interesuje mnie, kim jesteś w mediach ani co robisz. Mam to

w poważaniu, ale wiem jedno – jesteś zboczeńcem, który mnie skrzywdził – krzyczę. – I nie daruję ci tego, zwyrodnialcu.

Groźby już pewnie nie usłyszał, bo odłożył słuchawkę. Tak więc to on. Sama jestem w szoku, że go tak łatwo rozgryzłam. Wszelkie podejrzenia względem niego potwierdziły się, kiedy usłyszałam w słuchawce charakterystyczne sapanie.

„Moja historia powinna być przestrożą dla kobiet nie tylko z branży. Tylko komu mogę ją opowiedzieć i kto w to uwierzy? Mnie, kurwie! Policja na pewno nie. Mam tylko nadzieję, że się przestraszył i na jakiś czas zaniecha swoich praktyk. Nie zasługuje nawet na to, żeby mu napluć w twarz”, stwierdzam w myślach.

Nas, kurw, jest stanowczo za dużo. Kilka ciał na jedną męską głowę. Na jeden portfel. To, że czasem w tym molochu zadzwoni gdzieś dzwonek, pozwala trwać w złudzeniu, że wszystko jeszcze jakoś się kręci. Pięć piętér, a na każdym pięć kobiet. W całym M.M.U. setki takich domów! Przeróżające... Do tego ta głupia, złudna nadzieja, że za chwilę niefart się odwróci, bo przecież może. Niekiedy tak się dzieje. Sama byłam świadkiem czegoś podobnego, ale tak się zdarza w jednym przypadku na sto albo na tysiąc.

Odnoszę wrażenie, że na moich oczach umiera ten wyklęty kurewski świat. Nie trzeba się długo zastanawiać nad tym dlaczego. Po prostu rozciągnął się na ten niby-normalny. Kurewstwo jest teraz wszechobecne. Nie ma powodu, dla którego K. mieliby ochoczo płacić sto pięćdziesiąt euro za udawane orgazmy, skoro wystarczy pójść na dyskotekę czy do galerii i bez wielkich kosztów zaspokoić swoje potrzeby. Seks stał się oczywisty, modny, cool. Przestał być tematem tabu, jak za moich czasów, kiedy to na pocałunek chłopak musiał czekać miesiącami. Teraz seks jest wszędzie, dostępny dla wszystkich.

Klienci nie są zainteresowani nie tylko moją wiekową osobą, ale też młodziutkimi dziewczętami. Zatem coś jest na rzeczy. Ja pragnę zarobić jedynie na powrót do domu i na chleb. Takie minimum. Próbuje nie gdybać o tym, że wystarczyłoby czterech, pięciu K., a problem by zniknął. Takie myślenie może doprowadzić do wariacji, ale rzeczywiście wystarczyłoby mi czterech, pięciu K.

Pokornie czekam na dzwonek, a to doprowadza mnie do szału,

którego nie mam nawet gdzie wyładować. Nie mam z kim tego przedyskutować. Kiedy całkowicie tracę nadzieję, łaskawie rozbrzmiewa moja melodia. Trochę czasu zajmuje mi wybudzenie się z letargu winnego, jak również z rozmyślań, czyli powrót na ziemię. Ale K. czeka cierpliwie. Nie cieszę się jeszcze, bo przecież zawsze może zrezygnować, przestraszyć się i wyjść.

Nie wiem, jak Dorota to zrobiła, ale moje zdjęcia wyszły jej świetnie. Wyglądam na nich zdecydowanie lepiej niż w rzeczywistości. K. zostaje. Pyta tylko o cenę i płaci należność – trzysta euro. Nie negocjuje, nie targuje. Rozbiera się i nagi, bez cienia wstydu, nie pytając o drogę, idzie się odświeżyć. A ja, czekając na powrót K., buduję w myślach jego portret psychologiczny. Gdy wraca, jest dla mnie wynaturzonym zboczeńcem, seryjnym mordercą... Przeżywam traumę!

Okazuje się jednak, że K. to miły, delikatny i grzeczny pan. Po wszystkim spędzam z nim czas na przyjemnej pogawędce o niczym. I znowu sprawdza się stare ludowe przysłowie: „Nie taki diabeł straszny...”.

W ciągu dwóch godzin moja sytuacja zmienia się z niepewnej na dobrą. Mam na *Miete*, na powrót do domu i jeszcze na chleb z szynką. Czyli mogłabym się spakować i nie bojąc się o jutro, wrócić do domu. Rozważne myśli zabijam z premedytacją, zalewam winem, wyrzucam w jakiś niebyt. „Po co mi jeszcze do tego całego nieszczęścia wyrzuty resztek sumienia? Przecież skoro już tu jestem”, przekonuję samą siebie, „to nie zaszkodzi zarobić więcej. Nic się nie stanie, świat z tego powodu się nie zawali. Tym razem nie będę przeliczała, ile czasu musiałabym pracować w swoim kraju na pieniądze, które tu zarobiłam przez niecałą dobę”. W taki sposób usprawiedliwiam się, sama nie wiem przed kim – przed sobą czy moim Bogiem, którego obecności od dawna nie czuję. Chyba jeszcze nie wrócił ze spaceru, na który wysłałam Go kilka miesięcy temu.

Oczyszczona z wyrzutów, idę oczyścić ciało. Ta czynność sprawia mi tutaj największą przyjemność ze wszystkich. Pysznic po wynajęciu ciała... A pieniądze pod szafą i w sejfie. Za pokój też zapłaciłam. Jestem na tyle zadowolona, że uśmiecham się do jednej z koleżanek, którą spotykam we wspólnej łazience. Ciasnota zmusza do bliskich kontaktów.

Przedstawiamy się sobie. Nie zapamiętuję jej dziwnego imienia, a poza tym wiem, że to nie ma znaczenia.

Ona pyta mnie o coś, ale nie chce mi się jej rozumieć. Choć może powinnam się postarać, może potrzebuje pomocy tak samo jak ja wczoraj. Przynależałam przecież, że nigdy nie uchylę się od pomagania. Ale sprawę postanawiam przełożyć na jutro. Tak będzie lepiej – dla mnie. Niech wiedzą, że nie mają do czynienia z jakąś nowicjuską!

Kładę się do łóżka. Przygotowana do pracy, czyli w makijażu, halce i pończochach, jak kretyńska.

Czujna na tyle, aby przez chwilę rozróżniać dzwonki, a gdy dzwoni mój, odpływam w sen. Z głową zapadniętą w tę samą poduszkę, na którą spływał pot miłego K. I to jest właśnie ten zaklęty krąg, który kreśli sobą kurewstwo. Zapadnięcie się w studnię bez dna. Czy można spaść niżej?

Ta upiorna łatwość zarobienia pieniędzy w krótkim czasie całkowicie przesłania oczy. Usypia czujność. Omamia. Zabija wszelki dyskomfort wynikający z rozkładania nóg przed mamoną. Znikają dylematy związane z tym, że K. śmierdzą potem, są niemili, upierdliwi, wymagający czy targują się o cenę jak o worek ziemniaków na placu. Wszystko to niknie, gdy zamyka się oczy i liczy sekundy do zaspokojenia kontrahenta, wijąc się w udawanej rozkoszy.

Tak wygląda świat oglądany przez kurewskie okulary.

Nie wiem, czy ze snu budzą mnie koszmary, czy głośnie pukanie do drzwi. Zalana potem i przestraszona, spoglądam w okno zaciągnięte czarną roletą. Mimo to wiem, że jest dzień. Zapewne piękny, słoneczny, bo przecież za oknem wiosna w pełnym rozkwicie. Zanim zareaguję na to powtarzające się, uporczywe napieranie na moją osobność i otworzę drzwi, coś w myślach postanawiam: „Przysięgam, że odejdę z tych światów. Bo nie ma w nich miejsca dla takich jak ja, brudnych i słabych ludzików – ani w jednym świecie, ani w drugim. I tu, i tam jestem nikim”.

Słowa przysięgi świadczą o tym, że znów dopada mnie depresja... Po chwili słyszę pukanie do drzwi. Nie znoszę takiej nachalności, bezpodstawnej ingerencji w moje życie! No bo czego mogą ode mnie chcieć? Nie znam ich i nie chcę znać. W końcu jednak otwieram, trochę dla świętego spokoju, a po trosze z ciekawości. Nieumalowana,

rozmazana, zaspana. Obraz nędzy i rozpaczy. Cóż, tak wyglądasz, jak się czujesz. Mam nadzieję, że pukający ma konkretny powód, żeby zawracać mi głowę.

Pod moimi drzwiami stoi dziewczyna z toalety, uśmiechnięta, ma się zatem dobrze. Nie jestem dla niej miła. Nie chcę jej rozumieć, ale rozumiem. Zaprasza mnie do kuchni na kawę.

– W tych miejscach nie wolno się tak izolować, Johanna – mówi. – Zwariujesz.

Kawa już czeka na stole.

„Wariatka”, myślę. „Albo desperatka... A ja takie lubię”.

– OK, daj mi pięć minut – odpowiadam.

W sumie jednak nie mam ochoty na pogaduszki o niczym. Pomna historii z Nicole, nie chcę się wikłać w żadne znajomości. Tutaj nie wiesz, kto kim jest i jaką może ci zgotować niespodziankę. Jednak nie uchodzi wrzucać wszystkich do jednego wora. I nie dalej jak wczoraj przyrzekłam sobie, że nie będę nikogo oceniała po pozorach...



Kiedy Janka weszła do kuchni, kawa stała już na stole, zaparzona w miedzianym tygielku. Bez mleka, mocna jak diabeł. Z dużą ilością cukru. Ani chybi przyrządzona po turecku.

Niepozorna mała czarna postawiła myśli Janki na sztorc. Dzięki niej początkowo banalna, nieklejąca się rozmowa z nowo poznaną dziewczyną nabrała znaczenia. Stała się interesująca do tego stopnia, że Janka zaczęła nie tylko słuchać, ale i rozumieć sens słów.

Przekaz dziewczyny był podobny do tego, co wcześniej sugerowały inne koleżanki: uciekać jak najdalej stąd. Póki nie jest za późno. I pod żadnym pozorem się nie odwracać. Każda z nich mówiła o tym w inny sposób, ale wszystkie miały na myśli to samo.

Iman, bo pod takim imieniem dziewczyna ukrywała prawdziwą tożsamość, opowiadała swoją historię bardzo spokojnie, ale obrazowo i dosadnie.

Była na pół-Turczynką, na pół-Bułgarką. Muzułmanką. W takiej wierze, kulturze i tradycji została wychowana w małej tureckiej wiosce. Całkowicie posłuszna Allahowi oraz woli rodziców, nie sprzeciwiła się, kiedy w wieku lat piętnastu sprzedano ją niewiele starszemu mężowi.

Żyła zgodnie z nauką Koranu. Cicha, oddana, rodziła dzieci – podobnie jak matka, siostry i przyjaciółki. Ale nadszedł dzień, kiedy zrozumiała, że takie życie nie daje jej szczęścia. Okres buntu zbiegł się z chwilą poznania mężczyzny z sąsiedniej wioski. Szaleńczo się w nim zakochała. Razem uciekli do innego, bezpiecznego świata, gdzie jej nie groziła śmierć za cudzołóstwo, jemu zaś – zemsta ze strony braci żony. Oboje liczyli się z konsekwencjami: nigdy nie zobaczą swoich dzieci i nigdy nie będzie dla nich powrotu. Nie przypuszczali jednak, że nowy świat to nie tylko raj dla ich miłości, ale i miejsce panowania okrutnych, nieznanym im reguł.

Aby przetrwać i zapewnić sobie byt, Iman zaczęła sprzedawać swoje ciało.

Pierwsze, co zrobiła, to wyrzuciła z serca Allaha, zapomniała o nakazach Koranu i o dzieciach. On musiał pogodzić się z tym, że ukochana jest dotykana, a tym samym lżona przez innych mężczyzn. Zaczęło się to wszystko ponad dziesięć lat temu, trwa do dziś i nie wiadomo, kiedy się skończy. Nie potrafili zarobić pieniędzy w inny sposób. W pogoni za złudnymi marzeniami o domu i wspólnym potomstwie wpadli w sidła diabła, dali się wciągnąć w jego zakłęty krąg.

Janka nie musiała pytać, czy nie żałują. Wszystko zobaczyła w oczach Iman: to rozdarcie na pół, poczucie bezsensu, bezsilność, którą codziennie widziała w swoim spojrzeniu, kiedy patrzyła w lustro. I tę pustkę duszy.

Pierwszy raz od wielu miesięcy zapragnęła pomodlić się, pojednać ze swoim Bogiem. Zrozumiała, że bez Niego nigdy nie zdoła uwolnić się od myśli samobójczych, że nie poradzi sobie z zagubieniem, nie wyjdzie z depresji. Tym samym nie mogła nawet marzyć o tym, że On – P.O.S.O. – wybaczy jej i ponownie pokocha. Nie chciała też stracić dzieci.

– Skończ z tym, Johanna! To jest bagno! Wiele brakuje, aby cię pochłonęło, a niewiele, byś się z niego wydobyła. Jesteś nowa... chociaż wiekowa – chichocze.

– Skąd wiesz, że nowa? – pytam zdziwiona, bo przecież nie rozmawiam, do cholery, z wróżką.

– Samo pytanie cię zdradza. Nie wiesz, że choć pracuje nas tutaj

bardzo wiele, to jednak się znamy. Lepiej lub gorzej, osobiście lub z widzenia. Albo ze zdjęć. Mijamy się, wędrując z miejsca na miejsce, bo wierzymy, że tam, gdzie nas nie ma, jest lepiej. Poza tym w dobie ogólnoświatowego Internetu prawie wszystko wiadomo. Twoje zdjęcia pojawiły się kilka miesięcy temu z podpisem „nowa”. A to znaczy, że pierwszy raz zawitałaś do tego miasta. Co prawda, ledwo cię rozpoznałam, bo miałaś piękne, profesjonalne zdjęcia. Poza tym tylko nowicjuszki zamykają się na długie godziny w pokoju. Izolują się, nie chcą się spoufalać z naszymi dziewczynami. Nie wniknęły do tego świata na tyle, aby czuć się pewnie.

Nie odpowiadam. Brak mi słów, żeby wyrazić, jaka jestem naiwna. Łzy same cisną się na głupi świat. Czuję się jak sztubak.

– A teraz do roboty. Idź, ubierz się, pomaluj. Za chwilę przyjdzie pacjent, pomożesz mi trochę. Nie bój się, nic nie będziesz musiała robić. Tylko patrz i śmieję się z niego, gdy dam znak. Zarobisz trochę kasy, ale nie możesz się wycofać, OK?

– OK – mruczę pod nosem.



A potem wszystko toczyło się bardzo szybko. Na dany znak Janka weszła do pokoju. Zdziwiło ją, że Iman zapaliła wszystkie światła, zazwyczaj w przybytku stwarza się przecież intymny nastrój.

Iman siedziała na środku, ubrana w skórzany strój. W jednej ręce trzymała bat, w drugiej smycz. Były same.

„To jakaś podstępna gra”, przemknęło Jance przez myśl. „Żart”.

Iman nic nie mówiła. Gestem nakazała koleżance, aby usiadła na krześle i milczała. Puściła do niej oczko i zaczęła cmokać. Na początku cicho, potem głośniej. Smycz drgnęła. Po chwili spod łóżka na środek pokoju wyczołgał się nagi mężczyzna. Na szyi miał obrozę. Język wywiesił jak zziajany pies. Reagował na komendy. Raz się rozpląszczał na podłodze, innym razem siadał. Iman wymierzała mu kary, mocno uderzając batem i krzycząc. Znosił razy z pokorą. Co jakiś czas spoglądał na Jankę, która wtedy, na skinienie koleżanki, zaczynała się głośno śmiać.

Nie przychodziło jej to łatwo. Pierwszy raz w życiu miała do czynienia z czymś równie żalnym, co przerażającym. Nigdy wcześniej

nie widziała, aby ktoś na własne życzenie pozwalał się tak poniżyć. I jeszcze za to płacił. Nie chciała oceniać tego człowieka. Nie chciała też na niego patrzeć, ale przyjęła zobowiązanie i nie miała odwrotu. W tych ciemnych, odmętnych miejscach trzeba dotrzymać danego słowa, aby zachować twarz, godność, choć może się to wydawać pokrętne i niezrozumiałe.

Jego penis naprężył się dopiero wtedy, gdy „pani” pozwoliła mu lizać swoje stopy. Zaczął się masturbować. Trwało to wieki. Krzyczał przy tym, skamlał, ale w końcu doszedł. Sperma zalała całe ciało Iman. Pacjent wstał, przeciągnął się i wyszedł do toalety. Powróciwszy, przemienił się z psa w młodego przystojnego mężczyznę w drogim garniturze.



Znowu szoruję się pod prysznicem. Zajmuje mi to dużo czasu, bo co chwilę wymiotuję. Nie chcę myśleć o tym, co widziałam, ani tego analizować. Jaki miałyby to sens?

Postanawiam wrócić następnego dnia do domu. Na telefon od P.O.S.O. mogę czekać gdzie bądź, podobnie jak na wybaczenie od mojego Boga. Jeśli się nie doczekam, potraktuję to jako karę za grzechy.

Nie myślę już o śmierci. Tęsknię za dziećmi. I właściwie jestem wdzięczna Iman za to, że mnie nawróciła. Nieważne, czy zrobiła to, chcąc mnie ośmieszyć, poniżyć czy pomóc.

Wyłączam swój dzwonek. Mam dosyć na dzisiaj. I na zawsze.

Kładę się do łóżka. Chcę zasnąć i obudzić się już w domu ze zresetowaną pamięcią... Ale nie jest mi to dane. Iman zakłóca mój spokój, wchodzi do mojego pokoju jak do swojego. Dlaczego uzurpuje sobie do tego prawo?

Siada na łóżku, podobnie jak kiedyś Niki. Dlatego jej nie ufam.

– To są twoje pieniądze, trzysta euro, bo tacy to płacą. Wiem, że jest ci ciężko, ale przecież nikt nie obiecywał, że będzie łatwo, Johanko. Zostawiam zdjęcie moich córek. I szklaneczkę whisky na dobry sen. Rano zapraszam cię na kawę.

Czekam z utęsknieniem, aż zamknie za sobą drzwi. Co jak co, ale pełna szklanka whisky przekonuje mnie do tego, aby wstać, no i schować pieniądze. Zanim to zrobię, liczę je. Zgadza się.

Idę też wrzucić do sejfu za *Miete*. Dwudziesta pierwsza już dawno minęła. I jakoś nikt nie krzyczał. Z powodu opóźnienia z opłatą świat się nie zawalił. Wszystko jest prostsze, niż mi się wydawało.

Kładę się do łóżka, wiem, że nikt już nie przeszkodzi mi w odpoczynku. Popijając, spoglądam na zdjęcie, które zostawiła Iman, nie wiem w jakim celu. Na nim trzy piękne dziewczynki, a ich imiona to – Hanifa, Radża, Widad.

Wiara, Nadzieja, Miłość.

Znowu zastanawiam się nad tym, po co Iman to robi. W co gra, jaki jest przekaz...?

Nie mogę zasnąć. Poduszka uwiera mnie w głowę pełną myśli, które stają się niewygodne. Poduszkę można wyrzucić, ale tych ostatnich nie sposób. W bólach zaczyna się rodzić świadomość siebie... Wiem, że czeka mnie nieprzespana noc, zatem ubieram się. Bez alkoholu nie uda mi się dotrzeć do rana.

W holu spotykam Iman.

– Idziesz na spacer? – pyta.

– Tak, i po jakiś usypiacz – odpowiadam.

– Głupetko, rozbierz się. Ja zawsze jestem przygotowana na wszystko, bo nigdy nie wiem, co może mnie spotkać. Czekam na ciebie w kuchni.

Zdaję sobie sprawę, że będzie to długa noc. Zakładam ciepłe kapcie i szlafrok, tak jak gdybym szła na spotkanie do najlepszej przyjaciółki, która zna mnie i akceptuje od A do Z. Bez zbędnych przefarbowań, umalowań, halek i pończoch.

„Czy odważyłabym się w obecnej chwili stanąć twarzą w twarz z moją przyjaciółką z prawdziwego świata? Z tym bagażem doświadczeń, który dźwigam na plecach?” Kiedy chcę odpowiedzieć na to pytanie, ogarnia mnie przerażenie. Jak zdołałam ukryć przed nią swój upadek? I jakim cudem ona niczego niepokojącego dotąd nie dostrzegła?

W kuchni, jak w domu, świeczki, obrus na stole, a na nim whisky i jakaś przekąska. Okna pootwierane na oścież. Nareszcie świeże powietrze. Znika zapach zgnilizny, którego w dzień trudno się pozbyć.

Mamy widok na niebo i sąsiadującą kamienicę, w której toczy się los normalnych ludzi. Wiem, że obowiązuje tu bezwzględny zakaz

otwierania okien, pod groźbą wysokiej kary. I rozumiem go. Też nie chciałabym, aby moje dzieci, jedząc kolację, oglądały pornografię. Ale Iman widocznie wie lepiej, co można, w końcu jest tutaj rezydentką, podobnie jak Rita w przybytku Adele. Bez słowa nalewa alkohol do szklanek. Swoją drogą dziwi mnie ta niefrasobliwość z jej strony, bo przecież oni, muzułmanie, nie mogą pić. Taki kontrakt zawarli ze swoim Bogiem.

– On nie widzi nocą – mówi, jakby czytała w moich myślach. – Poza tym ja się wyłamalam. Teraz jestem niewierna.

Nie odpowiadam.

– Myślisz, że my jesteśmy bardziej święci od was, krzyżowców? Jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wy. Mamy swoje słabe strony, które próbujemy schować. Łamiemy przykazania. Poza tym nie każdy z nas godzi się na bezwzględne prawa zapisane w Koranie. Szczególnie my, młodzi, nie chcemy żyć w kieracie zapisków sprzed wielu setek lat. Też idziemy z duchem czasu.

Nie wiem, czemu Iman to mówi. Czy rzuca mi rękawicę? Czy chce mnie sprowokować? Obojętnie. Milczę. Nie podejmuję wyzwania. Zachwycam się niebem. Cisza jest bardzo męcząca. Z całego serca proszę Boga o interwencję i już po chwili dzwoni dzwonek – do niej.

Wraca po chwili.

– To tylko azylanci. Nie chodzę z nimi ani nie wdaję się w dyskusję. Nie ma sensu, chcą seksu za trzydzieści euro. Poza tym śmierdzą – rzuca od niechcenia. –

A ty? Wiesz, że nie można zejść z najniższej stawki? – patrzy na mnie wyzywająco.

Kiwam głową, że wiem, bo przecież wiem, do cholery. Chyba nie jestem przekonująca, bo dodaje:

– Jeśli zaniżasz ceny, to ogolę cię na łyso!

„Żartuje czy jest poważna? A może po prostu pijana?”, rozważam, ale nie wiem, bo trudno ją rozgryźć. Dla bezpieczeństwa nie odpowiadam.

Nalewa napitek do szklanek. Kiedy myślę, że już koniec tematu, mówi z nieukrywaną złością:

– Wiesz o tym, że niespecjalnie lubi się tutaj Polki? Nie ufa się

wam. To twoje rodaczki, które jak plaga napłynęły po otworzeniu granic, zaczęły niszczyć biznes poprzez zaniżanie stawek. Byłyście pionierkami w zjebaniu go.

„Skąd miałam wiedzieć? W tamtym czasie żyłam w innym świecie...” Spinam się. Nie lubię, kiedy ktoś krytykuje cokolwiek, co wiąże się z moim krajem, choćby to były prostytutki. „Prostytutki, nie prostytutki, ale moje, bo polskie!”

Jestem gotowa teraz stanąć do walki albo dać sobie ogolić głowę. Nie pozwolę, by nas lżono, tym bardziej że lżącym jest kosmitka.

„Kim ty jesteś, Iman, do cholery?”, odkrzykuję jej w myślach. „Przecież jesteś obca, z innego świata. To ty masz się dostosować i nie masz prawa niczego tu krytykować. Dlaczego nie sprzedajesz się tam, u siebie, daleko stąd, pod czujnym okiem swojego Boga? I po co się tu pałętasz, razem z tobie podobnymi?”

Czuję się urażona do głębi, dlatego wstaję od stołu. Głośno szurając krzesłem, dla podkreślenia powagi sytuacji. Wylewam za siebie to, co mi naląła, i ustawiam szklankę do góry dnem. Dla mnie to koniec dyskusji.

– Poczekaj, Johanna. Nie chciałam cię urazić, nie odchodź, przepraszam – szepce, łapiąc mnie za rękę. – Zostań jeszcze chwilę, czasami bywam jakaś taka... złośliwa.

Tego ostatniego słowa muszę się domyślać, wysupłać je z kontekstu. Na myśl przychodzi mi również – zrzędliva, wredna. Zostaję. Wiem przecież, że nie zasnę. Czy mi jej szkoda? Czuję, że jest nieszczęśliwa, ale ja też jestem. Zastanawiam się, czy w ogóle współodczuwam z kurwami. Chyba nie, choć sama się nią stałam. Ale czy mi ktoś z tego powodu współczuje? Nie, a przynajmniej nie okazuje tego. Nikt też nie wręcza za to orderów za bohaterstwo, choć aby być kurwą, potrzeba odwagi. Nie podlega to żadnej dyskusji, nie ma co do tego wątpliwości.

– Nie gniewaj się za to, co powiedziałam. Ale tak było – przerywa moje rozmyślenia. – Sama powiedz, nie wkurza cię to, że teraz zamiast zarabiać kasę, siedzisz i słuchasz zupełnie przypadkowej osoby?

„Czy mnie wkurza? Jestem wściekła, tylko co mogę na to poradzić? Z twoim towarzystwem, Iman, mogę sobie poradzić,

wystarczy, że wyjdę z kuchni, ale na frekwencję w przybytku raczej nie mam żadnego wpływu. A jeżeli nawet, to nie wiem jaki”.

– A wiesz dlaczego tak się dzieje i kto jest temu winny? – kontynuuje swój wywód Iman. – Nasze koleżanki zza ściany, Rumunki, Bułgarki. Teraz dla nich otworzyły się granice i zjeżdżają do Niemiec masowo jak mrówki. Młode i zdesperowane, gotowe na wszystko, bo zwyczajnie są przygniecione biedą i zaniżają stawki. Za *full service* biorą od pacjentów trzydzieści euro. – Przerzywa, aby wypić całą zawartość szklanki. – I nie mają żadnych skrupułów, bo te trzydzieści euro to dla nich kosmos. Rozumiesz teraz, o czym mówiłam?

Pojęłam i też wypijam do dna. Jestem świadkiem jakichś przemian w tym niszowym świecie. O czasach, w których prostytutka była kojarzona z luksusem, trzeba zapomnieć.

Skończyła nam się woda rozmowna. Szkoda, bo noc taka piękna, a i więcej ciekawych rzeczy mogłabym się dowiedzieć. Podjadam przekąskę, którą przygotowała Iman. I nie dziwię się, że jest to mięso wieprzowe. W końcu, jak mówi Iman, w nocy Bóg nie widzi.

Spoglądam na nią i chyba pierwszy raz szczerze się do niej uśmiecham, od serca. Odwzajemnia się tym samym. Jesteśmy przecież takimi samymi ludźmi – chcemy kochać, cieszyć się, być szczęśliwi, bez względu na wiarę.

– Bóg nie potrzebuje żadnych, ale to żadnych ofiar, ani kościołów, meczetów, synagog, śmierci, ukrzyżowań, sądów, spaleń, zemst honorowych, zmywania hańb. Bóg jest wielki. Nieskończony. Jeden. Zatem po co to wszystko? Ta nienawiść? – pytam Iman, gdy stawia kolejną butelkę na stole.

Zastanawia się chwilę

– No, ciekawe – mówi, jakby naprawdę była zainteresowana moim wywodem filozoficznym.

– Byłaś kiedyś z muzułmaninem? – pyta, a w jej oczach widzę jakiegoś figlika.

– Nie wiem, nie pytałam nigdy K. o wiarę. Ta wiedza nie była mi do niczego potrzebna – odpowiadam. –

Wyobrażasz sobie, że przychodzi K., a ja się pytam, jakiego jest wyznania? A on odpowiada: „Jestem żydem” albo „Jestem

muzułmaninem”, a ja na to: „Przykro mi, ale z innowiercami seksu nie uprawiam” i zamykam im drzwi przed nosem. Ha, ha – śmieję się z własnego żartu.

Iman patrzy na mnie z politowaniem.

– Można ich jakoś odróżnić, rozpoznać? – pytam zaciekawiona. – Murzyna, wiadomo. Z nimi nie chodzę.

– A można, ale dopiero w trakcie stosunku lub tuż po. Wielu z nich jest białych, więc na pierwszy rzut oka nie rozpoznasz. Nie możesz na nich patrzeć, podczas gdy cię używają. Nie pozwalają na to. Po wszystkim wychodzą się wymyć i już do ciebie nie wracają, nawet żeby powiedzieć „do widzenia”.

Próbuję sobie przypomnieć, ilu miałam takich dziwnych K., którzy kazali mi odwracać wzrok albo zamykać oczy podczas seksu, którzy po wszystkim wychodzili do łazienki i już nie wracali. Brałam ich za zwykłych chamów, prostaków.

– No, kilku było – przyznaję, a Iman wybucha gromkim śmiechem i krzyczy: – No to, witaj, siostro! Jesteś zarażona.

– Czym Iman, jesteś obłąkana? Co ma piernik do wiatraka?

Zanim się wyśmieje, puszcza mi oczko. Ufam, że to jakiś dowcip.

– Niektórzy muzułmanie wierzą, że podczas kontaktu z niewierną przekazują jej swoją wiarę, rozumiesz? – wyjaśnia.

„Rozumiem, ale czy to jest aż takie śmieszne?”, zastanawiam się. „Przekazywanie islamu poprzez stosunek?”

Dopiero teraz to wszystko do mnie dociera. Pijemy za przesady, wierzenia i ludzką głupotę, ale nie śmieję się w głos, bo naprawdę mnie przestraszyła. Chichoczę cicho i zastanawiam się, co by było, gdybym w to uwierzyła.

Mimo że wierzę w Boga, nigdy nie potrafiłam z dystansem odnieść się do rodzimych zabobonów. Kiedy czarny kot przebiegł mi drogę, spluwałam przez lewe ramię, aby nie mieć pecha. Czy zatem przesąd, o którym opowiedziała Iman, nie mógł funkcjonować wśród muzułmanów na podobnych zasadach?

Zaczęło świtać, kiedy skończyłyśmy rozmowy o Bogu, dzieciach i innych mniej ważnych sprawach. Iman uciekła do swojego pokoju przed widzącym tylko w dzień Allahem, choć zarzekała się, że już nie

przestrzega religijnych nakazów. Cóż, przyzwyczajenia jednak robią swoje.

A ja uklękałam przy burdelowym łóżku, aby się pomodlić, wypowiedzieć i prosić Boga o wybaczenie. To nie była modlitwa utkana z patetycznych słów, jakich uczono mnie od dziecka. To była prosta modlitwa, płynąca z głębi serca. Prośba o szansę na to, bym już niżej nie upadała, bym nie stoczyła się poniżej poziomu dna, na które sama się sturlałam. I o to, by wróciła mi świadomość do stanu sprzed wypadku, zanim podjęłam decyzję o wyjeździe do Szwajcarii...

Padając na łóżko, nie czuję uwierania w duszy. Nic mnie nie przygniata, żadna zła myśl ani wyrzuty sumienia. Poduszka też przestała być wroga. Mogłabym pomyśleć, że dzieje się tak za sprawą alkoholu, który zazwyczaj zmywa wszelkie lęki, zaciera wątpliwości i w ten sposób wpłynął również na stan mojego ducha. Ale to nie to...

Jestem lekka, bo zrzuciłam z siebie ten przygniatający sekret, który tak skrupulatnie sama przed sobą i całym światem ukrywałam. A przede wszystkim przed Nim – Bogiem, który znowu zaczął być moim przewodnikiem. Jestem pewna, że mi wybaczy, bo jest dobry i miłosierny, a ja nie jestem przecież taka najgorsza!

Budzę się i lekko mi na duszy. Nawet wiem z jakiego powodu, ale głowa mi ciąży. I wcale się temu nie dziwię. Chciałabym jeszcze pospać, poleżeć, odpocząć. Tylko po co przedłużać marazm? Po co gmatwać się w bezsensie czegoś, co jest sprzeczne z moimi przekonaniem? Co powoduje pogrążanie się, stagnację, indolencję? Taplanie w bagnie...

Pomna wczorajszych decyzji o powrocie do życia toczącego się za oknem zasłoniętym czarną roletą, ochoczo wstaję z łóżka, choć nie jest to łatwe. Ale moje wczorajsze doświadczenia dodają mi sił.

Gdy krzątam się po pokoju, dzwoni telefon. Naciskam czerwoną słuchawkę, gdyż jestem pewna, że to znowu jakiś zabłąkany K., a ja już zakończyłam swoją pracę. Jestem spakowana i czekam na wieczór, na transport, na teleportację.

Iman też już wstała. Puka do drzwi i zaprasza na kawę. Nie odmawiam. Parzy najlepszą kawę na świecie. Wraz z nią w kuchni siedzi jeszcze jedna kobieta. Czarna. Przedstawiamy się sobie.

– Thema – wyciąga dłoń. Podaję jej swoją, niepewnie spoglądając

na Iman, a ponieważ puszcza mi oko, trochę się uspokajam. Bo kto wie, czy nie zarazi mnie jakimiś rytuałami nie wiadomo skąd, czarami wudu? Więcej przesądów już nie zniosę.

Początkowo biorę udział w rozmowach o głupotach, ale męczą mnie opowieści o tym, jak było gdzieś tam, jaki ruch, ilu klientów, jak dużo lub mało pieniędzy zarobiły. Mnie to nie interesuje, nie tylko dlatego, że nie mam w tym względzie wiele do powiedzenia, ale dlatego że mam po prostu dość. Wracam do domu. Wycofuję się. Zamyślam nad swoim światem. Jednak mimo woli słyszę, jak z angielskiego przechodzą na niemiecki. Wygląda na to, że się dobrze znają. Nie chcąc im przeszkadzać, wstaję od stołu, ale Iman mnie zagaduje:

– Johanna, wiesz, że Thema jest polityczką?

Zamurowuje mnie.

„Jak to polityczką?”, zastanawiam się. „To co ona tu robi, zamiast naprawiać świat za pieniądze podatników? Albo chociaż udawać, że to robi... E tam! Znowu mnie wkręcają. Kolejne konfabulacje”.



Odkąd Janka rozpoczęła pracę jako prostytutka, nasłuchiwała się już wielu wymyślonych albo przekolorowanych opowieści. „W Szwajcarii, o, tam to były i profesorki, i bizneswoman, celebrytki, gwiazdy porno”, błyskawicznie przypomniały jej się wszystkie poznane bohaterki. „Miały domy, supermężów, drogie auta, którymi woziły swoje cudowne dzieci do prywatnych szkół. Były niezwykle wykształcone, jeździły na wakacje do najodleglejszych zakątków świata... A to, że pracowały w burdelu, o niczym przecież nie świadczyło. To takie hobby, odskocznia, używanie życia. Jednocześnie za jednego franka dałyby się zabić, zresztą szarpały się nie raz, nie dwa. I to najczęściej Polki. Średnia wieku – dwadzieścia pięć lat. Proste, niepewne siebie, bez ogłady, wysławiające się nieumiejętnie. Chodzące polskie kompleksy”.

Ale były też takie jak Sandra. Prawie równolatka Janki. Przepiękna kobieta, dobrze ułożona, inteligentna. Doktor socjologii. Spełniona zawodowo. Często rozmawiały ze sobą o wspólnych zainteresowaniach. Pewnego wieczoru Janka zapytała:

– Dlaczego to robisz? Przecież jesteś wykształcona, atrakcyjna. Czy w twoim zawodzie tak kiepsko płacą?

– Nie jestem tu dla pieniędzy, choć tych nigdy za wiele. Przygnała mnie tu choroba i miłość mojego życia. Jestem nimfomanką. Mężowie, a miałam ich dwóch, odeszli. Rozwiedli się, bo nie byli w stanie ani zaspokoić moich potrzeb, ani zaakceptować tego, że ich zdradzam – odpowiedziała szczerze, jakby mówiła o zwykłych sprawach. – A tak mam trzy w jednym: po pierwsze, jestem zaspokojona, nikogo przy tym nie raniąc; po drugie, mam dodatkową wypłatę; a po trzecie, moja miłość jest na wyciągnięcie ręki.

– Czyli gdzie? Gdzie jest ta twoja miłość? – zapytała Janka.

– Piętro wyżej – odrzekła Sandra.

Piętro wyżej swoje wdzięki sprzedawali transwestyci.

„Trzy w jednym! Nic dodać, nic ująć”, pomyślała Janka. „Cóż, życie jest pełne niespodzianek”.



„Pani polityk w przybytku o tak niskim standardzie? To musi być łgarstwo!”, dochodzę do wniosku. Trudno określić wiek tej kobiety, ale nie może być młodsza ode mnie. Ma pewną dystynkcję, niewielką, ale jednak.

Trochę z nudów, a trochę z wrodzonej ciekawości postanawiam pociągnąć temat. Kto wie, może kiedyś opowiem o niej wnukom!

– Naprawdę jesteś polityczką? – mówię do niej, zachowując polityczną poprawność. – A to ciekawe – dodaję, na powrót siadając do stołu. – Mamy jeszcze kawę?

– Mamy kawę, mamy też wino, whisky, i co tam chcecie – wykrzykuje podekscytowana Iman. Trochę w tej ekscytacji przypomina Ritę.

Nie pytając nas, czego miałybyśmy ochotę się napić, wybiega do pokoju po zapasy. Musi mieć tam cały magazyn napitków, bo nie ma jej dość długo. Wykorzystując sytuację, pytam Themę, skąd pochodzi, ale ona nie odpowiada. Odzywa się dopiero wtedy, gdy na stole stoją szklanki i butelki i kiedy Iman sprawia, że zapadają ciemności.

– Pochodzę z Afryki – mówi, kategorycznie odmawiając alkoholu.

– Aha – to jest jedyna odpowiedź, na którą mnie w tej chwili stać. To tak jakby człowiek o skośnych oczach powiedział, że jest z Azji.

„Thema widocznie albo nie jest mi przychylna, albo nie chce za

dużo o sobie mówić”, domyślam się, a ponieważ nie lubię nalegać, pozostaje mi tylko przepłukać gardło tym, co mam w szklance, i schować swoją ciekawość do kieszeni. Jednak mój przekorny charakter podrażniony dobrą whiski nie daje za wygraną.

– A gdzie politykujesz? I jaką dziedziną się zajmujesz? – pytam.

– Tu, w Europie – odpowiada. – A zajmuję się sprawami równości.

„Ale oporna! I jaka dyplomacja! Godna polityka. W sumie ją rozumiem, bo jeśli faktycznie jest tą, za którą się podaje, to dlaczego miałyby się uzewnętrzniać przed prostytutkami? Tylko dlaczego sama pracuje jako kurwa? Bada rynek czy dorabia do pensji?”, rozważam i dalej próbuję ciągnąć ją za język:

– Czyli czym konkretnie?

– *Gender studies* – odpowiada z dumą. – Zapewne nie słyszałaś o tym.

„No tak, mój Bóg jest łaskawy i miłosierny, ale bywa złośliwy. Akurat tak się składa, że jestem rozeznana w temacie, bo *gender* od pewnego czasu spędza mi dosłownie sen z powiek, chętnie zatem posłucham, co ma w tej sprawie do powiedzenia pani polityczka”.

– Mylisz się, słyszałam o *gender studies*. To *gender* jest nauką? – zagajam. – Bo w moim przekonaniu to raczej ideologia... – ripostuję.

– Mylisz się. *Gender studies* to poważna interdyscyplinarna nauka, wykładana na wielu uczelniach w całej Europie...

– Wiem, wiem – przerywam jej. – A o co ty walczysz jako polityczka zajmująca się *gender*?

– Zabiegam, żeby w każdym obszarze życia społecznego były przestrzegane zasady równości szans kobiet i mężczyzn, uczestniczę w tworzeniu prawa, które ma na celu przeciwdziałanie dyskryminacji ubogich, chorych, niepełnosprawnych, mniejszości seksualnych...

– Pewnie o równe prawa dla homoseksualistów też walczysz? – wchodzę jej w zdanie. – I o zalegalizowanie związków partnerskich?

– A masz coś przeciwko homoseksualistom? Bo obalaniem przesądów i stereotypów również się zajmuję...

– Mam, moim zdaniem to chorzy ludzie.

– Jesteś homofobem i nie masz na ten temat żadnej wiedzy, żadnej!
– krzyczy Thema, wstając z krzesła. Wygląda jakby szykowała się do

walki.

Wstaję i ja, bo nie znoszę krzyku, szczególnie bezpodstawnego. Wypijam zawartość szklanki i jestem gotowa na wszystko.

Bijemy się wzrokiem. Gdyby nie interwencja Iman, stałybyśmy tak długo – ona, czarnoskóra obrończyni *gender*, i ja, przeciwniczka *gender*.

Thema wychodzi pierwsza, oburzona. Ja również jestem zniesmaczona. Pytam Iman, czy Thema rzeczywiście jest politykiem. Potwierdza ruchem głowy i dodaje:

– Z pieniędzy zarobionych tutaj utrzymuje w swoim kraju jeden z przytułków dla dzieci.

Wracam do pokoju rozbita. Po chwili, kiedy emocje już opadły, przypominam sobie swoje czterdzieste urodziny zorganizowane przez Niki... „A może przesadzam z tymi swoimi poglądami na świat? Przecież obiecałam, że nikogo nie będę oceniała po pozorach... Jakie to trudne”.

Telefon nie przestaje dzwonić. Kilkanaście nieodebranych połączeń, a nieznaną numer nie daje za wygraną. W końcu, dla świętego spokoju, odbieram.

– Dzięki Bogu! Ty żyjesz? – słyszę Jego głos. I przez chwilę zastanawiam się, czy jest to głos Boga, czy Jego – P.O.S.O.

– Gdzie jesteś, moja kochana? – To pytanie zapiera mi dech w piersiach. Cóż mogę odpowiedzieć wobec fali szczęścia, która mnie w tej chwili zalewa? Dopiero niedawno poprosiłam Boga o wybaczenie i oto dostaję pierwszy sygnał, że mnie wysłuchał. Moja dusza powstaje z umarłych. Pojawia się nadzieja na powrót do świata, który może nie do końca się zawalił. Głos więźnie mi w gardle. Ale nie dlatego, że jest związany drutem kolczastym, jak kiedyś, gdy zaczęła się ta cała niepotrzebna historia, lecz dlatego, że jestem ogłuszona szczęściem. Nie potrafię wydusić z siebie ani słowa. Rozłączam się. Ze wstydu i tchórzostwa. Siadam na skraju łóżka, aby zastanowić się, jak przyznać się do tego, że znów jestem w przybytku. Bo przecież On porzucił mnie właśnie z tego powodu...

P.O.S.O. dzwoni bez ustanku. Nie daje za wygraną, tak jakby był świadomy tego, jakie demony mną targają. Albo jakby mnie kochał... Nie stać mnie na więcej niż wysłanie wiadomości z adresem. Nie stać

mnie na kłamstwa. Nie chcę ich. Co ma być, to będzie! I tak wszyscy kiedyś umrzemy...



Polska, miejscowość J., dwa lata później, nawrócenie

Kto wie, jak potoczyłyby się losy Janki, gdyby nie On i Jego oczy. Oczy, w których zakochała się od pierwszego wejrzenia. Kto wie, czy te oczy spowite smutkiem rozświeciłyby się, gdyby jej nie spotkał. Czy otworzyłyby się przyjaźnie na świat?

Dziś, gdy patrzą na nią, krzątającą się po ogrodzie, przepętnia ją miłość. Ale i strach. On podświadomie boi się o to, że ona odejdzie z innym mężczyzną. Jest przecież piękna, dla Niego – najpiękniejsza. A On? Zwyczajny.

P.O.S.O. uśmiecha się do niej, a ona ten uśmiech odwzajemnia. I wtedy Jego lęki uciekają, bo w uśmiechu Janki widzi szczerość.

Zanim zamieszkali razem w miejscowości J., przeszli długą, ciernistą drogę. Prostowanie Jance myśli i przywracanie jej poczucia wartości, momentami też zacięta walka z demonami o duszę, było trudnym wyzwaniem i ciężką pracą dla obojga. W życiu już tak bywa, że końce bywają trudniejsze niż początki...

Jego miłość i wiara w dobre zakończenie historii rozwinęły się jak spadochron, dzięki któremu powrót do rzeczywistości nie był dla Janki tak bolesny, jak się spodziewała. Mimo wszystko musiała przewartościować całą siebie. Odciać się od bólu, poczucia obrzydzenia i wstydu. Bo kurewstwo osacza przede wszystkim duszę. Ona dłużej goi swoje rany niż ciało.

Janka nie chciała poddać się terapii. Upierała się, że nie potrzebuje takich bzdur, że to jej nie pomoże, że sama sobie poradzi. Toczyli o to z P.O.S.O. zacięte dyskusje. Nie pomagały nawet groźby z Jego strony, że ją zostawi.

Pomógł przypadek.

Któregoś dnia, gdy spacerowali po jej ukochanym mieście, spotkali Mariolkę. Ale to nie była już ta sama Mariolka, nałożnica pachnąca sukcesem, która niegdyś tłumaczyła Jance, że tylko kurewstwo może wyrwać ją z biedy, wyzwolić z cierpienia i życiowych zawirowań. Że to właściwa droga, najskuteczniejsze rozwiązanie.

Krótką rozmowa nie układała się, choć dawniej nie brakowało im wspólnych tematów. Przyjaciółka przez cały czas przestępowała z nogi na nogę, ani przez chwilę nie mogła ustać w miejscu. Sprawiała wrażenie, jakby nie rozumiała, co się do niej mówi. Miała podkrążone oczy, nie potrafiła zapanować nad znerwicowanymi ruchami trzęsących się rąk.

„Czy ta chora, sfiksowana kobieta, odcięta od realnego świata, to naprawdę Mariolka?”, Janka nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Mariolka, co z tobą? – zapytała. – Co się stało?

– Nie pytaj – odpowiedziała przyjaciółka i odeszła bez pożegnania. Janka prosiła, by zaczekała, ale nie reagowała na jej słowa.

Widok bliskiej koleżanki w tak oplakany stan wywołał u Janki wstrząs. Zdecydowała się skorzystać z pomocy psychoterapeuty.

Podczas wielomiesięcznej terapii zrozumiała, że prostytutka zagłuszą sumienie, bo to ułatwia funkcjonowanie w branży. Prostytycja niszczy kobietę, to pewne. Potrafi nawet zabić, czego świadectwem jest historia Rity. Ale przewrotnie, jak wiele złych doświadczeń, może też i wzmocnić.

Janka nie wyzbyła się sumienia. Nie potrafiła. Nie była w stanie go podeptać, zmiętosić jak skrawek papieru i po prostu wyrzucić. Dlatego tak niewiarygodnie trudno przychodziło jej wybaczenie sobie grzechu kurewstwa.

Ta droga życia nie była przeznaczona dla niej. Z właściwej zboczyła, zagubiła się i świadomość tego zrodziła w niej ból, który nie pozwalał żyć pełną piersią. Janka ślizgała się po powierzchni życia, ledwie jej dotykając. Chowała się za plecami P.O.S.O., który miał niekiedy wrażenie, że dźwiga ukochaną na sobie.

Uginał się pod tym ciężarem, próbował go nawet zrzucić. Toczył wtedy sam ze sobą potworne walki. Obwinał się, że jej nie wspiera, że zbyt szybko puszcza na szerokie wody. Ale zdawał sobie sprawę, że jeśli tego nie zrobi, Janka nigdy nie stanie na własnych nogach. Nie uwierzy w siebie, nie będzie samodzielna.

– Czy wypożyczanie swojego ciała za opłatą jest aż tak wielkim grzechem? – zadał pytanie terapeuty. – Janka, przecież nikogo nie skrzywdziłaś, nie zabiłaś, nie wywołałaś wojny. Postaraj się wyciągnąć

pozytywne wnioski z tego doświadczenia. Nie takie traumy ludzie przechodzą w życiu i sobie z nimi radzą – tłumaczył.

„Mój osobisty psychoterapeuta spławia mnie, zbywa, odsyła do Boga. Widocznie ma już dość taplania się w odmętach moich wariacji na temat spierania brudu z duszy...”, myślała.

A może miał rację? „A może warto dalej żyć, przetrwać złe chwile i później z pobłażliwym zdumieniem przypomnieć sobie te drobne okruchy klęsk i dziwić się, że tyle mogły znaczyć kiedyś i tak niewiele brakowało do ostatecznego kroku”*.



Terapia wciąż trwa. Jest nią życie. Nie przechodzę jej sama. Dzieci i On, moi wybawcy, wciąż są ze mną. Nie pozwalają utonąć w odmętach głupich myśli. Czasem mam świetne samopoczucie, czasem zjeżdżam windą w dół... Wspomnienia boją. Niekiedy widzę znużenie na twarzach najbliższych, ale szybko je strzepują. Są dzielni. Wiem, że jest im ciężko, bo oczyszczam się, odplamiam ich kosztem. Trwam jak huba. Pasożyt! Kuracja jednak powoli przynosi rezultaty.

Najtrudniejsza jednak jest dla mnie nauka szacunku dla pieniądza. Od podstaw poznaję jego rzeczywistą wartość w normalnym świecie. Wciąż mam z tym problemy, ponieważ teraz już nie zarabiam stu pięćdziesięciu euro za godzinę. Ale nadal jestem. Wracam do świata z czarnych rolet. I nie żyję już byle jak. W końcu czuję się bezpieczna i spokojna, a wszystko za sprawą P.O.S.O. Jego miłość i rozumienie moich rozterek przekraczają wszelkie granice męskiego postrzegania świata. Czasami jednak wystarczy, że zbyt długo nie ma Go w domu albo obudzi mnie koszmar. Wtedy nad moją głowę nadciągają czarne chmury i rodzi się kłujące pytanie: „Kiedy stanę się w końcu doskonała niczym anioł, czy P.O.S.O. nadal będzie mnie kochał tak mocno? Poznaliśmy się przecież, gdy taplałam się w brudzie!”. Staram się jednak nie poddawać i pomóc Mu, pomóc sobie. Dzięki Niemu wraca wiara, że wszystko będzie dobrze.

Czy kogoś skrzywdziłam poza sobą? Nie!

Pomimo zakłamania, jakim jest udawanie przyjemności z fizycznych kontaktów z K., to jednak oni – klienci – czerpali korzyści z aktów seksualnych. Układ był czysty: K. płacili, ja spełniałam ich

zachcianki. Wszystko odbywało się dobrowolnie. Mam nadzieję, że większość z nich zdaje sobie sprawę z tego, że kurwa uśmiecha się szczerze tylko dwa razy – wtedy, gdy płacą, i wtedy, gdy wychodzą.

Gdyby nie wypadek z ręką, nigdy nie przyjechałabym do M. Tkwiałabym we własnym świecie, w którym dałam się omamić i pozwoliłam założyć sobie chomąto na kark. Tyrałam od świtu do nocy po to, by zarobić na minimum godności, na przysłowiowy chleb z masłem. Kosztem niewidzenia dzieci, zatracenia się w jakichś schematach i wszyskochciejstwie. Wciąż mamiona propagandą atakującą zewsząd – z telewizji, gazet, internetu, że potrzebuję więcej niż mam i że dzięki swej aktywności przebiję się przez pionny, poziomy, piętra, schody, beton. I z góry skazana na przegraną, bez szansy powodzenia na wybicie się gdzieś poza granice tego, co ustaliła jakaś figura stojąca na piedestale. Kto to jest? Z pewnością nie jest to mój Bóg.

Nie rozumiałabym tego wszystkiego – że inni czerpią z nas małych korzyści, że nie pozwolą na to, by się wybić, unieść ponad, że dyrygują naszymi światami, podczas gdy im ślepo ufamy, kiedy wmawiają, że jesteśmy kowalami własnego losu – gdyby nie nadmiar wolnego czasu w paszczy lwa. Tam przyszło olśnienie: „Jestem tylko trybikiem! W każdym ze światów”.

Patrzę, jak P.O.S.O. buja się w hamaku zawieszonym w ogrodzie, przy naszym małym domku. Co z tego, że kupionym na kredyt?

P.O.S.O. przygląda mi się wnikliwie. W jego oczach widzę miłość. Czy to miłość bezwarunkowa? Na pewno nie. Muszę na nią zapracować. Ale czy bez tej pracy życie miałoby jakikolwiek sens?

Wiem, że nie zostanę świętą! Nie jestem Marią Magdaleną i wcale o tym nie marzę. Teraz chcę być taka jak większość. Chcę być szarą masą. Ale świadomą. Chcę wtopić się w tłum, aby zatrzeć ślady. Bo lepiej być sobą wśród siebie podobnych, maleńkich, niż udawać kogoś innego – zakładać maskę prostytutki, kelnerki, nauczycielki czy polityka.

Czy mi się to uda? Czy zachowam twarz?

Nie wiem...



Janka przekonała się, że słowiki najpiękniej śpiewają w Polsce,

w miejscowości J.

Bóg to sprawił? Chichot losu? Czy miłość?

* Tadeusz Konwicky, *Kronika wypadków miłosnych*.

